DAMA BEZ KSIĘCIA
Gdzie są pieniądze Fundacji Czartoryskich

WILKANOWICZ
Gdyby historię tworzyli dobrzy ludzie

MEDYCY WALCZĄ
Donbas: do piekła na ochotnika

ANNA I INNI
Skąd się biorą imiona

OŚMIORNICA
Wszystko o mojej macce

Kraków 24 lipca 2022 nr 30 (3811) cena 12 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
TygodnikPowszechny.pl

Pomówmy o samotności

RAPORT: JAK SIĘ Z NIĄ ZMIERZYĆ

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425
30
9 770041 480208

Księdzu Adamowi Bonieckiemu

Głęboka wiara, mądrość i poczucie humoru – rzadko występują razem, a w księdzu Adamie Bonieckim połączyły się idealnie. Od lat jest pomostem i łącznikiem między światem sacrum a profanum. Od lat też jest jednym z nas – krakowianinem, nie z urodzenia, a z wyboru.

W dniu 88. urodzin dziękujemy księdzu Adamowi za wszystko, co zrobił na rzecz Polski otwartej, przyjaznej i tolerancyjnej.

Życzymy Mu wielu sił i zdrowia, bo choć wiele dokonał, to przecież nadal chcielibyśmy, by dodawał nam otuchy i pokazywał, jak być człowiekiem.

MIESZKAŃCY KRAKOWA

Ksiądz Adam Boniecki MIC

Redaktor senior „Tygodnika Powszechnego"

J. PINKAS / GDANSK.PL

Czcigodny Księże Jubilacie

Trudno uwierzyć liczbom – 88. urodziny, 62 lata w kapłaństwie i 58 lat na łamach „Tygodnika Powszechnego". Urodziny to najlepszy moment, aby za te wszystkie lata wyrazić podziw, szacunek i wdzięczność. Z życzliwością pamiętamy Księdza wizyty w Gdańsku. Szczególnie wykład, pierwszy z cyklu ETYKA SOLIDARNOŚCI, który wygłosiłeś 30 sierpnia 2012 roku w Dworze Artusa, przywołując tekst nieodżałowanego ks. Józefa Tischnera – „Etyka solidarności", naznaczony gorącym czasem pokojowej rewolucji Solidarności.

„Solidarności nie trzeba narzucać człowiekowi z zewnątrz, narzucać przy użyciu przemocy. Solidarność to cnota, która się rodzi spontanicznie, z serca. »Dlaczego solidarność? (...) Na to pytanie nie ma odpowiedzi uzasadniającej – mówi Tischner. – Można by tylko tyle powiedzieć: solidarność, bo tak jest dobrze«.

Ja wierzę, że duchowe energie tworzące solidarność z czasem dojdą do głosu, jak przed laty, i odmienią oblicze tej ziemi. One nie wyparowały, one są wpisane w ludzką naturę".

Wspólnocie – nie tylko religijnej, ale również narodowej – bardzo trzeba autorytetów, dlatego żyj nam 188 lat!

W imieniu gdańszczanek i gdańszczan życzę Księdzu nade wszystko zdrowia ciała i mocy twórczych. Niech materializują się marzenia, zarówno osobiste, jak i obywatelskie. A duchowa cnota solidarności i tworzące ją energie rodzą się spontanicznie z serca i dochodzą między nami do głosu, bo przecież nie wyparowały, ale są wpisane w ludzką naturę.

Z wyrazami szacunku
ALEKSANDRA DULKIEWICZ
prezydent Gdańska

ŻYCZENIA DLA KS. ADAMA BONIECKIEGO TAKŻE NA STRONACH 85-89

GRAŻYNA MAKARA

88!

Adamie!

W dniu Twoich
88. urodzin

dziękujemy

za Twoją wiarę,
mądrość i humor

za obecność
i uważność

za to, że jesteś z nami.

Niech nam żyje
Adam Boniecki!

Przyjaciele
z „Tygodnika”

22 Dzień nie nadszedł
MAREK RABIJ
Fundacja, do której trafiły miliony euro ze sprzedaży kolekcji Czartoryskich, do dziś nie wydała centa na wsparcie polskiej kultury. Adam Czartoryski obraca tym kapitałem na giełdzie.

26 Historia walcząca
JAKUB SZUMSKI
Wojciech Roszkowski zajmuje się pisaniem podręczników od ponad czterech dekad. Nie zawsze był inkwizytorem.

32 Międzyświatowiec
WOJCIECH BONOWICZ
Stefan Wilkanowicz jest jak wyrzut sumienia. Myślał tylko o tym, jak połączyć to, co wydaje się niepołączalne, i zbudować wspólnotę z przeciwnikami.

42 Do piekła na ochotnika
PAWEŁ PIENIĄŻEK ZE SŁOWIAŃSKA
Ryzykując własnym życiem, zespoły medyków pomagają rannym cywilom i wojskowym w strefie frontowej.

60 Wszystko o mojej macce
DANIEL KOZŁOWSKI
Niektórzy twierdzą, że ośmiornice mają dwa mózgi – jeden w głowie, drugi rozproszony w ciele. Ich ramiona wykazują dużą autonomię. I kryją wiele zagadek.

80 Był Siestrzemił
ROZMOWA Z SABINĄ JAKUBOWSKĄ, ARCHEOLOŻKA I DOULĄ:
Imię dziecku nadaje się przed świętem patrona. Dlatego Anny zaczynały się w czerwcu. A wysyp Marii odbywał się przed każdym świętem maryjnym.

KRYSTIAN MAJ / FORUM // MICHAŁ WOŹNIAK / EAST NEWS // PAWEŁ PIENIĄŻEK // GRAŻYNA MAKARA // ANDREA IZZOTTI / ADOBE STOCK // DANUTA WĘGIEL

6 Gazowa solidarność
AGATA KAŹMIERSKA, WOJCIECH BRZEZIŃSKI

7-11 Obraz tygodnia

20-21 Czytania / Widzenia
MAŁGORZATA KORDOWICZ
O. WACŁAW OSZAJCA
ABP GRZEGORZ RYŚ
PIOTR SIKORA

53 Tygodnik Czytelników

KRAJ

22 Dzień nie nadszedł
MAREK RABIJ

26 Historia walcząca
JAKUB SZUMSKI

29 Lato bez domu
SONIA POHL: *Skąd się biorą kwatery nad morzem*

WIARA

32 Międzyświatowiec
WOJCIECH BONOWICZ

36 Szukając wspólnoty
PIOTR SIKORA: *Katolicy chcą zmian w doktrynie i praktyce kościelnej*

38 Gospa i jej dary
MARCIN RYCHŁY
Z MEDZIUGORJA:
Wciąż nie ma statusu sanktuarium. Ale to miejsce odwiedzają miliony

ŚWIAT

42 Do piekła na ochotnika
PAWEŁ PIENIĄŻEK
ZE SŁOWIAŃSKA

46 Imperium przemocy
ANNA ŁABUSZEWSKA
o represjach Kremla wobec Rosjan

47 Alternatywa dla nudziarza
MARTA ZDZIEBORSKA: *W USA rośnie w siłę inteligentniejsza kopia Trumpa. Ron DeSantis nie chce zmian. On je forsuje*

PHOTOBANK / STOCK.ADOBE.COM

TEMAT TYGODNIKA

12 Stulecie samotności
PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI
Kosztuje miliardy, unieszczęśliwia miliony, zabija tysiące. Jej epidemię dostrzegły Stany Zjednoczone i niektóre kraje Europy. Polska jeszcze nie.

17 Drugi człowiek na zdrowie
ROZMOWA Z ŁUKASZEM OKRUSZKIEM, NEURONAUKOWCEM:
Nawet chwilowe wystawienie człowieka na to uczucie zmienia jego wskaźniki fizjologiczne. Zrozumienie, jak poważnym problemem jest samotność, to jedno z wyzwań XXI wieku.

85 Księdzu Adamowi Bonieckiemu na 88. urodziny

FELIETONY

41 ZUZANNA RADZIK **55** TOMASZ STAWISZYŃSKI
78 JAN KLATA **79** PAWEŁ BRAVO
90 STANISŁAW MANCEWICZ
90 BARTOSZ MINKIEWICZ

OKŁADKA:
ADAM BURAKOWSKI/REPORTER // VAIDAS BUCYS / ADOBESTOCK.COM // MONTAŻ TP-ONLINE

Redaktor prowadzący: MARCIN ŻYŁA

50 Sąsiedzka kuratela
PIOTR OLEKSY:
Macedończyków rozpala spór z Bułgarami – o tożsamość i kulturę

52 Symboliczny koniec rządzącego klanu
TOMASZ AUGUSTYNIAK
o kryzysie na Sri Lance

HISTORIA

56 Gołębie pokoju w sopockim Grandzie
ROZMOWA Z WIESŁAWEM WOJNOWSKIM

NAUKA

60 Wszystko o mojej macce
DANIEL KOZŁOWSKI

63 Wybrańcy królowej nauk
TOMASZ MILLER
o laureatach Medalu Fieldsa

KULTURA

66 Co autor ma na myśli
GRZEGORZ JANKOWICZ:
Zatruwamy kolejne pokolenia, gruntując w nich przekonanie, że literatura w szkole nie opowiada o ich sprawach

71 Zwroty i nawroty
DARIUSZ KOSIŃSKI:
Lokalne burze i stołeczne zamglenia – dużo się będzie dziać w polskim teatrze

74 Środek Anglii
JAKUB MAJMUREK
o fenomenie „Peaky Blinders"

76 Łapacz chwil
ANITA PIOTROWSKA
przedstawia Jonasa Mekasa

WAKACJE

80 Był Siestrzemił
ROZMOWA Z SABINĄ JAKUBOWSKĄ, ARCHEOLOŻKĄ I DOULĄ

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

Opowieść o Żarnowcu [Podkast Powszechny]
O tym, jak nadzieja polskiej energetyki i chluba inżynierii zamieniła się w pomnik naszej niegospodarności
– opowiada **MACIEJ MELAŃCZUK** | **powszech.net/podkast**

Miesiąc w nauce [Podkast Powszechny]
Dlaczego najmniejsze żabki najgorzej skaczą? Jak powstają materiały izolacyjne do zastosowań w kosmosie? – najciekawsze newsy naukowe ostatnich tygodni komentuje **ŁUKASZ LAMŻA** | **powszech.net/podkast**

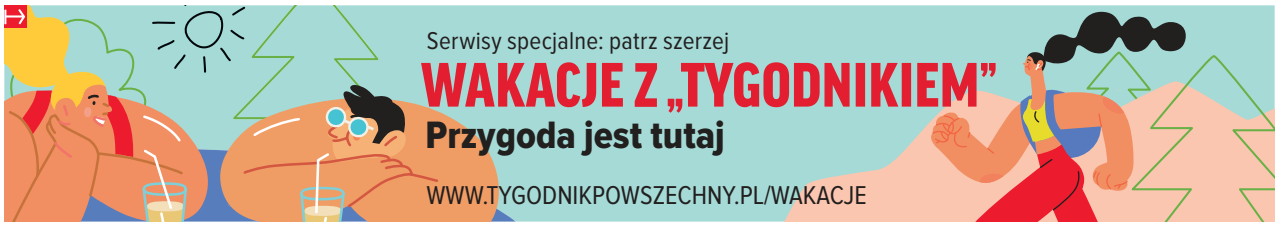

/TYGODNIKPOWSZECHNY ▪ /TYGODNIK ▪ /TYGODNIK ▪ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY

OBRAZ TYGODNIA

GAZOWA SOLIDARNOŚĆ

Jesień i zima będą gorące: chłody i mrozy mogą rozgrzać Unię Europejską, wystawiając ją na wielką próbę. Rosja postanowiła uderzyć nas tam, gdzie najbardziej zaboli.

AGATA KAŹMIERSKA, WOJCIECH BRZEZIŃSKI

Rosja używa energii jako broni" – przestrzegał ostatnio prezydent Emmanuel Macron. Ta konstatacja, banalna dla krajów Europy Środkowej i Wschodniej, dla państw z zachodniej części naszego kontynentu jest przykrą niespodzianką. Przez dziesięciolecia bowiem, mimo napięć, gaz płynął, a Moskwa wydawała się widzieć w tym głównie biznes. Jeszcze w zeszłym roku sprzedała Europejczykom 155 mld m sześc. surowca, co stanowiło 40 proc. dostaw do Unii. Budżet Rosji zyskał na tym 40 mld dolarów.

Tymczasem dzisiaj ta gazowa rzeka zmienia się w strumyk. Dostawy dla Francji, Niemiec, Włoch, Austrii, Czech i Słowacji zostały ograniczone. Formalnie z powodu jednej z turbin gazociągu Nord Stream 1, remontowanej w Kanadzie. Ukraina chciała, by turbina została internowana, ale po lobbingu Niemców Kanadyjczycy turbinę oddali. Rosja stwierdziła jednak, że zwrócona im dokumentacja jest niekompletna, więc z instalacji nici.

11 lipca gazociąg Nord Stream 1 zupełnie wysechł. Powodem jest „rutynowy przegląd", który – jeśli nie pojawią się dodatkowe przeszkody – ma trwać 10 dni. „Możliwe, że gaz popłynie znowu, ale równie dobrze może nie popłynąć nic i musimy przygotować się na

Mural autorstwa Street Wind z karykaturami prezydenta Francji Emmanuela Macrona, kanclerza Niemiec Olafa Scholza i prezydenta Rosji Władimira Putina. Bulwar gen. Pattona, Warszawa, 15 lipca 2022 r.

najgorsze" – mówił kilka dni temu niemiecki wicekanclerz Robert Habeck. Europejski Bank Centralny ostrzega, że podczas gazowego kryzysu najbardziej mogą ucierpieć właśnie Niemcy, a cała gospodarka strefy euro może się skurczyć o 1,7 proc. w ciągu roku.

Najlepszym orężem Unii Europejskiej mogłaby być jej solidarność. O tym, jak jest skuteczna, mogliśmy się przekonać, gdy Bruksela w imieniu państw członkowskich negocjowała w sprawie szczepionek przeciw covid. Tyle że teraz wspólnym zakupom gazu przeciwni są... Niemcy, bo obawiają się, że z tej puli ich przemysł nie dostanie dostatecznie dużo surowca. Taka postawa Berlina budzi nieufność części państw Unii, które nie tylko gorzko wspominają czasy kryzysu strefy euro, ale także krytycznie patrzyły na budowę obu nitek gazociągu Nord Stream, a ostatnio i na to, że Republika Federalna wydała już 15 mld euro na awaryjne zakupy gazu, co podbiło ceny na globalnych rynkach.

Częściowo kryzys mogłyby pomóc rozwiązać dwustronne umowy o wzajemnej pomocy. Tyle że dotąd w całej Unii podpisano ich łącznie sześć. A Viktor Orbán już zapowiedział, że sąsiadom nie odda ani kropli surowca z tego, co otrzymuje na preferencyjnych warunkach z Rosji.

Europejskie zbiorniki gazu są dziś zapełnione w 62 proc., a Komisja Europejska chce, by do 1 listopada osiągnąć poziom 80 proc. ich zapełnienia. Polska na tym tle wydaje się unijną prymuską: nasze zbiorniki są pełne już w 97,77 proc. Jednak wystarczy to na pokrycie zaledwie 14,36 proc. naszej rocznej konsumpcji. Zbiorników mamy po prostu za mało. Pocieszać możemy się tym, że od dostaw z Rosji jesteśmy uzależnieni w stopniu znacznie mniejszym niż Niemcy – dzięki gazoportowi, który pozwala na import gazu skroplonego (LNG) z całego świata. W październiku zakończy się też budowa rurociągu Baltic Pipe z Norwegii, choć nie jest pewne, czy na czas uda się zakontraktować odpowiednią ilość dostaw, aby go w pełni wykorzystać.

Czy wyciągnęliśmy wnioski z początków pandemii, gdy Europejczycy zaczęli brutalną rywalizację, podkupując sobie maseczki, środki czystości i wyposażenie szpitali? Wtedy egoizm wygrał na szczęście tylko na krótko i wkrótce zaczęły się wspólne negocjacje w sprawie szczepionek – Unia zdołała wykorzystać ogromny potencjał swojego wspólnego rynku. Teraz znów zaczyna się bitwa o europejską solidarność. Nie możemy być pewni jej wyniku. Marnym pocieszeniem może okazać się fakt, iż Europejski Bank Centralny przed konsekwencjami gazowej wojny ostrzega także Kreml, prognozując, że w takim scenariuszu w Rosji może dojść do ostrej recesji i spadku produkcji porównywalnego do tego, jaki nastąpił po rozpadzie Związku Sowieckiego. ©

Teleskop Webba: pierwsze foty za płoty

11 I 12 LIPCA ujawniono pierwsze zdjęcia wykonane przez Teleskop Kosmiczny Jamesa Webba (JWST) – 6 lat po tym, jak został zmontowany, i 6 miesięcy po tym, jak bezpiecznie trafił w swoje miejsce docelowe: 1,5 mln kilometrów stąd, hen, za orbitą Księżyca.

W tym pierwszym pakiecie ujrzeliśmy siedem pięknych zdjęć i jeden wykres ilustrujący skład chemiczny odległej planety pozaziemskiej. Fotki sycą nasze oczy i na nowo przypominają, jaki ten kosmos jest wspaniały,

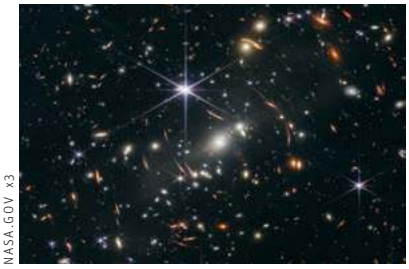

NASA.GOV x3

Głębokie Pole JWST

ale spróbujmy oddać cesarzowi, co cesarskie, i zastanowić się, co z tych zdjęć właściwie wynika. Bądź co bądź, ta ważąca 6 ton zabawka za 10 miliardów dolarów to instrument naukowy.

Spójrzmy na pierwsze w ogóle opublikowane zdjęcie z nowego teleskopu, tzw. „Głębokie Pole JWST". Widać na nim bezładną gmatwaninę setek galaktyk, z których niektóre rozciągnięte są do postaci pomarańczowych smug. Idea „głębokich pól" jest taka, że do obserwacji wybiera się miejsce na niebie zawierające jak najmniej gwiazd, dzięki czemu możliwe jest wpatrywanie się w na pozór „puste" regiony nocnego nieba, przez które mogło do nas bez zakłóceń wędrować światło wyemitowane nawet w pierwszych milionach lat istnienia wszechświata.

Mgławica Carina, obszar narodzin gwiazd

Przyjrzyjcie się zwłaszcza najdrobniejszym plamkom (najlepiej na naszej stronie internetowej, bo miniatury wydrukowane na papierze gazetowym nie oddadzą detali tych zdjęć): im mniejszy i bardziej rozmazany obiekt, tym wcześniejszym jest świadkiem pierwszych chwil naszego kosmosu. To m.in. po to budujemy coraz większe i czulsze teleskopy: aby przyglądać się tym niepozornym chmurkom, będącym obrazami dawno już nieistniejących protogalaktyk. W głębokim polu JWST widać wiele takich obiektów, których nawet nasz dotychczasowy czempion, Teleskop Kosmiczny Hubble'a, nie miał szans zarejestrować – choć niektóre jego „głębokie pola" powstawały ze światła gromadzonego miesiącami. Każda rozmyta grudeczka takiej protogalaktyki to gromada młodych gwiazd, należących do pierwszych w ogóle gwiazd we wszechświecie. Są więc dla jego historii tym, czym malowidła z Lascaux dla historii sztuki.

Co dalej? Praca JWST jest rozpisana co do godziny. O dostęp do czasu obserwacyjnego w pierwszym cyklu badawczym, obejmującym 6000 „użytecznych" godzin, wnioskowały zespoły z całego świata, a z 1173 propozycji wybranych zostało 266. Wybieram jedną z nich na chybił trafił: główną autorką jest dr Laia Barrufet

Mgławica planetarna Pierścień Południowy

z Genewy. Udało się jej przekonać komitet naukowy JWST, aby na dokładnie 2889 sekund (ok. 47 minut) skierowali teleskop na pewną drobną, podejrzanie spokojną galaktykę – tak odległą od nas, że dziś jest ledwie widoczna nawet na najlepszych fotografiach. Co ona taka cicha: czy przestały w niej powstawać gwiazdy? A może jest po prostu nadzwyczaj zapylona? Dzięki temu badaniu, argumentuje astronomka, trochę lepiej poznamy rytm ewolucji galaktyk w drugim miliardzie lat ewolucji kosmosu.

Coś wspaniałego, prawda?

© ŁUKASZ LAMŻA

Wakacje nie cieszą prezesa Glapińskiego

PREZYDENT PODPISAŁ USTAWĘ o wakacjach kredytowych. Zakłada ona możliwość przesunięcia spłaty łącznie ośmiu rat w latach 2022 i 2023. Wydłuży to okres spłacania kredytu, jednak bez dodatkowych odsetek. Ustawa dotyczy osób, które zaciągnęły kredyt na własne potrzeby – rządowi chodzi o wsparcie ludzi przeciążonych kosztami, a nie inwestorów kupujących nieruchomości pod wynajem.

Przy racie 2 tys. zł można więc „zaoszczędzić" 16 tys. zł przez półtora roku. I przeznaczyć je np. na... nadpłacenie kredytu mieszkaniowego. Tego samego, na który weźmie się wakacje kredytowe. Przy obecnych stopach procentowych istotnie zmniejszy to ratę, stając się najlepszym sposobem wykorzystania „zaoszczędzonych" środków.

Pytanie tylko, czy Rada Polityki Pieniężnej nie ograniczy tych korzyści. Adam Glapiński daje do zrozumienia, że nowe przepisy niespecjalnie mu się podobają. Nazywa je nawet prześmiewczo „urlopem". Jego zdaniem idą w odwrotnym kierunku niż decyzje o podnoszeniu stóp. Wszak RPP stara się kredytobiorcom pieniądze zabrać, a rządzący część z tego zamierzają im oddać. „Zgłaszaliśmy uwagi, by urlop otrzymały osoby, które mają problemy ze spłatą, ale nie wszyscy, bo tam są też bogaci, którzy takiego urlopu nie potrzebują" – zdradził szef NBP.

Według NBP zawieszenie spłaty rat stanowić będzie „wyraźne obciążenie dla sektora bankowego". Ich koszt sięgnie 0,5 proc. PKB w 2022 r. i 0,3 w 2023 r. „Niektórzy członkowie Rady wskazywali także, że zapowiadane przez rząd działania osłonowe skierowane do kredytobiorców hipotecznych, w tym w zakresie wprowadzenia tzw. wakacji kredytowych, będą utrudniać dążenie do trwałego obniżenia inflacji" – czytamy w publikacji NBP po ostatnim posiedzeniu RPP.

Istnieje ryzyko, że Rada, w odwecie, na kolejnych posiedzeniach wyraźnie podniesie stopy. Stracą na tym głównie ci, którzy postanowią z „urlopu kredytowego" nie skorzystać. Lepiej więc się nie krygować.

© PIOTR WÓJCIK

KRAJ W SKRÓCIE

STRATY

„Niemcy się z nami nie rozliczyły i my tego nie popuścimy" – powiedział prezes Jarosław Kaczyński na spotkaniu w Grójcu, a poseł Arkadiusz Mularczyk ogłosił ukonstytuowanie Rady powołanego w grudniu 2021 r. Instytutu Strat Wojennych. Jak to dobrze, że przynajmniej Bayern rozliczył się z odchodzącym do Barcelony Robertem Lewandowskim.

OSZCZĘDNOŚCI

À propos rozliczeń: „Drożyzna nie oznacza, że nie można jeść. Można jeść trochę mniej i trochę taniej" – powiedział w rozmowie z „Super Expressem" minister edukacji Przemysław Czarnek, ujawniając, że podczas wakacji sam zamierza oszczędzać jedząc obiady u znajomych i „czasami coś pichcąc".

CELE

Rozliczenia trwają również w obozie Zjednoczonej Prawicy, gdzie zwolennicy premiera Mateusza Morawieckiego i ministra Zbigniewa Ziobry (na zdjęciu) zarzucają sobie wzajemnie, że „są jak Tusk", a oni sami publicznie wytykają jeden drugiemu nieskuteczność w relacjach z Brukselą. Nowym polem napięć są, oprócz niewykonanych wyroków TSUE i kształtu „reformy" sądownictwa, oczekiwania Komisji Europejskiej, że w Polsce dojdzie do rozdzielenia funkcji ministra sprawiedliwości i prokuratora generalnego.

ZBYSZEK KACZMAREK / REPORTER

Posłuchajmy premiera

KRZYSZTOF STORY

Politycy raczą nas pomysłami, jak przetrwać ciężkie czasy. Można zbierać chrust, zaciskać zęby albo mniej jeść. Mateusz Morawiecki 13 lipca mówił: „rodacy, ocieplajmy domy jeszcze przed zimą". Ta propozycja wyróżnia się z całej gamy złotych rad: ma sens.

Badania Instytutu Ekonomii Środowiska pokazują, że nawet co trzeci dom w Polsce nie ma żadnego zewnętrznego ocieplenia. W efekcie gospodarstwa domowe zużywają ponad 10 mln ton węgla rocznie, a mogłyby połowę mniej. Efektywność energetyczna to niższe rachunki, ale też jeden z filarów polskiej transformacji. Zakłada ona redukcję zużycia energii o 23 proc. między rokiem 2020 a 2030.

Teraz rząd wprowadza zmiany w programie „Czyste Powietrze", który od 2018 r. finansuje m.in. termomodernizację domów. Maksymalna kwota dotacji wzrośnie o 10 tys. zł, a najubożsi dostaną nawet 90-procentowy zwrot. Według ekspertów z Polskiego Alarmu Smogowego to jednak za mało: podwyżki dotacji zostały zjedzone przez inflację dawno przed uchwaleniem, a cennik zawarty w programie nie zmienił się od 2018 r. Zresztą, samo ocieplanie domów nie wystarczy. Zmiany muszą zajść w przemyśle (wymiana starych prądożernych maszyn) i w samorządach (technologie „smart city"). O wsparciu tych reform premier na razie milczy. ©℗

Policja: ta sama słabość od lat

RAPORT NIK o korzystaniu ze środków przymusu bezpośredniego nie jest raportem o brutalności policji. Choćbyśmy mieli inne wrażenie po pacyfikacjach Strajku Kobiet czy czarnej serii we Wrocławiu, to – stwierdza NIK – zasadniczo policja siły używa prawidłowo. Problem jest inny.

Żeby policjant zareagował zgodnie z przepisami, czyli adekwatnie i tak, by wyrządzić jak najmniejszą szkodę, gdy ma na to ułamki sekund i działa w zagrożeniu – musi umieć to zrobić wręcz odruchowo. A to wymaga regularnych szkoleń. Tymczasem to właśnie jest zdaniem NIK pierwszy problem prowadzący do tragicznych incydentów. Jedynym obowiązkowym szkoleniem w policji jest... kurs podstawowy: 1123 godziny, w pandemii skrócony do 455. A doskonalenie zawodowe? W 2019 r. na specjalistyczny kurs dostała się mniej niż połowa zgłoszonych, w pandemii tylko co dziesiąty. Słowem, policjanci nie mają szans nabyć odruchów niezbędnych do bezpiecznej interwencji. Nie szkolą ich też specjaliści medycyny ani praw człowieka. A kadra zarządzająca? Nie szkoli się prawie w ogóle.

Szkolenia to słabość policji od lat. Można odetchnąć, że większość z 6,5 mln interwencji rocznie przebiega jednak prawidłowo. Ale to nie dzięki systemowi – pomimo niego.

©℗ MICHAŁ KUŹMIŃSKI

MUHAMMED SAID / ANADOLU AGENCY / GETTY IMAGES

SYTUACJA W SYRII się komplikuje. Najpierw Rosja zawetowała w Radzie Bezpieczeństwa ONZ rezolucję umożliwiającą dalsze dostarczanie żywności do regionu Idlib, opanowanego przez siły antyrządowe. Teraz, 19 lipca, Władimir Putin rozmawia w Teheranie z przywódcami Iranu i Turcji; tematem jest m.in. planowana turecka „operacja specjalna" (jak mówi o niej prezydent Erdoğan, nawiązując do propagandowego kremlowskiego określenia wojny na Ukrainie) w regionach pod kontrolą Kurdów. Na zdjęciu: podczas święta Kurban Bajram (to największe święto w islamie) dzieci bawią się z wolontariuszem we wsi Nayrab w Idlibie, 10 czerwca 2022 r. ©℗ ŻYM

Jeśli Ukraina przestanie walczyć

WOJCIECH PIĘCIAK

Dobiega końca piąty miesiąc rosyjskiej inwazji na Ukrainę. Jeszcze pięć miesięcy temu we wsi Zwaniwka – położonej w Donbasie, na południe od Siewierska – żyło tysiąc kilkuset ludzi. Nie wiemy, ilu zostało. Linia frontu biegnie dziś ok. 10 km na wschód od tej wsi, a jej nazwa pojawia się w komunikatach o ostrzałach i nalotach.

Nie wiemy też, dla ilu starszych mieszkańców Zwaniwki konieczność porzucenia dziś domu to już druga taka utrata w ich życiu – pierwszej doświadczyli 71 lat temu jako dzieci. Część populacji Zwaniwki swe korzenie wywodzi bowiem z miejscowości, które teraz leżą w polskich Bieszczadach, we wsiach Liskowate i Moczary. Gdy w 1951 r. z woli Stalina Związek Sowiecki i PRL dokonały „wymiany terytoriów", obecną gminę Ustrzyki Dolne „przesunięto" do Polski, a ludność obu wsi trafiła aż do Donbasu. Zwaniwka wyróżniała się tym, że była greckokatolicką wyspą w prawosławno-ateistycznym otoczeniu.

Czy przetrwa? Na razie front się niemal zatrzymał – w ostatnich dniach siły agresora dokonały niewielkich zdobyczy. Trudno powiedzieć, czy to efekt ich wyczerpania. Byłoby nadmiernym optymizmem sądzić, iż to skutek wejścia do walki nowego rodzaju broni – dostarczonych przez USA wyrzutni rakietowych Himars jest tylko osiem. Choć Ukraińcy podobno wykorzystują je bardzo efektywnie: Himarsy mają pracować 24 godziny na dobę, obsługiwane przez trzy zmiany żołnierzy. Ich zasięg i celność sprawiają, że – w połączeniu z dobrym rozpoznaniem newralgicznych punktów Rosjan (jak składy amunicji i sztaby) – są w stanie zadawać im bolesne straty.

Jednak osiem Himarsów (wkrótce dojść ma ich jeszcze kilka) to za mało, by zmienić bieg wojny. Tymczasem ostatnio dynamika dostaw sprzętu z Zachodu dla Ukrainy zdaje się słabnąć – w chwili, gdy po stronie ukraińskiej dają o sobie znać coraz większe braki w sprzęcie, zużytym i straconym. Tym istotniejsze są sygnały jak ten z minionego tygodnia: że polska armia może przekazać Ukrainie kolejnych ok. 230 czołgów (w zamian otrzymując od USA używane Abramsy).

Jak to ujął pewien politolog: jeśli Rosja przestanie walczyć, skończy się wojna. Natomiast jeśli Ukraina przestanie walczyć, przestanie istnieć Ukraina. ©℗

Co ujawniły „Uber Files"

DZIENNIKARSKIE ŚLEDZTWO, podczas którego analizowano ponad 100 tys. dokumentów międzynarodowej korporacji przewozowej Uber, pokazuje jej darwinowskie podejście do swojego otoczenia.

Na wyzwanie, jakim są niepoddające się społecznej kontroli globalne korporacje i grupy interesów, media odpowiadają globalizacją dziennikarstwa. Dzięki współpracy redakcji z wielu krajów, skupionych wokół Międzynarodowego Konsorcjum Dziennikarzy Śledczych (ICIJ), poznaliśmy wcześniej finansowe przestępstwa np. w sprawach „Pandora Papers" czy „Panama Papers". Teraz nad tematem Ubera – nazwanym „Uber Files" – pracowało 180 dziennikarzy z 40 redakcji, a przedmiotem ich analizy była m.in. korespondencja Travisa Kalanicka, współzałożyciela i byłego prezesa Ubera, z kadrą kierowniczą.

W jednej z wiadomości Kalanick, odpowiadając na obawy o bezpieczeństwo kierowców Ubera podczas protestów francuskich taksówkarzy, pisał, że „warto to zrobić (...), przemoc gwarantuje sukces". Strategię podgrzewania konfliktów powtórzono w kilku krajach. Kalanick miał kontakt z Emmanuelem Macronem (gdy ten był ministrem gospodarki; obaj byli „na ty"), który miał działać na rzecz Ubera. Dokumenty pokazują, że Uber sporo inwestował w niejawny lobbing na rzecz swoich interesów u europejskich polityków. Kontaktowano się m.in. z byłą komisarz UE ds. agendy cyfrowej Neelie Kroes, która po zakończeniu swej kadencji lobbowała na rzecz Ubera (w wewnętrznej komunikacji podkreślano, że relacja z Kroes powinna zostać tajemnicą). Nie udało się z Olafem Scholzem – kiedy ten był burmistrzem Hamburga, chciał, by Uber wypłacał kierowcom pensję minimalną. Wśród dyrektorów Ubera zyskał przez to łatkę „komedianta".

Uber wydawał miliony na lobbing, skłaniając rządy do zmiany prawa na swą korzyść, a gdy nie było to możliwe, obchodząc prawo („Czasem mamy kłopoty, bo, no cóż, jesteśmy, ku..., nielegalni" – pisał jeden z dyrektorów; „status inny niż legalny" to fraza występująca w wewnętrznej komunikacji).

Dokumenty pochodzą z lat 2013-17. Korporacja nie zaprzecza informacjom zawartym w „Uber Files", ale twierdzi, że po zmianie prezesa w 2017 r. (Kalanicka wyrzucono) zmieniono styl działania.

©℗ PATRYK STANIK

Źródła: Guardian, BBC, ICIJ.com
Więcej na **powszech.net/uberfiles**

BR. BENEDYKT PĄCZKA, MISJONARZ:

Okna na świat

ARCHIWUM PRYWATNE

EDWARD AUGUSTYN: Jak nadać z Krakowa do Republiki Środkowoafrykańskiej kilkutonową paczkę?

BENEDYKT PĄCZKA: Nie jest łatwo. Trzeba by ją wysłać drogą morską do Kamerunu, a stamtąd jeszcze prawie 1000 km drogą lądową. Transport kosztowny i kłopotliwy. Ale nam udało się to zrobić za darmo, bez jakichkolwiek formalności i opłat celnych, dzięki pomocy belgijskiego wojska, które dostarcza pomoc humanitarną. Jeden z generałów był na koncercie naszych uczniów. Zapytałem, czy nie pomógłby w transporcie okien do budowanej szkoły. W ten sposób 84 okna za blisko 200 tys. zł, które zebrała dla nas krakowska fundacja Akeda, najpierw pojechały TIR-em do Brukseli, a w sobotę 16 lipca – samolotem do Bangui, stolicy RŚA. Dalej przewieziemy je sami.

Nie prościej było kupić na miejscu?

Niestety, tak dobrych okien tam nie znajdziemy. Wszyscy zresztą myślą, że budowa w Afryce jest tania. Za pracę płaci się mniej, ale materiały są dwa, trzy razy droższe niż w Polsce. Koszt budowy i utrzymania szkoły pokrywamy z ofiar od ludzi. Jak dotąd nie dostaliśmy żadnego wsparcia od państwa, choć nasza African Music School jest jedyną szkołą muzyczną w kraju. Mamy w niej 80 dzieci, którym oprócz nauki zapewniamy wyżywienie, opiekę medyczną, ubrania. Roczny koszt utrzymania jednego ucznia to 1,5 tys. zł. Gdyby ktoś chciał nas wesprzeć, proszę o kontakt, można mnie znaleźć na Facebooku.

Transport okien to nie jedyny Wasz sukces w ostatnim tygodniu.

Po raz pierwszy trzech utalentowanych uczniów dostało się do szkół za granicą. Hipolit, perkusista, zdał właśnie egzamin do Krakowskiej Szkoły Jazzu. Christophe, gitarzysta, zaczął wakacyjny kurs w prestiżowym – i bardzo drogim – konserwatorium Boston Berklee. Mam nadzieję, że zostanie tam przyjęty na studia i że znajdziemy na to fundusze. Trzeci wybitny uczeń, Pino, zdał egzamin do szkoły w Nancy, ale naukę rozpocznie za rok, gdy skończy 16 lat. Dla tych chłopców i ich rodzin to ogromna szansa, dla nas – wielka inwestycja. Ale właśnie takie było moje marzenie, gdy w 2016 r. zakładałem szkołę i zaczynałem akcję „instrumenty zamiast broni".

BR. BENEDYKT PĄCZKA, *kapucyn, jest dyrektorem African Music School w Bouar (RŚA).*

KOŚCIÓŁ W SKRÓCIE

OBIETNICA

Papież dotrzymał obietnicy złożonej w mediach i w skład Dykasterii ds. Biskupów (która ma wpływ m.in. na nominacje biskupie) weszły kobiety: francuska zakonnica Yvonne Reungoat, była przełożona generalna Zgromadzenia Córek Maryi Wspomożycielki, Włoszka s. Raffaella Petrini, mianowana w ub.r. sekretarzem generalnym Gubernatoratu Państwa i Miasta Watykanu, oraz działaczka z Argentyny, Maria Lia Zervino, przewodnicząca Światowej Unii Katolickich Organizacji Kobiet.

OFERTA

„Mam nadzieję żyć w większej prostocie" – tak biskup amerykańskiej diecezji Belleville w stanie Illinois Michael McGovern tłumaczy decyzję wystawienia na sprzedaż 13-pokojowej rezydencji biskupiej. Swój zamiar hierarcha zrealizował po rocznych konsultacjach w diecezji. Pieniądze zostaną przeznaczone na pomoc kobietom w ciąży, wsparcie katolickiej edukacji i duszpasterstwo młodzieży. Biskup zamieszka na plebani katedry.

EWENTUALNOŚĆ

„Na razie nie mam zamiaru rezygnować – powiedział Franciszek w dwugodzinnej rozmowie z meksykańskimi mediami. – Jeśli dożyję do rezygnacji, to chciałbym poświęcić ten czas spowiadaniu wiernych i odwiedzaniu chorych w jakiejś włoskiej parafii" – dodał.

RDC POLSKIE RADIO

DZIENNIKARZE I AUTORZY „TYGODNIKA" co tydzień są gośćmi Grzegorza Chlasty w Polskim Radiu RDC. Audycję można także odsłuchać w podkastach na stronie internetowej radia www.rdc.pl

Warszawa 101 FM | Płock 101,9 FM
Ostrołęka 100,8 FM | Radom 89,1 FM
Siedlce 103,4 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM

Antykoncepcja i in vitro: idą zmiany w nauczaniu?

„MĄDREGO WYBORU" technik antykoncepcji może dokonać para małżeńska w sytuacjach, gdy „praktyczne okoliczności uczyniłyby prokreację nieodpowiedzialną". Podobnie w niektórych sytuacjach zabieg zapłodnienia *in vitro* należałoby traktować jako dozwoloną „interwencję terapeutyczną". Do takich m.in. wniosków dochodzą autorzy opublikowanego przez watykańskie wydawnictwo 528-stronicowego tomu „Teologiczna etyka życia. Pismo, tradycja, praktyczne wyzwania". Książka zawiera materiały ze zorganizowanego w ubiegłym roku przez Papieską Akademię Życia seminarium poświęconego spornym kwestiom etycznym – antykoncepcji, *in vitro* oraz postępowaniu w przypadkach chorób terminalnych. Inspiracją był opracowany przez Akademię tekst bazowy, starający się uwzględnić w myśleniu moralnym intuicje papieża Franciszka, który kładzie nacisk na rolę sumienia i rozeznania moralnego w konkretnych okolicznościach życiowych.

Konserwatyści przestrzegają, że Akademia dąży do zerwania z dotychczasowym nauczaniem. Obrońcy wskazują, że narzucająca się interpretacja obecnego nauczania prowadzi do rygoryzmu wykoślawiającego katolicką moralność. Jedni i drudzy zastanawiają się, czy papież wykorzysta ów tom do napisania nowej encykliki poruszającej tematy moralne.

©℗ ARTUR SPORNIAK

Chmury nad Górą Oliwną

IZRAELSKI RZĄD chce utworzyć park narodowy z terenu Góry Oliwnej w Jerozolimie. „Chodzi o otoczenie Starego Miasta Jerozolimy i narzucenie mu wyłącznie żydowskiej obecności i historii" – uważa Daniel Seidemann, prawnik specjalizujący się w sporach terytorialnych we wschodniej Jerozolimie. Jego zdaniem historyczne wzniesienie nie potrzebuje dodatkowej ochrony, ponieważ opiekują się nim mieszkające tam wspólnoty religijne. Przeciwko planom zaprotestowało trzech zwierzchników kościelnych w Jerozolimie, w tym kustosz franciszkanów o. Francesco Patton.

Góra Oliwna (818 m n.p.m.) znajduje się we wschodniej części Jerozolimy i oddziela miasto od Pustyni Judzkiej. Jej południowe stoki od pokoleń zamieszkują Palestyńczycy, którzy w związku z nowymi planami boją się wysiedlenia. Na wzgórzu znajdują się świątynie prawosławne, katolickie i protestanckie oraz żydowska nekropolia.

©℗ ASK

KULTURA W SKRÓCIE

AUTOPORTRET UKRYTY

Pracownicy Narodowej Galerii Szkocji podczas badania rentgenowskiego jednego z obrazów van Gogha odkryli nieznany dotąd autoportret artysty ukryty za tekturą i warstwami kleju. Trwają prace konserwatorskie.

TRZY RZEŹBY

W Pałacu na Wyspie w Łazienkach Królewskich do 15 listopada oglądać można trzy prace Augusta Rodina. Wystawa prezentuje rzeźbę „Ewa" w białym marmurze oraz dwa odlewy z brązu: „Jean d'Aire" i „Mały tors męski" pochodzące z Państwowych Zbiorów Sztuki w Dreźnie.

SZLAK FILMOWY

Akademia Muzyczna w Łodzi udostępnia do zwiedzania wnętrza swojej głównej siedziby – dawnej fabrykanckiej rezydencji Karola Poznańskiego przy ul. Gdańskiej. Budynek zagrał w wielu serialach i filmach, m.in. w „Ziemi obiecanej" Wajdy. W tym roku trafił na listę miejsc składających się na Szlak Miasta Filmowego UNESCO.

ZDJĘCIA GWIAZD

AstroCamera to Międzynarodowy Konkurs Astrofotograficzny organizowany co roku przez gdańskie Hevelianum. Jego jubileuszową, dziesiątą edycję zwieńczono wystawą wybranych, zwycięskich prac z dotychczasowych odsłon konkursu. Ekspozycja potrwa do końca sierpnia, a motywem przewodnim jest światło.

TOK FM Pierwsze Radio Informacyj

DZIENNIKARZE I AUTORZY „TYGODNIKA" co tydzień goszczą w programie „Światopodgląd" Agnieszki Lichnerowicz w radiu TOK FM. Słuchaj od wtorku do piątku o godzinie 15.00. Zapraszamy!
95,2 FM Gdynia | 97,7 FM Poznań
97,4 FM Łódź | 95,8 FM Wrocław
97,4 FM Katowice | 96,9 FM Opole
www.tokfm.pl

JOAN LLADO / GTRES / SPLASHNEWS.COM / EAST NEWS

ROBERT LEWANDOWSKI za 50 milionów euro przeszedł z Bayernu do Barcelony – drużyny, której nazwa kojarzy się ze wszystkim, co w futbolu najpiękniejsze. Pytanie tylko, ile zostało z mitu „więcej niż klubu"? „Prawda jest taka, że już od dawna nie ma tu żadnego projektu czy planu. Jest łatanie dziur i gaszenie pożarów na bieżąco" – mówił niedługo przed wyjazdem z Katalonii Leo Messi. Czy najlepszy polski piłkarz przyczyni się do odbudowy postawionej niegdyś przez Johana Cruyffa „katedry"? ©℗
Czytaj w tekście Michała Okońskiego: **powszech.net/lewybarca**

Edytor DNA w testach klinicznych

W NOWEJ ZELANDII pierwszy pacjent na świecie otrzymał innowacyjną terapię genetyczną, która precyzyjnie naprawia DNA bezpośrednio w komórkach pacjenta. Lek VERVE-101 ma zostać podany do końca roku, również w USA, 40 chorym na dziedziczną rodzinną hipercholesterolemię – zaburzenie metaboliczne prowadzące do podwyższonego poziomu cholesterolu i sprzyjające powstawaniu chorób krążenia.

Terapia opiera się na metodzie naprawy mutacji poprzez edycję zasad, czyli podstawowych cegiełek budulcowych DNA. Mutacje polegają na trwałej zmianie jednej zasady w inną, co może mieć wpływ na funkcjonowanie komórki – i całego organizmu. Lek określany jako edytor zasad (ang. *base editor*) składa się z trzech elementów: cząsteczki RNA, która odszukuje właściwy fragment DNA, enzymu Cas9, który w tym miejscu rozwija nici i go nacina, oraz drugiego enzymu, który dokonuje korekty – wymienia zmutowaną zasadę na poprawną. Wkrótce mają się rozpocząć również testy kliniczne terapii BEAM-101, która przy pomocy edycji zasad ma zwiększyć produkcję hemoglobiny płodowej w leczeniu anemii sierpowatej i β-talasemii. © ANNA BARTOSIK

Żniwa u gryzoni

SĄ MAŁE I PRACOWITE – żyjące w Ameryce Północnej i Środkowej goffery kopią tunele, których długość może dochodzić do 160 m. Po co to robią? Aby odpowiedzieć na to pytanie, Veronica Selden, studentka Uniwersytetu Florydy, i Francis E. Putz, jej wykładowca, umieścili w tunelach tych gryzoni metalowe przegrody, które uniemożliwiały im swobodne korzystanie z niektórych części. Okazało się, że wyłączone z użytku tunele szybko zarosły korzeniami rozmaitych roślin. W pozostałych miejscach korzeni nie było widać – goffery najwidoczniej je zjadały. Autorzy opisanego w „Current Biology" eksperymentu twierdzą, że podziemną działalność tych gryzoni można porównać do prymitywnego rolnictwa: w dobrze napowietrzonej dzięki tunelom glebie, nawożonej odchodami gofferów, korzenie rosną szybciej, sprzyja temu także ich regularne podgryzanie. Żniwa gofferów nie muszą być jednak zbyt obfite – zapewniają im od 20 do 60 proc. zapotrzebowania energetycznego. Dietę prawdopodobnie muszą uzupełniać żerowaniem na powierzchni. ©℗ ŁK

DOMENA PUBLICZNA / WIKIPEDIA

STULECIE SAMOTNOŚCI

Kosztuje miliardy, unieszczęśliwia miliony, zabija tysiące. Jej epidemię dostrzegły Stany Zjednoczone i niektóre kraje Europy. Polska jeszcze nie.

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Studentka A.: „Pojawia się, gdy jestem na uczelni, nie znam ludzi (...); gdy czuję się niezauważona, ignorowana (...); gdy zawiodę się na ludziach, którym ufałam, przypomnę sobie o ludziach, których straciłam".

Prof. Zofia Dołęga, psycholożka Uniwersytetu SWPS, badaczka samotności: – Żywi się często przeszłością i przyszłością. Była bolesna strata, deficyt, a jest lęk, że takie straty się powtórzą. Bywa więc, że się w nią osuwamy.

Studentka B.: „Zapewniam sobie bardzo dużo zajęć, aby nie mieć czasu na pamięć o samotności. Po ciężkim dniu łatwiej zasnąć, zanim zacznę płakać".

Prof. Dołęga: – Może być emocjonalna, to ta najbardziej pierwotna. Może być społeczna, wtedy dotyczy relacji w grupie. I egzystencjalna: coraz więcej z nas czuje się samotnymi z tym, że świat staje się pozbawiony sensu, niezrozumiały, niesterowalny.

Studentka C. (cytaty za raportem z badań dr Joanny Wrótniak z UMCS): „Odbiera radość, przez nią traci się pewność siebie, często też popada w depresję".

Prof. Dołęga: – Jest jak choroba. Podwyższony kortyzol, zwiększona czujność, przyspieszony rytm serca. Potrafi zabić.

Epidemia – mówią o niej od kilku lat eksperci.

Więzienie jak ukojenie

W nagłówkach amerykańskich gazet pojawiła się przed epidemią COVID-19. W 2018 r. „The Washington Post" tak właśnie („We have an epidemic of loneliness") zatytułował jeden z tekstów, pisząc, że to samotność – nie otyłość, nie choroby serca, nie nowotwory – stanowi

największy narodowy problem zdrowotny. Jedno z badań wykazało, że połowa Amerykanów czasem, często lub zawsze czuje się samotna.

Na wyższy pułap społecznej świadomości temat wyniosła amerykańska ekonomistka Noreena Hertz, publikując książkę „The Lonely Century" (w lutym, pod tytułem „Stulecie samotnych", ukazało się polskie wydanie; przekład: Patrycja Zarawska). To z niej świat dowiedział się, że współcześnie znacznie rzadziej niż nawet dekadę temu wykonujemy cokolwiek z innymi ludźmi – od wychodzenia do kościoła czy synagogi, przez jedzenie wspólnych obiadów, aż po uprawianie seksu; że samotność to więcej niż brak bliskich, nawet brak poczucia akceptacji czy przynależności (autorka wiele miejsca poświęca poczuciu samotności polityczno-ekonomicznej); że wywołuje choroby. I że człowiek jest w stanie zrobić wiele, by z samotności się wyrwać: np. Japończycy popełniają drobne kradzieże, by wreszcie – choćby i za więziennymi kratami – pobyć z innymi.

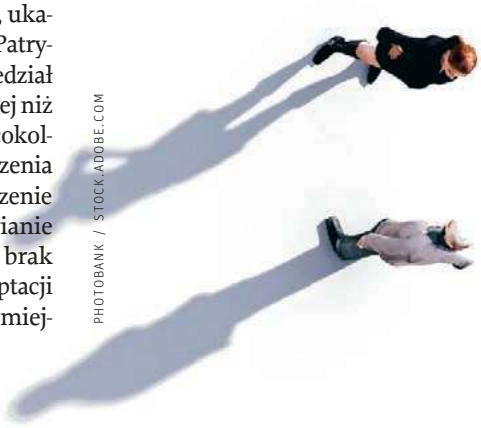

PHOTOBANK / STOCK.ADOBE.COM

„Chcę zmierzyć się z tym wyzwaniem dla naszego społeczeństwa" – ogłosiła ponad cztery lata temu premier Wielkiej Brytanii Theresa May, powołując ministrę ds. samotności. Podobnie – już w czasie epidemii – uczyniła Japonia. Unia Europejska poświęciła temu zjawisku wiele badań, choćby raport porównujący samotność przed i w czasie epidemii. Pokazał on, że Europa AD 2020 cierpiała na poczucie osamotnienia ponad dwa razy bardziej niż w 2016 r.

Dane z Polski są nie mniej alarmujące. Po pierwsze, stopniowo zwiększa się u nas odsetek jednoosobowych gospodarstw bez dzieci. Wzrasta też – ważniejsza dla badaczy zjawiska niż sama izolacja – skala poczucia samotności. Ten sam ↦

↦ unijny raport pokazał, że o ile w 2016 r. na pytanie o to poczucie w ciągu dwóch tygodni poprzedzających badanie twierdząco odpowiadało 9,4 proc. Polaków, o tyle w trakcie pandemii było to 26 proc.

Polskie, niezbyt liczne badania na ten temat skupiają się tradycyjnie na jednej grupie – seniorach.

Polska rodzinna, tylko co z tego

„Niektórzy dyrektorzy chwalili się, że zrobili ze swoich domów (...) Alcatraz" – opowiadał mi na początku epidemii Adam Zawisny, m.in. ekspert od funkcjonowania zamykanych wtedy na cztery spusty domów pomocy społecznej. Dodawał, że „to izolacja zaczyna być największym zagrożeniem. Od mieszkańca łódzkiego DPS-u usłyszeliśmy, że jeśli nic się nie zmieni, może sobie coś zrobić". Słowa Zawisnego były prorocze. Wiele DPS-ów utrzymywało status warowni miesiącami.

Jesienią 2020 r. dr hab. Paweł Kubicki, gerontolog SGH, tłumaczył mi, co dzieje się z mieszkańcem DPS-u, który na nikogo nie czeka. „Proszę to sobie wyobrazić – mówił. – Jestem sam przez większość czasu, ale od czwartku myślę już powoli o sobotniej wizycie kogoś bliskiego (...) A jeśli taka wizyta mnie nie czeka – planuję wypad do fryzjera albo kawiarni. Jeśli niczego takiego w najbliższej perspektywie nie ma, kładę się do łóżka i z niego nie wstaję. A gdy taki stan rzeczy utrzymuje się (...) przez miesiące, to zaczynam gasnąć".

„Śmierć z samotności" to dowiedziona w badaniach prawidłowość: – Psycholog społeczny John Cacioppo wykazał, że ten wirus rozwija się szybciej tam, gdzie ludzie są sami – mówi prof. Dołęga. – Badacze przyglądali się dzielnicom, z których wyjeżdżali masowo młodzi, zostawiając starszych. Chorowali oni częściej i umierali szybciej niż w ogólnej populacji.

PolSenior, jedyne tak przekrojowe i kompleksowe badanie sytuacji osób starszych, którego druga edycja miała miejsce przed pandemią, pokazało, że 11 proc. mężczyzn powyżej 60. roku życia i 27 proc. kobiet mieszka w pojedynkę [zob. ramkę o specyfice samotności kobiet na str. 16 – red.].

– Te wskaźniki będą wzrastać – nie ma wątpliwości prof. Piotr Szukalski, demograf Uniwersytetu Łódzkiego. – W liczbach bezwzględnych, bo będzie coraz więcej seniorów, i jeśli chodzi o odsetki, bo będzie rósł udział w tej grupie osób powyżej 80. roku życia, siłą rzeczy mieszkających najczęściej w pojedynkę.

Wzrasta też poczucie samotności: towarzyszy ono czasami więcej niż co czwartej kobiecie i niemal co piątemu mężczyźnie powyżej 60. roku życia. Badania PolSenior2 pokazują też, jak bardzo z samotnością sprzężona jest depresja. O ile objawy tej choroby występują u 13 proc. prawie nigdy nieodczuwających samotności, o tyle wśród odczuwających ją prawie zawsze to aż 74 proc.

W innych badaniach można odnaleźć zaskakujące wnioski. Dr Anita Abramowska-Kmon, demografka SGH, przeanalizowała publikowane kilka lat temu dane z projektu „SHARE: 50+ w Europie". W porównaniu z innymi krajami osoby starsze w Polsce miały największą, bo sięgającą średnio niemal 10 osób sieć rodzinną (wnuki, dzieci, rodzeństwo, małżonkowie), podczas gdy np. w Estonii, Grecji czy Niemczech wartość ta nie przekraczała 7.

Tyle że gdy badaczka przyjrzała się innemu wskaźnikowi – wielkości tzw. sieci społecznej, czyli rodziny i przyjaciół, z którymi respondent „może porozmawiać o swoich problemach" – zobaczyła Polskę z pozycji lidera lądującą w ogonie stawki. O ile w Austrii czy Szwajcarii przeciętna osoba powyżej 65. roku życia ma obok siebie ponad 3 takie osoby, w Polsce wartość ta nie przekracza 2,35.

– W tej sieci wymieniane jest przeciętnie jedno dziecko seniora, choć przecież w rodzinach bywa ich dwójka, trójka i więcej – relacjonuje dr Abramowska-Kmon. – Polski senior ma też niewielu przyjaciół od serca: przeciętnie tylko 0,15 na osobę, podczas gdy w Austrii, Belgii, Szwecji czy Francji wskaźnik ten przekracza 0,6.

Mobilność młodych: to najkrótsza odpowiedź autorów PolSeniora na pytanie o podglebie samotności starszych. Kacper Fic, psychoterapeuta z warszawskiej poradni psychologicznej Sensity, która reklamuje się m.in. pomocą dla samotnych, dodaje, że na osamotnienie statystycznego seniora składa się też drugi komponent: – Wychował się w innych czasach, więc nie mieści mu się często w głowie, że można mieć gromadkę dzieci i wnuków, a widzieć ich tylko dwa razy do roku. Wielu boi się też oskarżenia, że się narzucają, więc przeżywają samotność w milczeniu – mówi.

Tożsamościowe moratorium

„Siedzę sobie w gabinecie na piętrze i przychodzi do mnie 8-letni chłopiec. Zachwycony, że jakiś dorosły z nim rozmawia, patrzy na niego, jest na nim tylko skupiony. Widać, że to są dla niego krótkie chwile szczęścia" – opowiadał „TP" w samym środku epidemii Krzysztof Sarzała, pedagog i socjoterapeuta Fundacji Dajemy Dzieciom Siłę.

Dodawał, że słowo-klucz opisujące dziś dzieci i nastolatków to „brak". Podczas lockdownu brak rówieśników, poza nim brak rodziców. I szkoły, która jest „zafiksowana na Zoomach, Teamsach, łączeniach. Na wypełnianiu papierów, na wymaganiach dyrektorki. Na didaskaliach. Ci, którzy powinni być na tej scenie najważniejsi, są w tle".

Znowu, pandemia tylko wyjaskrawiła problem: – Od dawna się mówi, że nie ma nikogo bardziej samotnego od nastolatków – mówi prof. Dołęga. – Bo też nie ma drugiego takiego okresu w życiu. Dzieją się już procesy, które można nazwać wykluwaniem się dorosłego, a coraz częściej nie ma kto nastolatkom w tej drodze towarzyszyć.

Badania prof. Dołęgi prowadzone przed pandemią na grupie ponad 1400 nastolatków pokazały, że około 30 proc. młodych ludzi odczuwa samotność o przynajmniej średnim nasileniu.

Nie lepiej jest z grupą tzw. młodych dorosłych. Brytyjskie badanie BBC Loneliness Experiment z 2018 r. pokazało, że o ile wskaźniki samotności w większości grup oscylują wokół 30 proc., w grupie 16-24 lat szybują do 40 proc.

W Polsce osoby w wieku studenckim badała w 2020 r. cytowana już dr Wrótniak. Na pytanie: „czy zdarza się, że czujesz się samotny?" – „zdecydowanie tak" lub „raczej tak" odpowiedziała ponad połowa respondentów. Większość przyznawała, że sama wizja samotności jest dla nich przerażająca. „Boję się, że spędzę całe życie sama, patrząc na szczęście innych" – zwierzała się jedna z badanych osób. Autorka raportu zapytała studentów, jak z samotnością walczą. Jeden odpowiedział, że żyje dalej, bo samotność czuł już tyle razy, że stała się ona częścią życia. Inny stwierdził: „Myślę, najczęściej też płaczę i łapię doła".

– O tym okresie życia mówi się, że to tożsamościowe moratorium, czyli szukania siebie – mówi prof. Dołęga. – Tyle że to moratorium bardzo się wydłużyło.

Po studiach młodzi ludzie tkwią w stanie nieważkości, na co świat im, inaczej niż kiedyś, pozwala. To quasi-dzieciństwo, np. mieszkanie z rodzicami do 35. roku życia, paradoksalnie zwiększa poczucie nieosadzenia w życiu i samotności.

Kacper Fic w historiach przychodzących doń młodych dorosłych widzi lęk przed bliskością: – Wielu czuje, że muszą być „jacyś", by zasłużyć na uczucia. Jacyś, czyli bogatsi, lepiej wykształceni, z sukcesami. Do takich postaw jesteśmy przyuczani już w dzieciństwie. Ten wzorzec warunkowanej miłości skazuje nas na większą samotność.

Przytulanie na godziny

Esemes przychodzi o 5.21 w niedzielny poranek: „Mogę zaproponować 12.30". Wszystko przez wypchany grafik: w tygodniu Anna pracuje na etacie, w weekendy przytula – tym razem klient zajął całą sobotę, a potem pół niedzieli, od siódmej do dwunastej.

Gdy się łączymy, widzę rozpromienioną twarz kobiety w okolicach trzydziestki, która patrzy pewnie w oko kamery. Czerwony, dwuosobowy materac, na którym siedzi po turecku wyprostowana jak struna, odróżnia się od śnieżnobiałego tła ścian. Po drugiej stronie lokalu leżą karimaty – by je pokazać, Anna podnosi się energicznie wraz z komputerem i robi prezentację. Pokaże też rolety: gabinet jest na parterze, a klient musi się czuć bezpiecznie. Zwłaszcza że za oknem widać ruchliwy parking, a za nim plac zabaw.

Jesteśmy w centrum Wrocławia, ale początek to Warszawa. To tu od osób napotykanych zawodowo coraz częściej słyszała o braku i niepewności: – O nienakarmionej potrzebie kontaktu, braku uważności i zrozumienia wobec własnego ciała, bliskości, dotyku – precyzuje Anna. – W dodatku sama przeżyłam odrzucenie, bycie „niewystarczającą" dla innych. Praca z ciałem i m.in. doświadczenie przyjaznego, platonicznego dotyku pomogły mi znaleźć w sobie miłość i poczucie akceptacji.

Najpierw zatrudnia się w warszawskiej firmie oferującej przytulanie. Potem koordynuje pracę innych przytulaczy. Wreszcie zakłada własną działalność. Koszt usługi to dziś 150 zł za godzinę, ale w promocji cena spada nawet do 100 zł.

Początek sesji: medytacja prowadzona, czyli moment, w którym Anna czerpie z jogi, chcąc wprowadzić klienta w „tu i teraz". Potem jest zwykle ustalanie granic – bywają osoby nienawykłe do bliskości. Wtedy Anna i klient trenują: kontakt wzrokowy, dotyk dłońmi na zasadzie lustra, głaskanie. Samo przytulanie to wszystkie możliwe pozycje: tradycyjnie, czyli na misia, na tzw. kotka, czyli głowa klienta na kolanach Anny lub w pozycji „łyżeczki". Oryginalne życzenia?

– Np. prośby o przytulanie lub gładzenie po głowie tak, jak przytula się i gładzi dziecko. Dość często bywa, że rozluźniony klient na jakiś czas zasypia.

Pytam o ryzyko, że ktoś odczyta przytulanie jako usługę seksualną. Anna już podczas rozmowy telefonicznej informuje, że to usługa platoniczna, a potem klient podpisuje jeszcze regulamin. Po co więc przychodzą?

– Są ludzie po trudnym doświadczeniu z dotykiem, potrzebujący odzyskać zaufanie – wylicza Anna. – Inni odczuwają jakiś brak, np. w relacjach. Bywają osoby aseksualne, szukające nienacechowanej erotycznie bliskości. I tacy, którym ten dotyk pomaga w ponownej akceptacji ciała. Zdarzają się osoby, które nie lubią swoich nóg, kolan, łopatek – gdy wspólnie, za ich przyzwoleniem, te części dotykamy, otwierają się na głębokie odczuwanie, nawet jeżeli bywa to trudne.

> Współcześnie znacznie rzadziej niż nawet dekadę temu wykonujemy cokolwiek z innymi ludźmi. Od wychodzenia do kościoła czy synagogi, przez jedzenie wspólnych obiadów, aż po uprawianie seksu.

Ten sektor usług opisała w 2021 r. reporterka Oktawia Kromer w książce „Usługa czysto platoniczna. Jak z samotności robi się biznes". Napisała m.in. o „szybkich randkach", czyli grupowych spotkaniach, podczas których uczestnicy co kilka minut przesiadają się od stolika do stolika, by poznawać kolejne osoby (jedna z uczestniczek opowiedziała Kromer, jak pewnego ranka zobaczyła na swojej łydce oparzenie od mającej ją ogrzewać w nocy baryłki z wrzątkiem: „Może natura chciała mi w ten sposób powiedzieć, że człowiek powinien grzać się od człowieka?" – mówi). Prześledziła rynek biur matrymonialnych. Opisała „doradców" oferujących klientom kursy skutecznego podrywu z treningami „w terenie" („Podczas dwudniowych praktyk na trasie od stacji metra Centrum do Dworca Centralnego (...) Arek zagadnął około czterdziestu dziewczyn").

Nakreśliła też historię komercyjnego przytulania: od mężczyzny, który w 2004 r. na australijskiej ulicy zaczął oferować „darmowe przytulenia", przez innego, który po jakimś czasie stanął obok niego, proponując „przytulenia ekskluzywne" za jedyne dwa dolary, aż po profesjonalne firmy. Opowieść o polskich początkach, sięgających warszawskiej, dziś już wygasłej działalności marki przytulanie.pl, autorka opatrzyła krytyką ze strony ekspertów: że to rodzaj pseudoterapii; że przytulanie za pieniądze ma się nijak do tego z bliskimi.

Z tą krytyką nie zgadza się Anna: – Przytulając, otwieram się na ukochanie człowieka jako żyjącej istoty oraz na to, że mu pomogę. Nie wiem, czy ktoś w tej branży byłby w stanie przytulać mechanicznie, a potem przyjmować za to pieniądze. Poczucie bliskości jest tworzone w równym stopniu przez obie strony.

– Pani się z tymi osobami nie zaprzyjaźni, nie zlikwiduje ich samotności – zauważam.

– Człowiek jest w stanie utrzymać znajomości z ok. 150 osobami, więc z klientami pozostajemy w relacjach zawodowych. Skąd jednak wniosek, że relacja, za którą płacimy, nie może być autentyczna i bliska? – pyta retorycznie Anna. ↦

↦ „Gospodarkę samotności" sportretowała też Noreena Hertz. Opisała m.in. historię człowieka, który wpadł w nałóg umawiania się na płatne przytulanie, czego efektem stały się miesięczne wydatki na poziomie 2 tys. dolarów, a także przeprowadzka z mieszkania do... samochodu. I rosnący w siłę rynek „robotów społecznych". Pocieszających, klepiących w ramię czy personalnie pozdrawiających („Dzień dobry, Setsuko-san. Dobrze spałaś?" – słyszy co ranek 87-letnia Japonka, do której przed zakupem długo nikt nie mówił po imieniu).

Wśród setek złych Hertz ma też jedną dobrą wiadomość: ekonomia samotności to również przerwany chwilowo przez pandemię renesans – co prawda już skomercjalizowanych – zgromadzeń i wspólnot. Dużych festiwali, celebrowanych przez nowojorskich milenialsów spotkań z gremialnym malowaniem czy haftowaniem, grupowych zajęć fitnessu czy jogi. „W czasach, kiedy uczęszczanie do kościołów przeżywa dramatyczny kryzys, praca wpędza ludzi w coraz większą samotność, zamykają się kluby młodzieżowe i ośrodki kultury (...), skomercjalizowane wspólnoty przejmują rolę katedr XXI wieku" – notuje autorka.

Cena samotności

Hertz pisze też o ekonomicznym rewersie usług dla samotnych – kosztach, jakie w związku z tą epidemią ponoszą państwa. Jeszcze przed pandemią w USA obliczono, że izolacja seniorów kosztuje narodowy system ubezpieczeń prawie 7 mld dolarów rocznie, czyli „niemal tyle samo, ile wynoszą wydatki związane z wysokim ciśnieniem krwi". Z kolei samotni Brytyjczycy po pięćdziesiątce to dla służby zdrowia koszt 1,2 mld funtów, „czyli tyle, ile wydaje (...) całe Ministerstwo do spraw Mieszkaniowych, Władz Lokalnych i Samorządów".

Prof. Elżbieta Mączyńska, ekonomistka związana z SGH, zauważa, że choć w Polsce nikt nie kwapi się do podobnych analiz, milionowe koszty widać gołym okiem: choroby wywołane samotnością – leczenie, mniejsza efektywność, krótsze życie – kosztują i państwo, i biznes.

– Liczy się też cena mieszkania i życia w pojedynkę – mówi ekonomistka. – Np. koszt utrzymania gospodarstwa jednoosobowego, a tych jest coraz więcej, jest *per capita* znacznie wyższy niż w przypadku wieloosobowych.

SAMOTNOŚĆ: RODZAJ ŻEŃSKI

27 proc. kobiet w przedziale 65 plus mieszka w pojedynkę, podczas gdy ten sam wskaźnik dotyczący mężczyzn wynosi 11 proc. Także wdowieństwo to w zdecydowanej większości los kobiet. Niekorzystna dla nich proporcja związana jest z dłuższym przeciętnym trwaniem życia i rośnie wraz z wiekiem, osiągając największą rozpiętość w grupie osób sędziwych (80 plus).

28,7 proc. starszych kobiet czuje się czasami samotna, podczas gdy wśród mężczyzn to 18,4 proc. Często lub zawsze do tego uczucia przyznaje się ponad 8 proc. kobiet i ponad 4 proc. mężczyzn. Badania brytyjskie pokazują z kolei, że to kobiety mają większą trudność z przyznaniem się do poczucia osamotnienia – częściej odbierają ten stan jako stygmatyzujący i wstydliwy.

2,5 miliona polskich rodziców opiekuje się na co dzień swoimi dziećmi samemu. Tu też życie w pojedynkę ma twarz kobiety: stanowią one 85 proc. ogółu samotnych rodziców. Tymczasem kwota zaległości mieszkających z dala od swoich dzieci rodziców, którzy nie płacą alimentów, wynosiła w 2020 r. ponad 11 mld złotych. Również z tego powodu osoby samotnie wychowujące potomstwo należą do grup najbardziej zagrożonych ubóstwem.

48 proc. Takiemu odsetkowi żyjących w Europie samotnych matek grozi właśnie ubóstwo i wykluczenie. Wśród mężczyzn wychowujących w pojedynkę dzieci ten sam wskaźnik wynosi 32 proc. Także w całej Europie – podobnie jak w Polsce – kobiety stanowią zdecydowaną większość samotnie opiekujących się potomstwem.

76,7 proc. starszych kobiet, które prawie zawsze czują się samotne, cierpi w Polsce na depresję. Analogiczny wskaźnik wśród mężczyzn jest o dziewięć punktów procentowych niższy.

Źródła: „Raport o samotności" Szlachetnej Paczki, PolSenior2, BBC Loneliness Experiment.

Prof. Mączyńska dodaje, że tam, gdzie potraktowano samotność jako społeczny problem, nie zrobiono tego wcale z altruistycznych pobudek: – Do Theresy May, która zdecydowała się powołać ministerstwo ds. samotności, zaczęły po prostu napływać sygnały od przedsiębiorców, którzy dostrzegli u pracowników większą częstotliwość chorób, zwolnień i coraz większą bezradność w relacjach. Powiązali te problemy z samotnością, wyliczyli koszty, a potem zawieźli raport do pani premier.

Według ekonomistki SGH współczesny, stechnologizowany rynek nie tylko na samotność odpowiada, ale też zjawisko to napędza: – Możemy przez rok nie wychodzić z domu, a żyć. Pracować, kupować, uczyć się. Noreena Hertz pisze, że duża część Japończyków potrafi przez dwa tygodnie nie zamienić z nikim słowa, nawet przez telefon, funkcjonując przy tym „normalnie".

To nie jest kraj dla samotnych ludzi

Skąd właściwie do nas przychodzi?

Z technologicznego postępu, powiadają jedni, zwracając uwagę, że np. urządzenia ekranowe i media społecznościowe nie tylko odciągają nas od ludzi, ale stopniowo demolują nasze społeczne kompetencje.

– Mamy kolejną już, czwartą rewolucję przemysłową, po tej pierwszej, którą symbolizuje maszyna parowa, a następnie przejściu do ery elektryczności i do tej komputerowej – mówi prof. Mączyńska. – Sztuczna inteligencja, która jest symbolem czwartej rewolucji, oferuje nam wspaniałe możliwości, ale i nasila samotność. Piąta, która już staje u wrót, to roboty współpracujące ze sobą i podejmujące decyzje za człowieka. Byłam sceptyczna, gdy parę dekad temu przeczytałam w „Trzeciej fali" Alvina Tofflera, że w przyszłości będziemy siedzieć w domach w bamboszach, bo i edukacja, i praca, i zakupy będą online, choć to słowo u Tofflera nie padało. Kiedyś nawet na studenckim spotkaniu wzniosłam toast, żeby prognozy Tofflera się nie sprawdziły. Sprawdziły się.

Z kulturowych przemian, rozpadu więzi rodzinnych – dopowiadają inni.

Noreena Hertz praźródeł problemu szuka w latach 80. i narodzinach neoliberalizmu. Dlatego w rozdziale „Jak trzymać się razem w rozpadającym się świe-

cie?" pisze, że nastała pora „na wdrożenie kapitalizmu w większej mierze opartego na trosce i życzliwości". W praktyce oznaczałoby to wedle autorki „Stulecia samotnych" np. poważne zmiany w polityce społecznej, zdrowotnej czy edukacyjnej.

Polska samotność – na razie niewidzialna dla rządzących, ale też w dużej mierze dla biznesu i nauki – dopiero się rozpędza: wiele rzeczy urządziliśmy tak, jakbyśmy chcieli czym prędzej dobić do światowych liderów.

Choćby edukację – dziś pole wyścigu i gonitwy, jakich nie powstydziłaby się niejedna prężna korporacja.

Albo system ochrony zdrowia: – W kraju, w którym jest kilkuset geriatrów, a połowa nie pracuje w zawodzie, trudno mówić o jakiejkolwiek reakcji systemu na starzenie się społeczeństwa i samotność seniorów – zauważa prof. Szukalski.

Polityka społeczna? Została zbudowana, jak mówił mi półtora roku temu dr Kubicki, „dla społeczeństwa, którym w coraz mniejszym stopniu jesteśmy", bo jej podmiotem „jest dzisiaj rodzina z dziećmi, a nie pojedynczy człowiek czy społeczność lokalna. Ta sama rodzina, która zawsze była alibi dla bezczynności państwa w budowaniu systemu wsparcia dla osób z ograniczoną samodzielnością, teraz często nie spełnia swojej tradycyjnej roli".

Nawet okręt flagowy polskiej polityki, wysiłki na rzecz wyższej dzietności, płynie napędzany tylko jednym sprawnym żaglem: 500 plus. – Nie oferuje rodzinnej infrastruktury: odpowiedniej liczby pediatrów, psychologów, świetlic, żłobków itp. – mówi prof. Mączyńska. – Panuje tzw. sprywatyzowany keynesizm: rodzice muszą sobie to wszystko zapewnić, a nie wszystkich na to stać. W tej sytuacji trudno się spodziewać, by wskaźnik dzietności wzrastał. A przecież ta sytuacja pogłębia samotność, i to w dwojakim sensie: relacji „poziomych", bo będzie coraz więcej jedynaków, i pionowych, bo starzejący się rodzice, dziadkowie, kiedyś mający do dyspozycji kilkoro dzieci czy wnuków, teraz będą mieli jedno lub wcale.

„Oby dzięki tej książce – życzy na okładce polskiego wydania dzieła Hertz Jacek Santorski – sto lat samotności zamieniło się w sto lat czułości".

Na razie się na to nie zanosi.

©℗ PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Drugi człowiek na zdrowie

DR HAB. ŁUKASZ OKRUSZEK, PSYCHOLOG, NEURONAUKOWIEC:

Nawet chwilowe wystawienie człowieka na to uczucie zmienia jego wskaźniki fizjologiczne. Zrozumienie, jak poważnym problemem jest samotność, to jedno z kluczowych zadań w XXI wieku.

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI: Nasz język słabo sobie radzi z samotnością.

ŁUKASZ OKRUSZEK: Bo ma ona wiele znaczeń, a do naszej dyspozycji jest tylko jedno słowo. W słowniku przeczytamy, że może oznaczać „bycie samemu", „życie samemu" czy „mieszkanie samemu", a więc zjawiska związane z obiektywną izolacją, niekoniecznie prowadzącą do poczucia samotności.

Z drugiej strony, słowo to odsyła nas właśnie do subiektywnego odczucia: że ludzie nas zostawili, osamotnili, nie zaspokajają naszych potrzeb – możemy mieć wokół siebie wiele osób, a mimo to czuć się porzuceni.

I odwrotnie: izolacja może być odczuwana jako coś pozytywnego.

Po niemal każdym wystąpieniu, którego tematem jest samotność, dostaję sygnały w rodzaju: „Ale jak to, przecież ja kocham być w domu samemu i czytać książki". Wgląd w historię pokazuje zresztą, że samotność może być nie tylko przyjemna, ale stawać się wręcz uświęconym stanem. Weźmy figurę średniowiecznego ascety, który dzięki swojej samotności ma lepszy kontakt z Bogiem, albo romantycznego wędrowcy wśród morza mgieł. Pogląd, że bycie w społeczeństwie, wnoszenie do niego wkładu, współpraca są dobre także dla zdrowia, jest stosunkowo świeży. Niektórzy historycy dostrzegają jego ślady w oświeceniu.

A wracając do języka: Anglosasi mają rozróżnienie na *loneliness* i *solitude* – przy czym tylko to pierwsze odnosi się do negatywnie odczuwanego stanu. My trzymajmy się „izolacji" i „samotności".

Badania pokazują, że samotność szkodzi zdrowiu.

Właśnie gościliśmy w Instytucie Psychologii PAN amerykańską psycholożkę prof. Julianne Holt-Lunstad, która ustaliła wraz ze współpracownikami, że zarówno poczucie samotności, jak i obiektywna izolacja przekładają się na ryzyko zgonu porównywalne z tym, jakie stwarza nadciśnienie, otyłość, palenie papierosów czy używanie substancji psychoaktywnych.

Z kolei wyniki metaanalizy wielu badań wykazały, że zarówno samotność, jak i izolacja oznaczają wzrost o 29 proc. ryzyka choroby wieńcowej, a o 32 proc. zwiększają prawdopodobieństwo udaru. Podobne zależności wykazano w przypadku cukrzycy typu 2 czy nowotworów złośliwych. Do tego dochodzą oczywiście schorzenia neuropsychiatryczne: jedno z badań wykazało aż 60-procentowy wzrost prawdopodobieństwa choroby otępiennej wśród osób powyżej 65. roku życia, które czuły się samotne.

Przeprowadzone nie tak dawno w IP PAN badania, które Pan nadzorował, skupiły się na monitorowaniu, jak samotność przekłada się na zmienność rytmu serca. Co to takiego?

To miernik tzw. aktywności przywspółczulnej. Odpowiada za samoregulację, dzięki której reagujemy adekwatnie na potencjalne zagrożenie. Gdy idzie w naszym kierunku ktoś ↦

↦ z groźną miną i kijem w ręku, to wiemy, że należy uciekać. Ale jeśli przychodzi szef i prosi o wykonanie jakiejś ponadwymiarowej czynności, to zareagujemy inaczej. Te reakcje przekładają się też na zmienność rytmu serca – wysoka zmienność oznacza, że nasz organizm działa prawidłowo. Po prostu sygnały dotyczące zmienności w środowisku są odpowiednio przetwarzane przez układ nerwowy, pozwalając czasami na gwałtowną reakcję, a innym razem na łagodniejszą, adekwatnie do okoliczności.

Badaliście grupę młodych dorosłych, czyli osoby w wieku 18-35. Dlaczego akurat ich?

W kontekście samotności przez długi czas zwracano uwagę na nastolatków czy seniorów. Teraz coraz częściej – głównie w kontekście pandemii – dodaje się do grup ryzyka młodych dorosłych. To właśnie oni, jak pokazują badania, bardzo ucierpieli w pandemii – głównie na skutek przymusowej izolacji, zamkniętych szkół, uczelni czy trudności w znalezieniu pierwszej pracy.

Badaną grupę dobieraliście starannie nie tylko pod względem wieku.

Zrekrutowaliśmy osoby, które charakteryzowały się przeciętnym poczuciem samotności. Najpierw wypełniały one psychologiczny kwestionariusz, a my zapowiadaliśmy, że po przeanalizowaniu odpowiedzi otrzymają informacje zwrotne. Ten kwestionariusz służył uwiarygodnieniu manipulacji. Po jakimś czasie połowa osób, otrzymawszy najpierw prawdziwą informację o ich poziomie ekstrawersji, dostawała też następujący komunikat: „Jesteś typem osoby, która przez całe życie będzie miała satysfakcjonujące relacje. Będziesz w długim związku, a twoje przyjaźnie utrzymają się do późnych lat. Jest duża szansa, że zawsze będziesz miał przyjaciół i ludzi, którzy się o ciebie troszczą". Druga zaś połowa usłyszała: „Jesteś typem osoby, która może być samotna, istnieje ryzyko, że twoje przyjaźnie mogą nie przetrwać próby czasu. Możesz mieć kilka związków, ale prawdopodobnie będą one krótkotrwałe. Relacje nie trwają wiecznie, i kiedy już będziesz w wieku, gdy ludzie nie mają zbyt wielu okazji do nawiązania znajomości, istnieje prawdopodobieństwo, że będziesz coraz bardziej samotny".

MACIEJ NOWICKI / IFPS

DR HAB. ŁUKASZ OKRUSZEK jest profesorem Instytutu Psychologii Polskiej Akademii Nauk, kierownikiem Pracowni Neuronauki Społecznej. Bada samotność i relacje społeczne z punktu widzenia neuronauki społecznej. Kierownik realizowanego w IP PAN Projektu Samotność.

Aż dreszcze przechodzą... Nie mieliście etycznych wątpliwości?

Nie my pierwsi opracowaliśmy taki rodzaj manipulacji – ta metoda jest stosowana szeroko w neuronauce społecznej czy psychologii eksperymentalnej. Zadbaliśmy oczywiście, by każdy badany wyszedł z wiedzą, co się właściwie wydarzyło. Natychmiast tłumaczyliśmy, że zostali zmanipulowani, i że nie możemy niczego wiedzieć o ich przyszłych relacjach, gdyż nie mamy kryształowej kuli.

Jakie były różnice w reakcjach przedstawicieli obu grup?

Zacznijmy od tego, że grupa, która otrzymała negatywny komunikat, raportowała nam po badaniu wyższy poziom poczucia samotności, ale też podwyższony poziom gniewu, lęku i smutku. A co dla nas ważne, obserwowaliśmy też spadek wspomnianej zmienności rytmu serca. Dzięki temu ustaleniu wiemy, że nawet chwilowe wystawienie człowieka na uczucie samotności przekłada się na wskaźniki fizjologiczne.

Przeprowadziliśmy też kolejne badania, oparte na podobnej manipulacji – jesteśmy w trakcie opracowywania ich wyników. Interesuje nas przede wszystkim to, jak podobne komunikaty będą wpływać na aktywność mózgu mierzoną przy użyciu metod neuroobrazowania, i jak tego typu zmiany aktywności mózgu przekładają się na wskaźniki fizjologiczne.

Czy znany jest wpływ długotrwałej samotności na mózg? Taki stan wpływa jakkolwiek na nasze zdolności poznawcze?

Wiele badań poświęcono temu, jak samotność wpływa na przetwarzanie informacji społecznych. W jednym z ostatnich, opublikowanym w „Journal of Research in Personality", pokazaliśmy, że o ile samotność nie jest powiązana z zaburzeniami zdolności rozpoznawania emocji na podstawie wyrazu twarzy innych osób czy też przypisywaniem innym intencji, to u osób samotnych obserwować można większe nasilenie tzw. zniekształceń poznania społecznego. Jednym z takich zniekształceń jest skłonność do wrogich atrybucji w niejednoznacznych sytuacjach.

O jakie sytuacje chodzi?

Wyobraźmy sobie np., że idąc ulicą dostrzegamy po jej drugiej stronie znajomego i zaczynamy do niego machać. On jednak przechodzi obojętnie, a my się zastanawiamy: nie zauważył nas czy może zauważył, ale zignorował? Zgodnie z naszymi wynikami osoby bardziej samotne w tego typu niejednoznacznych sytuacjach bardziej skłonne będą przyjąć negatywne wyjaśnienie.

Co jest źródłem tak dużych różnic w reakcjach osób czujących się samotnie i tych, które mają satysfakcjonujące relacje?

Istnieje ewolucyjna teoria samotności sformułowana przez amerykańskiego, nieżyjącego już naukowca prof. Johna Cacioppo. Głosi ona, że na sygnały złych relacji z innymi reagujemy tak, jak reagowano w czasach, gdy wykluczenie z grupy, np. z plemienia, wiązało się z zagrożeniem życia, czy to ze strony drapieżnych zwierząt, czy wrogich grup. Cacioppo uważał, że stan samotności jest nam sygnalizowany jako nieprzyjemny właśnie po to, by zmotywować nas do powrotu do grupy.

Ale dziś żyjemy już w zupełnie innym świecie niż łowcy-zbieracze: mamy wokół siebie mnóstwo ludzi, nawet

jeśli czujemy się samotni, a przy tym żadne drapieżniki nam nie zagrażają. Nie ma innych wyjaśnień niż psychologiczno-ewolucyjne?

Na samotność można patrzeć trochę jak na choroby cywilizacyjne. Podobnie jak skłonność do odkładania nadwyżki spożytego pokarmu nie jest nam konieczna w warunkach pełnej dostępności pożywienia, tak ciągła gotowość organizmu do odparcia zagrożenia, w momencie, gdy nie dogaduję się z kolegami z biura, przynosi w obecnych warunkach raczej szkodę niż pożytek. Jednocześnie dostrzegam wiele ograniczeń zaproponowanego przez prof. Cacioppo wytłumaczenia ewolucyjnego i raczej skłaniałbym się do wyjaśnień, które wpisują samotność w grono różnych potencjalnych stresorów związanych ze światem społecznym.

Od kilkudziesięciu lat i pierwszych wyników tzw. badania Whitehall, którym objęto urzędników brytyjskiej służby cywilnej różnych szczebli, wiemy np., że niska pozycja w hierarchii społecznej przekłada się na negatywne skutki dla zdrowia w sposób, którego nie da się wytłumaczyć wyłącznie stylem życia. Wszelkie tego typu wyjaśnienia akcentują jednak rolę naszych dobrych relacji społecznych jako czynnika, który ma niebagatelne znaczenie dla funkcjonowania i zdrowia.

Zjawisko samotności już dawno zauważyły kraje Zachodu, ogłaszając – jak w USA czy Wielkiej Brytanii – wręcz epidemię. A Polska?

Niestety, w Polsce nie dzieje się w tej sprawie niemal nic. Mogę podać jeden spektakularny przykład pokazujący, jak daleko jesteśmy od postrzegania samotności jako problemu zdrowia publicznego. Nie tak dawno szumnie ogłoszono ustami premiera Morawieckiego program profilaktyki 40 plus – każdy w tym przedziale wiekowym może wykonać pakiet badań. Ale obejmował on tylko badania laboratoryjne, takie jak pomiar ciśnienia czy analizę krwi. Nawet nie chodzi o to, że nie uwzględniono samotności – był sam środek pandemii, narastały kryzysy psychiczne, a w oficjalnym państwowym programie profilaktycznym nie uwzględniono choćby pojedynczej miary przesiewowej, która mogłaby np. pomóc w oszacowaniu skali depresji.

Są tylko odosobnione przypadki – Szlachetna Paczka, organizacja pozarządowa, przygotowała interesujący „Raport o samotności". Jednak, co do zasady, w Polsce tego problemu się nie dostrzega.

> Poczucie samotności i izolacja przekładają się na ryzyko zgonu porównywalne z tym, jakie stwarza nadciśnienie, otyłość, palenie papierosów czy używanie substancji psychoaktywnych.

Żeby jednak skutecznie reagować na problem, musielibyśmy znać społeczne źródła wzrostu skali samotności. A tu co głowa, to inna teoria.

Jedni powiedzą, że wiek XX z urbanizacją i zmianą wzorca rodziny jest czynnikiem decydującym. Inni dodadzą, że do dezintegracji rodzin przyczyniły się lewicowe polityki państw.

Jest taki dokument, „Szwedzka teoria miłości", który ten wątek mocno eksponuje. Z kolei ludzie o poglądach bardziej lewicowych źródeł „epidemii samotności" będą szukać w liberalnych politykach na wzór thatcherowskiej czy reaganowskiej, upatrując w nich przyczynę likwidacji siatek zabezpieczeń społecznych. Jeszcze inni zwrócą uwagę, że przechodzimy na kompletnie inny model funkcjonowania społecznego, a „usamatniają" nas smartfony i media społecznościowe.

Cokolwiek wybierzemy z tej listy, warto uświadomić sobie, że pozornie ulotny i niematerialny świat relacji przekłada się wymiernie na nasze zdrowie fizyczne i psychiczne. Zrozumienie tego jest kluczowe dla zdrowia publicznego w XXI wieku.

©℗ Rozmawiał
PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI
Współpraca ŁUKASZ KWIATEK

TYGODNIK POWSZECHNY ▪ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego: Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo, Anna Goc, Marek Kęskrawiec (kierownik), Małgorzata Nocuń, Michał Okoński, Marek Rabij, Krzysztof Story, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Marcin Żyła, Wojciech Pięciak (kierownik)
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski, Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski, Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepioło, Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoedycja: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierownik), Jacek Taran
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Kuźmiński (kierownik), Maciej Müller, Monika Ochędowska, Krzysztof Story
TP Typografia: Marta Bogucka, Agnieszka Cynarska-Taran, Zuzanna Kardyś, Andrzej Leśniak (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Katarzyna Domin, Sylwia Frołow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne: Anna Dziurdzikowska, Maja Kuczmińska (kierownik), Mateusz Gawron, Monika Ochędowska, Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik (kierownik ds. komunikacji)
Redaktor wydań specjalnych: Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Paweł Bravo, Jan Klata, Hanna Krall, Stanisław Mancewicz, Dorota Masłowska, Bartosz Minkiewicz, Jacek Podsiadło, Zuzanna Radzik, Andrzej Stasiuk, Tomasz Stawiszyński
Manager IT: Bartłomiej Swojak
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, Agata Kaźmierska, Eliza Kącka, Piotr Kłodkowski, Małgorzata Kordowicz, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Karolina Lewicka, Magdalena Łanuszka, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja, Marcin Napiórkowski, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, o. Wacław Oszajca, Jacek Podsiadło, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Zuzanna Radzik, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, Joanna Rusinek, abp Grzegorz Ryś, Mariusz Sepioło, Tadeusz Sławek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes), Maja Kuczmińska (wiceprezeska)
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4 30-314 Kraków, tel. 668 477 039
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.

REKLAMA
S-NET GRUPA TOYA
S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego"

▪ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

▪ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym" należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

„Tygodnik Powszechny" dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

MAŁGORZATA

Kordowicz:
Buntownicy

„Wszelka dysputa toczona w Imię Boże ostoi się, zaś nie toczona w Imię Boże – nie ostoi się" – poucza nas traktat mądrościowy, podając dwa przykłady. Na chwałę Bożą spierali się Hilel i Szamaj – mędrcy, którzy na przełomie er założyli swoje szkoły, wiodące między sobą debaty kluczowe przy formowaniu Tory Ustnej. Chwały Bożej nie miał na celu Korach i jego poplecznicy, wzniecając bunt przeciw Mojżeszowi i Aaronowi.

Co mogło powodować bratem stryjecznym, że zapragnął napsuć krwi bliskim członkom swojej rodziny? Według rabinów Korach tak rozumował: Kapłaństwo i przewodzenie całemu narodowi przypadło Aaronowi i Mojżeszowi, synom Amrama, najstarszego syna dziadka Kehata. Przecież następny syn po Amramie to Ic'har, mój ojciec, a zatem przewodzenie Kehatytom winno przypaść mnie! Tymczasem zapadła decyzja: „naczelnikiem zaś rodowego domu rodzin Kehatha – [został] Elicafan, syn Uzyela" (Lb 3, 30). Mój wuj Uzi'el to czwarty, najmłodszy syn dziadka Kehata (zob. Wj 6, 18). Co to za porządki?

Ramię w ramię z Korachem stanęli Datan i Abiram. Midrasz od nich wywodzi powiedzenie: „biada złoczyńcy i biada jego sąsiadowi", zauważając, że zarówno Kehatyci (Lb 3, 29), jak i szczep Ruwena (Lb 2, 10) obozowali zawsze po południowej stronie Przybytku. Rabini zrobili z Datana i Abirama dyżurne szwarccharaktery, przypisując im – poza współprzewodzeniem rebelii – jeszcze cztery anonimowe biblijne przewinienia. To oni uprzejmie donieśli faraonowi, że Mojżesz zabił Egipcjanina i w związku z tym nasz Nauczyciel był zmuszony do ucieczki z Egiptu (Wj 2, 13-15). Z ich ust wyszły gorzkie słowa skierowane do Amramowych synów – zob. Wj 5, 20-21. Także nikt inny, lecz właśnie Datan i Abiram zlekceważyli polecenie Mojżesza, żeby nie zostawiać manny na następny dzień (Wj 16, 20), i również oni poszli zbierać ją w szabat (wers 27).

Wśród siewców fermentu tylko raz wymieniony jest jeszcze On, syn Peleta (Lb 16, 1), który nie figuruje w genealogii Rubenitów w Lb 26, 5-9. Zamiast Peleta jest tam Palu z synem Eli'awem. Midrasz nie odpuszcza i twierdzi, że w krytycznym momencie żona nie pozwoliła Onowi wyjść z namiotu i uczestniczyć w zbiegowisku – tym samym uratowała mu życie („Mądrość kobiet buduje ich dom" – Prz 14, 1).

Izraelici nie na darmo zwani byli ludem twardego karku – nieraz sprzeciwiali się pustynnym przywódcom i zawsze kończyło się to śmiercią buntowników. Tym razem na oponentów Mojżesza spadła kara w trójnasób: część pochłonęła ziemia, inni spłonęli bądź dopadła ich epidemia. To znamienne, że czołowi egzegeci nie podjęli wątku zarzutów, które Korach skierował pod adresem Mojżesza i Aarona (zob. Lb 16, 3) – czyżby chcieli dać nam wskazówkę, że z demagogiem się nie dyskutuje? ©

O. WACŁAW

Oszajca:
Doczytaj do końca

Jezus do uczniów: „Mówię wam: Proście, a otrzymacie; szukajcie, a znajdziecie; pukajcie, a otworzą wam. Każdy bowiem, kto prosi, otrzymuje; kto szuka, znajduje; a temu, kto puka, będzie otwarte. Czy jest wśród was taki ojciec, który, gdy go syn poprosi o rybę, zamiast ryby poda mu węża? Albo gdy poprosi go o jajko, czy poda mu skorpiona?". Do tego momentu ten cytat brzmi cudownie, jakby wyjęty z baśni „Stoliczku, nakryj się". Ale nie o baśń tu chodzi, lecz o twardy realizm powszednich dni i nocy. Baśni jednak nie lekceważmy, opowiadajmy je dzieciom. Nie jest ona zmyśleniem – pomagając dziecku wskoczyć w skórę pozytywnego bohatera, uczy radzenia sobie z potworami, wciąż czyhającymi na człowieka, również dzisiaj. Ale mamy też złe baśnie, uczące, jak w sposób łatwy i przyjemny, nie licząc się z nikim i niczym, osiągnąć sukces.

Przywołana wypowiedź Jezusa byłaby więc bajką, dającą złudną nadzieję. Podpowiadającą, że wystarczy wytrwale odmawiać modlitewne formułki i sprawować wymyślne obrzędy, a Bóg spełni nasze „najskrytsze marzenia". Ale na takie odczytanie tych słów nie pozwala ciąg dalszy cytatu. „Jeśli więc wy, chociaż źli jesteście, umiecie dawać dobre dary swoim dzieciom, to tym bardziej Ojciec z nieba da Ducha Świętego tym, którzy Go proszą". A więc odpowiedzią Boga na nasze modlitwy jest Duch Święty, a nie „rozliczne łaski". A On ma to do siebie, że nie wyrywa człowieka z dziejącej się rzeczywistości, przeciwnie: coraz głębiej w nią zakorzenia. Nie dzieje się to automatycznie. Jak działa Duch Boży, dowiadujemy się z Biblii.

Popatrzmy na Abrahama. Na górze Moria zrozumiał, że składanie ludzi w ofierze, często praktykowane nie tylko w jego czasach, niekoniecznie jest po myśli Boga. Dlatego odważnie broni mieszkańców Sodomy i Gomory przed Bogiem, który niekoniecznie zawsze i wszędzie musi być bezwzględnym mścicielem grzechu. Choć Mojżesz naucza, że „jeżeli ktoś ze względu na Pana obłoży klątwą cokolwiek ze swojej własności", w tym człowieka, taki człowiek „musi umrzeć", a Jefte zabija swoją córkę, sądząc, że wywiązuje się z obietnicy danej Bogu – to „teraz, u kresu czasów, pojawił się (Jezus) jeden raz, aby zgładzić grzech przez własną ofiarę". Tą ofiarą jest nie coś albo tym bardziej ktoś, ale On sam. „Nikt mi (życia) nie zabiera – mówi Jezus – lecz oddaję je z własnej woli". Tym samym ofiara staje się darem. Dlatego papież Franciszek mówi, że „tam, gdzie powołanie, czy to małżeńskie, do celibatu, czy też dziewicze (...) zatrzymuje się jedynie na logice ofiary, to zamiast stawać się znakiem piękna i radości miłości, może wyrażać nieszczęście, smutek i frustrację". Warto by pod tym kątem popatrzeć na polski przekład „Mszału rzymskiego". ©

Zawiłego problemu nie próbuj rozwiązywać z uporem trzymając się swego.

MAREK EREMITA

Przy każdym uczynku rozważ dokładnie, co go poprzedza, jak również, co z niego wynika – i dopiero wtedy przystępuj do dzieła.

EPIKTET

Wybrał PIOTR SIKORA

ABP GRZEGORZ

Ryś:
Kościół, który rośnie

Jak co roku, jestem z młodymi łodzianami w Taizé. Z Polski jest nas setka. Z całej Europy – trochę ponad tysiąc (połowa to Niemcy). Tak jest tutaj każdego tygodnia – chociaż liczby nie osiągnęły jeszcze tych sprzed pandemii, przez same tylko wakacje przez burgundzką wieś przewinie się tego roku do piętnastu tysięcy młodych Europejczyków. Trzy razy w ciągu dnia przychodzą do kościoła na modlitwę, w której centrum znajduje się Słowo Boga, a momentem najważniejszym jest medytacja w ciszy. Rano: komunia (dla tych, którzy nie mogą jej przyjąć, pobłogosławiony chleb). Wieczorem: możliwość spowiedzi. Wielu korzysta – również z tych krajów, o których mówimy, że „tam już nikt się nie spowiada". Między modlitwami – spotkania biblijne w małych grupach. Są też duże warsztaty i katechezy – miałem jedną z nich: półtorej godziny – wielu stawia pytania, niektórzy już po zakończeniu spotkania, prywatnie. I praca: wszystkie możliwe rodzaje wolontariatu. Student teologii z Lublina mówi na spotkaniu z entuzjazmem: „Trzy godziny dziennie segreguję śmieci. Temperatura 35 stopni, rozdzielam resztki po bananach od plastikowych opakowań. W smrodzie, który czuję na swoim ubraniu i skórze jeszcze długo później... Dzięki nam Taizé jest czystsze!".

Doświadczenie wspólnoty: bycia przyjętym i przyjmującym. Różnice wyznaniowe? Wiadomo, że są. Jednak przeżywane w takim doświadczeniu jedności, budzą zainteresowanie, a nie ucieczkę czy wykluczenie lub zamknięcie. To, co nas łączy, jest na pierwszym miejscu. To otwiera na spotkania jeszcze mniej oczywiste. Od wczoraj jest tu z nami grupa muzułmanów. Dzisiaj ktoś pytany podczas śniadania o doświadczenie Taizé przyznaje naraz, że jest ateistą.

Na modlitwie południowej siada przede mną para młodych: ona – raczej nie pierwszy raz w Taizé; on – raczej przeciwnie. Ona – śpiewa z zaangażowaniem, a kiedy przychodzi czas milczenia, skupia się na proklamowanym Słowie (na koniec robi notatki); on – kiedy przychodzi czas medytacji, obraca się, chwyta mocno jej dłoń; najwyraźniej to, co jest między nimi, jest dla niego w tej chwili ważniejszym (jedynym?) punktem odniesienia. Może jeszcze nic więcej nie wie, ale chce być z nią. Takich jak on jest tu wielu. Są na początku drogi – Drogi! Właśnie na Nią wchodzą – w czasie, w którym ponoć tak wielu z Niej rezygnuje...

Wszystko to są ludzie z grupy wiekowej uważanej za sekularyzującą się w najgwałtowniejszym tempie. Przyjeżdżają z nadzieją i z otwartością na Boga, z gotowością budowania głębokich relacji. Z radością podejmują się odpowiedzialności i współdziałania. I z... lękiem, że po powrocie do siebie nie znajdą tego wszystkiego w „normalnym" Kościele.

Co ich tu trzyma? Niektóre racje wypowiadają wspólnie: wolność, prostota i piękno form modlitwy, zaufanie, jakim się czują obdarzeni, podmiotowość (ich obecność, pytania, wypowiedzi są tu ważne), szacunek i cierpliwość. Czy bez tego można zbudować normalny Kościół? ©

CZYTANIA LITURGICZNE (24 – 31 VII)

17. niedziela zwykła: Rdz 18, 20-32; Ps 138; Kol 2, 12-14; Łk 11, 1-13;
Poniedziałek: 2 Kor 4, 7-15; Ps 126; Mt 20, 20-28;
Wtorek: Jr 14, 17-22; Ps 79; Mt 13, 36-43;
Środa: Jr 15, 10. 16-21; Ps 59; Mt 13, 44-46;
Czwartek: Jr 18, 1-6; Ps 146; Mt 13, 47-53;
Piątek: 1 J 4, 7-16; Ps 34; Łk 10, 38-42;
Sobota: Jr 26, 11-16. 24; Ps 69; Mt 14, 1-12;
18. niedziela zwykła: Koh 1, 2; 2, 21-23; Ps 90; Kol 3, 1-5. 9-11; Łk 12, 13-21.

DZIEŃ NIE NADSZEDŁ

Fundacja w Liechtensteinie, do której trafiły miliony euro ze sprzedaży kolekcji Czartoryskich, do dziś nie wydała nawet eurocenta na wsparcie polskiej kultury. Adam Czartoryski obraca tym kapitałem na giełdzie.

MAREK RABIJ

Minęło już pięć i pół roku od dnia, w którym minister kultury Piotr Gliński złożył podpis pod aktem zakupu przez Skarb Państwa kolekcji ponad 86 tys. dzieł sztuki i innych zabytkowych przedmiotów tworzących tzw. kolekcję Czartoryskich. Znalazł się wśród nich najcenniejszy skarb w tym zbiorze, czyli „Dama z gronostajem" Leonarda da Vinci. Fundacja Książąt Czartoryskich otrzymała za kolekcję równowartość 100 mln euro.

„Myślimy o rozwinięciu działalności prospołecznej i w dziedzinie kultury, oczywiście w kontekście dziejów rodziny Czartoryskich" – zapewniał w imieniu władz fundacji Jan Lubomirski-Lanckoroński, a polskie władze cieszyły się, że zniknęła groźba wywozu niezwykle cennych dzieł za granicę. Jednak już niespełna rok później, 18 grudnia 2017 r., te same władze fundacji złożyły w krakowskim sądzie wniosek o jej likwidację w związku z... brakiem funduszy na działalność statutową. Pieniądze za kolekcję niemal w całości trafiły bowiem do Liechtensteinu, na konto nowej fundacji Czartoryskich Le Jour Viendra (po polsku: Dzień Nadejdzie), która – jak można było przeczytać w oświadczeniu – „będzie kontynuować działania i projekty realizowane przez Fundację XX. Czartoryskich".

W internecie i w mediach zawrzało. Wywołany do tablicy Adam Czartoryski zapowiedział w końcu, że najpóźniej w kwietniu 2018 r. przekaże opinii publicznej, w jaki sposób Le Jour Viendra zamierza wydawać pieniądze ze sprzedaży kolekcji. W tym samym czasie władze jego polskiej fundacji tłumaczyły, że wybór Liechtensteinu był podyktowany jedynie „stabilnym otoczeniem prawnym, które w dużej mierze ułatwia zarządza-

nie majątkiem fundacji. Przepisy prawa, które funkcjonują w Polsce, a które zostały uchwalone jeszcze w okresie PRL-u, mają mankamenty, które skutecznie blokują rozwój fundacji z dużymi zasobami finansowymi".

Minęły ponad cztery lata. Zapowiadane przez Czartoryskiego ogłoszenie planów jego działalności kulturalnej nie nastąpiło. Pod presją opinii publicznej Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego skierowało za to do sądu pozew o orzeczenie niezgodności działania Fundacji Czartoryskich z przepisami prawa i statutem „w zakresie przekazania środków zgromadzonych w czasie swojej działalności na rzecz fundacji Le Jour Viendra z siedzibą w Liechtensteinie". Komunikat o wystąpieniu na drogę prawną przeciw niedawnemu kontrahentowi był jednak ostatnim, jaki resort wydał w tej sprawie. Dziś trudno jest pozbyć się wrażenia, że ministerstwa nie obchodzi, co dzieje się z pieniędzmi, które z konta Skarbu Państwa trafiły na rachunek Fundacji Czartoryskich. I to w sytuacji, w której córka fundatora Tamara Czartoryska od dawna powtarza publicznie, że jej ojciec zamierza pieniądze przywłaszczyć, choć zgodnie z polskim prawem wolno mu wydać je tylko na cele statutowe Fundacji Czartoryskich – czyli na wspieranie polskiej kultury oraz pamięci o polskich rodach magnackich.

Cztery lata to pełna kadencja parlamentu, któremu w tym czasie zdarzało się przebudowywać fundamenty polskiej państwowości. Co zatem wydarzyło się w bulwersującej sprawie Fundacji Czartoryskich od momentu, kiedy zniknęła ona z radaru mediów?

Jedna z sześciu tysięcy

Maciej Radziwiłł, były prezes Fundacji Czartoryskich, a obecnie członek jej zarządu, błyskawicznie odpowiada na maila z prośbą o rozmowę, zapewniając, że ani władze fundacji, ani jej fundator nie mają nic do ukrycia.

– Mój kuzyn, Adam Karol, nie ustrzegł się w tej sprawie pewnych błędów, podobnie jak ja – zaznacza. – Jednocześnie mamy obaj dojmujące poczucie, że nasze intencje zostały zniekształcone, a całej sprawie z przelewem pieniędzy do Liechtensteinu nadano, zupełnie niepotrzebnie, sensacyjny kontekst. Fundacja Le Jour Viendra nie rozpoczęła jeszcze działalności statutowej. Cały kapitał przekazany na jej konta, łącznie około 85 mln euro, jest obecnie inwestowany w papiery wartościowe. Na koniec ubiegłego roku wartość aktywów przekraczała 100 mln euro, ale po ostatnich spadkach na światowych giełdach spodziewam się, że kwota mogła ulec znacznemu uszczupleniu.

Dlaczego – wbrew własnym deklaracjom sprzed czterech lat – Adam Czartoryski wciąż nie uruchomił w Polsce żadnych projektów wspierających polską kulturę? Zdaniem Macieja Radziwiłła opóźnienie jest rezultatem splotu niesprzyjających okoliczności. Po pierwsze, pandemia nadszarpnęła zdrowie 82-letniego dziś fundatora. Po drugie, część postępowań badających legalność przelewu pieniędzy z konta Fundacji Czartoryskich na rachunek Le Jour Viendra wciąż nie dobiegła końca. – Najważniejszą była kontrola sądowa na wniosek ministerstwa. Sąd Okręgowy w Warszawie odrzucił pozew ministra w całości – podkreśla Radziwiłł.

Z odpowiedzi przesłanej przez biuro prasowe Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego wynika, że pozew resortu z 2018 r. w pierwszej instancji zakończył się wyrokiem niekorzystnym dla Fundacji Czartoryskich. Po jej apelacji sprawa trafiła do sądu wyższej instancji, który zupełnie zmienił poprzednie orzeczenie. Nabrało ono prawomocności, co oznacza, że resort kultury nie złożył ↦

KRYSTIAN MAJ / FORUM

Podpisanie umowy zakupu kolekcji Czartoryskich. Adam Czartoryski i Piotr Gliński. Warszawa, 29 grudnia 2016 r.

↦ wniosku o kasację. Czy ministerialni prawnicy doszli do wniosku, że szanse na wygraną są minimalne, czy może taki obrót spraw był ministerstwu zwyczajnie na rękę? Zdawkowa, niepodpisana niczyim nazwiskiem odpowiedź biura prasowego nie przynosi takich informacji.

Można z niej za to wyczytać co innego. Ponad cztery lata po zniknięciu pieniędzy z kont Fundacji Czartoryskich Ministerstwo Kultury wciąż nie widzi przesłanek ku temu, aby jej działalność monitorować bardziej szczegółowo od innych podległych mu fundacji. A przecież ze świecą można szukać takiej, której państwo polskie przekazałoby 100 mln euro.

„Fundacja składa corocznie do MKiDN sprawozdania ze swojej działalności. Fundacje, których w nadzorze MKiDN jest prawie sześć tysięcy, nie mają natomiast obowiązku przekazywania informacji, na co konkretnie przeznaczają pozyskane środki" – odpisało biuro ministra. Na naszą prośbę urzędnicy ministerstwa sprawdzili jednak sprawozdania Fundacji Czartoryskich. Z tej lektury – jak piszą przedstawiciele resortu – nie wynika, by fundacja współpracowała z Le Jour Viendra.

Maciej Radziwiłł: – Umowa darowizny daje Fundacji Czartoryskich nadzór nad fundacją Le Jour Viendra. Każdy wydatek w Liechtensteinie musi zostać zaakceptowany przez zarząd Fundacji Czartoryskich. Karą za nieprzestrzeganie umowy może być zwrot całości darowanej sumy.

Dlaczego w takim razie zarząd Fundacji Czartoryskich próbował ją zlikwidować tuż po przelaniu pieniędzy do Liechtensteinu? – Nie była dłużej potrzebna – tłumaczy Maciej Radziwiłł. – Jej funkcje nadzorcze zarząd mógłby zaś scedować na kogoś innego. Rozumiem, że to mogło być niewłaściwie ocenione przez osoby z zewnątrz. Dlatego uznaliśmy, że fundacja nie zostanie zlikwidowana, a Adam Karol, który miał ogromną władzę nad Fundacją Czartoryskich, zrezygnował z zasiadania w jej radzie. W wyniku tego zarząd fundacji jest całkowicie niezależny od fundatora i może sprawować nadzór bez ograniczeń.

Problem w tym, że zgodnie ze statutem Fundacji Czartoryskich skład zarządu wybiera jej główny organ nadzorczy, czyli rada. Po zmianach wprowadzonych w statucie w 2017 r. w jej składzie nie ma ani jednego miejsca zarezerwowanego dla przedstawiciela Skarbu Państwa. Decyzje podejmują więc od tamtego czasu wyłącznie Czartoryscy i ich zaufani. Radę tworzą obecnie dwaj współpracownicy fundatora: Michał Sobański i Kasper Krasicki.

Oznacza to jedno. Nadzór nad fundacją założoną przez Czartoryskich w Liechtensteinie sprawuje *de facto* nie polska Fundacja Czartoryskich, lecz... oni sami.

Gdzie są pieniądze

Polska ustawa o fundacjach wymaga od takich organizacji realizacji „zgodnych z podstawowymi interesami Rzeczypospolitej Polskiej celów społecznie lub gospodarczo użytecznych, w szczególności takich, jak: ochrona zdrowia, rozwój gospodarki i nauki, oświata i wychowanie, kultura i sztuka, opieka i pomoc społeczna, ochrona środowiska oraz opieka nad zabytkami". Kupując od Fundacji Czartoryskich jej kolekcję za równowartość 100 mln euro, resort kultury mógł więc zakładać, że jedynie przekłada pieniądze z kieszeni do kieszeni, bo cała kwota i tak pójdzie na jej cele statutowe – czyli na polską kulturę.

Stało się inaczej. Z naszych informacji wynika, że w Polsce zostało nie więcej niż 10 proc. wypłaconego kapitału, który Fundacja Czartoryskich rozdzieliła między zaprzyjaźnione podmioty, należące do innych rodów arystokratycznych, w tym rodzin dwóch członków rady fundacji. Po 1,5 mln euro miało trafić do fundacji Radziwiłłów, Sobańskich i Lubomirskich. Mniejszymi kwotami wsparto fundację Przeszłość Przyszłości Adama Zamoyskiego (byłego prezesa Fundacji Czartoryskich) oraz fundację rodziny Krasickich. Każda z nich realizuje w Polsce społecznie użyteczne cele o charakterze kulturalnym, oświatowym lub charytatywnym: sponsorują albo współorganizują wystawy muzealne, finansują odbudowę zabytkowych zespołów pałacowych (czasem będących w przeszłości własnością rodziny), fundują stypendia, a w ostatnim czasie angażują się też w pomoc Ukrainie.

Wątpliwości nie budzi jednak darowizna owych 10 proc. kapitału Fundacji Czartoryskich, ale to, co stało się z pozostałymi 90 procentami. I zaskakująca dezynwoltura polskiego państwa w sprawie, w której to właśnie ono mogłoby się uznać za głównego poszkodowanego.

Owszem, wyrokiem z kwietnia 2018 r. sąd w Krakowie zatrzymał likwidację Fundacji Czartoryskich uznając, że wnioskodawcy nie udowodnili, że doszło do wyczerpania jej zasobów finansowych. Prawdą jest i to, że NIK w 2018 r. podjęła próbę skontrolowania fundacji Le Jour Viendra i w tym celu nawiązała współpracę z bliźniaczym Najwyższym Urzędem Kontroli Księstwa Liechtensteinu. Efekty były jednak mizerne. Urząd poinformował prezesa NIK, że przekazał sprawę kontroli w Le Jour Viendra stosownym organom, ale od razu zastrzegł, że opracowane przez nie „sprawozdania nie są upubliczniane oraz nie mogą być udostępniane instytucjom zagranicznym". Słowem – cokolwiek wydarzy się w Vaduz, zostaje w Vaduz.

Polska ustawa o fundacjach, jak przekonuje Maciej Radziwiłł, to relikt PRL-u, który nie gwarantuje fundacjom o dużym kapitale stabilnych warunków. W pierwszej kolejności wskazuje jednak artykuł 15., który uniemożliwia fundatorowi likwidację fundacji przed zrealizowaniem jej celów statutowych i zabezpiecza przed przejęciem w ten sposób darowanego kapitału. – Nasi prawnicy uważają ten zapis za niekonstytucyjny, podobnie jak dziewięć innych – podkreśla. – Skoro mamy wolność prowadzenia fundacji, to powinno być wolno taką działalność w każdej chwili zakończyć. Ustawa nie reguluje też wielu kwestii, co daje pole do różnych nadużyć. Na przykład Kodeks spółek handlowych daje możliwość podważania uchwał w spółkach kapitałowych przez sześć miesięcy. Ustawa o fundacjach nie ogranicza tego czasu. Sądy muszą rozpatrywać takie absurdalne pozwy. Trwa to latami.

Dlaczego Fundacja Czartoryskich nie skorzystała więc z przysługującego jej prawa do zmiany kwestionowanych przepisów, choćby poprzez skargę konstytucyjną, tylko wybrała ewakuację kapitału do państwa o kulturze prawnej zbliżonej do raju podatkowego? Odpowiedź na to pytanie zdaniem Macieja Radziwiłła sprowadza się do jednego – braku zaufania do państwa polskiego.

– Mój kuzyn wychował się w Hiszpanii, gdzie partnerstwa publiczno-prywatne działają bardzo dobrze. Tworząc fundację, założył również, że państwo polskie wywiąże się ze swoich deklaracji i zadba o kolekcję. Stało się na odwrót, zbiory w przeszłości nie były konserwowane, a fundator, który w międzyczasie wpadł w kłopoty finansowe, nie był w stanie łożyć na ich utrzymanie z własnego

majątku. Z jego punktu widzenia sprzedaż kolekcji Skarbowi Państwa była optymalnym rozwiązaniem dla obu stron. Nie ukrywam, że Adam Karol Czartoryski jest bardzo sfrustrowany tą sytuacją i nie chce rozpoczynać działalności fundacji Le Jour Viendra, nim nie skończą się wszystkie procedury prawne. W Hiszpanii zyskałby wdzięczność za to, że sprzedał kolekcję za ułamek wartości, a nieruchomości po prostu darował. W Polsce oskarżany jest o chciwość, a transakcja przez wielu ludzi uznawana jest za niepotrzebne marnowanie publicznych pieniędzy, bo przecież fundacja nie mogła sprzedać niczego poza Polską – żali się Radziwiłł.

Nierozerwalna całość

Prof. Marian Wolski, były prezes Fundacji Czartoryskich, pokazuje zupełnie inny wymiar sprawy: – Składając 23 grudnia 2016 r. rezygnację ze stanowiska, ja i wiceprezes Rafał Slaski oświadczyliśmy mediom, że powodem naszej decyzji jest utrata zaufania do fundatora Adama Czartoryskiego. Czartoryski zainicjował bowiem zmiany w statucie fundacji, które umożliwiały mu sprzedaż kolekcji, a to stało w sprzeczności z głównym celem statutowym, jakim jest opieka nad kolekcją. Udało mu się w końcu zmiany wprowadzić przy wsparciu Ministerstwa Kultury. Nie mogliśmy również zaakceptować tego, że minister Gliński poprosił Adama Czartoryskiego o kontakt w sprawie sprzedaży kolekcji z pominięciem zarządu fundacji, a fundator na to przystał.

Tempo, w jakim pod koniec grudnia 2016 r. odbywały się prace nad sfinalizowaniem umowy, może budzić wrażenie, że pomysł sprzedaży kolekcji Czartoryskich zrodził się *ad hoc*. Do zakupu użyto rezerwy budżetowej, prawnicy obu stron zarywali noce w okresie świątecznym, żeby zdążyć przed końcem roku. W rzeczywistości, jak twierdzą byli pracownicy Fundacji Czartoryskich, fundator latami przygotowywał grunt pod taką inwestycję. Temu służyły m.in. zmiany statutu, które w pewnym momencie oddzieliły Fundację od Muzeum Czartoryskich, czy też usunięcie wzmianki o tym, że jej majątek stanowi „historyczną nierozerwalną całość". Kilka lat przed sprzedażą prawnicy kancelarii Gide Loyrette Nouel przeprowadzili nawet analizę, która miała odpowiedzieć na pytanie, czy w świetle polskiego prawa istnieje możliwość

> Po zmianach w statucie w radzie fundacji nie ma już przedstawiciela Skarbu Państwa. **Od 2017 r. decyzje podejmują Czartoryscy i ich zaufani ludzie.**

zbycia kolekcji Czartoryskich, np. za granicę. Nie udało nam się ustalić, czy takie zlecenie kancelaria otrzymała od Fundacji Czartoryskich czy bezpośrednio od Adama Czartoryskiego. Wnioski z audytu były jednak jednoznaczne: kolekcja stanowi wieczystą darowiznę, do której fundator utracił prawa z chwilą stworzenia fundacji. Co więcej, zmiana w statucie, która umożliwi sprzedaż kolekcji, będzie niezgodna z głównym celem statutowym fundacji, na co z kolei nie pozwala polskie prawo. Otrzymawszy taką ekspertyzę, Adam Czartoryski miał oświadczyć skonfundowanym prawnikom, że „nie taki audyt zamawiał".

Uczestniczący w tamtym spotkaniu mecenas Piotr Sadownik odmówił komentarza, tłumacząc się zasadami etyki adwokackiej; informację tę potwierdziły nam jednak dwa inne niezależne źródła.

O tym, że fundator ma – delikatnie mówiąc – problemy z zaakceptowaniem polskiego porządku prawnego, przedstawiciele resortu kultury mogli zresztą przekonać się osobiście.

– Podczas negocjacji w sprawie sprzedaży kolekcji Adam Czartoryski zażądał wprost od ministra kultury przelewu pieniędzy na prywatne konto – twierdzi Marian Wolski. – Taką informację przekazał mi biorący udział w tych rozmowach członek rady fundacji Michał Sobański. Od niego również usłyszałem, że strona rządowa odmówiła spełnienia żądania Czartoryskiego, bo taki przelew byłby złamaniem polskiego prawa. Z wypowiedzi Jarosława Sellina w dniu podpisania transakcji można było jednak wywnioskować, że strona rządowa nie będzie interesować się dalszym losem pieniędzy ze sprzedaży kolekcji – podkreśla Wolski.

Maciej Radziwiłł: – Nie byłem uczestnikiem tamtych rozmów i nie mogę zaprzeczyć tej relacji. Myślę, że mój kuzyn po prostu nie zdawał sobie sprawy z tego, że w świetle polskiego prawa taki przelew byłby nielegalny. Jemu takie rozwiązanie wydało się zapewne najprostsze.

Wieczne niebawem

Czy przelane do Liechtensteinu pieniądze mogą w końcu trafić kiedyś do Polski? Wypowiedzi ministra Glińskiego i jego współpracowników, którzy od początku usiłują przekierować uwagę opinii publicznej na wątek poboczny, jakim jest stosunkowo niska cena za kolekcję, zdają się świadczyć o tym, że politycy najchętniej nie wracaliby już do tego tematu. Z kolei przedstawiciele Le Jour Viendra i Fundacji Czartoryskich tyle razy zapewniali, że „już niebawem" rozpoczną finansowanie rozmaitych przedsięwzięć w Polsce, iż trudno traktować poważnie kolejne. Zwłaszcza że w rodzinie Czartoryskich trwa ostry spór. Tamara Czartoryska skierowała do sądu pozew o unieważnienie kilku uchwał władz Fundacji Czartoryskich, które otworzyły drogę do sprzedaży kolekcji. Twierdzi, że jej podpisy pod uchwałami zostały sfałszowane. W odpowiedzi Adam Czartoryski pozwał córkę o zniesławienie.

– Nie rozmawiałam z ojcem, odkąd podjęłam kroki prawne w obronie fundacji – zapewnia Tamara Czartoryska. – Próbowałam się z nim skontaktować, ale bez skutku. W sprawie transferu pieniędzy do Liechtensteinu złożyłam zeznania w polskiej prokuraturze i mam nadzieję, że prawda zwycięży. Ja i moi prawnicy zrobiliśmy wszystko, co mogliśmy. Teraz liczę na to, że polskie władze pomogą mi sprowadzić fundację z powrotem do Polski.

Maciej Radziwiłł patrzy na to inaczej. Podkreśla, że Tamara Czartoryska zaczęła zgłaszać zastrzeżenia do przebiegu transakcji dopiero wtedy, kiedy ojciec odmówił zasilenia jej fundacji kwotą, której się domagała. Wcześniej była ponoć niezadowolona, że pieniądze Fundacji Czartoryskich nie popłyną do drugiej charytatywno-prywatnej Fundacji Czartoryskich w Liechtensteinie, w której miała być jedną z beneficjentek, tylko zostaną darowane fundacji Le Jour Viendra, która jest w pełni charytatywna. Zaproponowano jej rzekomo dwa miliony euro na nową fundację w Polsce, ale uznała, że to za mało.

W tej sprawie wciąż padają potężne kwoty i wielkie słowa. Fortuny krążą między kontami, ale nic na razie nie wskazuje na to, by koniec tej wędrówki miał wiele wspólnego z polską kulturą.

©℗ MAREK RABIJ

MICHAŁ WOŹNIAK / EAST NEWS

Profesor Wojciech Roszkowski. Warszawa, 11 czerwca 2022 r.

Historia walcząca

JAKUB SZUMSKI

Wojciech Roszkowski zajmuje się pisaniem podręczników już od ponad czterech dekad. Ich zmieniający się styl i treść pokazują ideową ewolucję autora, który nie zawsze był inkwizytorem.

Już pierwsze krążące po internecie fragmenty sprawiły, że spodziewano się kontrowersji. Jednak ostateczny kształt napisanego na zamówienie ministra Przemysława Czarnka podręcznika szkolnego „Historia i Teraźniejszość" potwierdził najgorsze obawy. Opisująca lata 1945-1979 książka prof. Wojciecha Roszkowskiego zawiera duże fotografie Jarosława Kaczyńskiego i Andrzeja Dudy, ataki na „polskojęzyczne media", krytykę The Beatles i Boba Dylana, a także porady dotyczące wstrzemięźliwości seksualnej. Nawet sprzyjający autorowi publicyści przyznają, że podręcznik nie jest poważną propozycją intelektualną i – jeżeli w ogóle zadania takie stawiać można szkolnej lekturze – nie zapewni prawicy rządu dusz wśród młodzieży. „Jest to najlepsza recepta na ośmieszenie prawicowej narracji", zawyrokował Piotr Zaremba, twórca pojęcia „pedagogiki wstydu". Inni zwracali uwagę na natrętny moralizm i pomieszanie wywodu historycznego z doraźną polityką.

Ludzie pamiętający Roszkowskiego sprzed lat, przede wszystkim jako autora wyważonych historycznych kompendiów, pytali, jak to możliwe, że przygotował konfrontacyjny podręcznik na partyjne zamówienie. „Ja poglądów nie zmieniłem, tylko wojna kulturowa przybrała na sile", odpowiadał na krytykę sam zainteresowany. Fakt: HiT uwypukla wątki obecne już w jego twórczości, ale również daje dowód znaczącej ewolucji autora.

Od SGPiS-u do podziemia

Droga Wojciecha Roszkowskiego do roli historyka narodowych dziejów i autora podręczników była nietypowa. Urodzony w 1947 r. w Warszawie, zamiast na buntowniczym Uniwersytecie Warszawskim studiował handel zagraniczny w Szkole Głównej Planowania i Statystyki. SGPiS była w PRL kuźnią kadr dla gospodarki, gdzie badania historyczne podejmowane były marginalnie. Natomiast jej wydział handlu zagranicznego, ze względu na perspektywy wyjazdów czy dobrze płatnych, prestiżowych stanowisk w państwowych przedsiębiorstwach, cieszył się wielkim powodzeniem. Samego Roszkowskiego przyciągnęła tam możliwość nauki języków obcych i otwarcia na świat. Jego kolegami z roku byli m.in. Leszek Balcerowicz oraz Wiesław Rozłucki, późniejszy prezes Giełdy Papierów Wartościowych.

Zmiana zaszła w 1978 r. Przyszły autor podręcznika do HiT-u od czterech lat pracował jako wykładowca historii gospodarczej na SGPiS-ie. Obronił doktorat i poprzez kontakty nawiązane przez swojego brata Macieja zaczął przygotowywać referaty dotyczące historii dla Polskiego Porozumienia Niepodległościowego – założonej w 1975 r. przez Zdzisława Najdera opozycyjnej grupy pracującej nad programem dla przyszłej, suwerennej Polski. Referaty te, wygłaszane później jako prelekcje dla harcerzy, były początkiem „Najnowszej historii Polski": alternatywnej wobec komunistycznej propagandy syntezy dwudziestowiecznych dziejów Polski.

W czasie, gdy Roszkowski pisał pierwszy tom tego dzieła, wybuchła Solidarność. Historycy i nauczyciele występowali z propozycjami zmian w programach nauczania, zarzucając władzom PRL-u. ideologizację edukacji i kłamstwa.

PZPR nadal promowała swój punkt widzenia na historię, ale niezbyt energicznie strzegła dawnego monopolu. Na uniwersyteckich seminariach, w kościołach czy podczas innych nieformalnych spotkań o historii mówiło się otwarcie. W ręce badaczy trafiały coraz to nowe, do niedawna tajne dokumenty z partyjnych i esbeckich archiwów.

W Warszawie aktywne było środowisko skupione wokół historyków: Krystyny Kersten, Andrzeja Paczkowskiego, Marii Turlejskiej i Jerzego Holzera, którzy wydawali swoje prace pod pseudonimami w drugim obiegu lub w wydawnictwach emigracyjnych. Projekt Roszkowskiego, jak pisze zajmujący się tematem francuski socjolog Valentin Behr, zasadniczo różnił się jednak od tych działań. O ile wymienieni wyżej badacze regularnie spotykali się, czytali i komentowali nawzajem swoje prace, Roszkowski działał jednoosobowo. Skupiony do tej pory na szczegółowych zagadnieniach gospodarczych, był też dla badaczy historii najnowszej postacią anonimową. Jego liczące setki stron maszynopisy nie były komentowane, a do podziemnego wydawnictwa Krąg trafiały bez merytorycznej i językowej redakcji. Gdy inni badacze zajmowali się raczej konkretnymi zagadnieniami czy jasno określonym, wąskim okresem, Roszkowski wziął na warsztat całą dwudziestowieczną historię Polski. „Historycy z dorobkiem wzdragali się przed takimi dziełami", wspominał po latach. I dlatego to on, świeżo upieczony 31-letni doktor historii, podjął się zadania, które wydawało się szalone. Skala przedsięwzięcia była imponująca i Roszkowski sukcesywnie przygotowywał kolejne tomy. Pierwszy, obejmujący lata międzywojenne ukazał się poza cenzurą w 1982 r., kolejne trzy ujrzały światło dzienne do 1986 r. – pod pseudonimem.

„Andrzej Albert" narodził się z połączenia imienia ojca oraz zniemczonej wersji „Wojciecha". W swoich pracach deklarował się jako chrześcijanin, patriota, konserwatysta i liberał, ale „z zachowaniem umiaru i zdrowego rozsądku". Jego „Najnowsza historia Polski" okazała się właściwie podręcznikiem, szczegółowo opisującym wydarzenia, w których kluczowe były polityczne decyzje oraz duże, geopolityczne rozstrzygnięcia. Roszkowski odrzucał historiografię widzącą w socjalistycznym państwie emancypację upośledzonych wcześniej klas. W jego narracji rządzący Polską po wojnie „kierowali się żądzą władzy, nienawiścią i strachem, z szatańską sprawnością posługując się kłamstwem, prowokacją i szantażem". Przedstawicieli PRL-owskich władz Roszkowski obdarzał sążnistymi epitetami (prymitywny, tępy, pijak, półanalfabeta), wyłączając tę grupę poza krąg narodowej wspólnoty. Taka była atmosfera czasów stanu wojennego i niewielu historyków po stronie Solidarności stać było na bardziej wyważoną ocenę PRL-u. Wraz z upływem czasu Wojciech Roszkowski swoje kręgi wykluczenia będzie czasem zawężał, a czasem rozszerzał.

„Andrzejowi Albertowi" udało się zachować anonimowość aż do końca lat 80. Jego prawdziwą tożsamość znało tylko kilka osób, niektórzy podejrzewali, że za ponad tysiącstronicową syntezą stoi zespół autorów lub pisarze emigracyjni. Jednak na samo dzieło zawodowi historycy reagowali sceptycznie. Podręcznikowy styl nie zachęcał do polemik i sporów. „Jego pracę ze względu na rozmiary i masę przywoływanych postaci nazywaliśmy książką telefoniczną", mówi znany historyk (dawni znajomi Roszkowskiego dziś nie chcą wypowiadać się pod nazwiskiem, on sam również odmówił rozmowy z „Tygodnikiem"). Znalazła jednak też swoich entuzjastycznych odbiorców. Doczekała się dziesiątków pirackich przedruków i streszczeń. Fascynowali się nią antysystemowo nastawieni licealiści. Jej fragmentów używali też niektórzy nauczyciele.

Od Alberta do Wojciecha

W 1990 r. „Andrzej Albert" odzyskał właściwą tożsamość. Zaczął też obejmować coraz ważniejsze stanowiska. Roszkowski został prorektorem swojej Alma Mater (w międzyczasie przemianowanej na Szkołę Główną Handlową), a w 1994 r. dyrektorem Instytutu Studiów Politycznych PAN, gdzie historycy, socjologowie i politolodzy mieli prowadzić nowoczesne badania nad Polską i Europą. Naukowo w tym czasie pozostał wierny dużym syntezom: historii Polski, gdzie redagował i rozbudowywał swoje drugoobiegowe dzieło, ale też Europy Środkowo-Wschodniej, powojennych dziejów powszechnych czy historii gospodarki.

Po objęciu przez przedstawiciela Solidarności prof. Henryka Samsonowicza teki ministra edukacji wiele syntetycznych prac powstałych w drugim obiegu zostało natychmiast dopuszczonych do użytku w szkołach. Młodsi historycy apelowali też do nauczycieli, by nie korzystali z PRL-owskich podręczników. Roszkowski, który w podziemiu wykonał tytaniczną pracę i stworzył dokładne kalendarium, był predestynowany, aby na tym skorzystać. Jego praca z popularnego prohibita stała się oficjalnym podręcznikiem. Od lat 90., wraz z Anną Radziwiłł (była wiceministrem edukacji w dwóch rządach), przygotowywał ↦

Prof. Roszkowski w HiT:

O pokusach Kościoła

„Przy założeniu istnienia Boga – a przecież nie ma żadnego dowodu, poza spekulacjami myślowymi, że Go nie ma – wszystkie kombinacje intelektualne marksistów i neomarksistów tracą jakikolwiek sens. (...) Mimo czasami grzesznych postaw niektórych reprezentantów Kościoła, którzy przecież są jak wszyscy inni wystawieni na pokusy i mogą błądzić, Kościół łagodzi i normuje stosunki pomiędzy ludźmi".

O socjalistach

„Współcześni socjaliści daleko odeszli od pierwotnych ideałów. Ich wizja doskonałego ustroju nie polega już na wyzwoleniu człowieka od wyzysku ekonomicznego, ale na wyzwoleniu człowieka od wszelkich ograniczeń, nawet wynikających z zasad przyzwoitości. Wystarczy przypomnieć sobie wszystkie marsze równości i ordynarne hasła niesione przez współczesnych socjalistów razem z feministkami i zwolennikami ideologii *gender*".

O wolności słowa

„Cenzura istnieje nadal i choć wygląda to zupełnie inaczej, to zawsze chodzi w niej o to samo: spełnienie życzeń i nakazów właściciela i mocodawcy (pracodawcy). Bez różnicy, czy jest to komitet centralny partii komunistycznej, czy właściciel np. niemieckiego koncernu Springer".

O życiu erotycznym

„Coraz bardziej wyrafinowane metody odrywania seksu od miłości i płodności prowadzą do traktowania sfery seksu jako rozrywki, a sfery płodności jako produkcji ludzi, można powiedzieć hodowli".

↦ kolejne wydania historii Polski i powszechnej w XIX i XX w. do liceów.

Styl Roszkowskiego mocno wtedy ewoluował. O ile w latach 80. występował jako obrońca narodowych wartości, o tyle we wstępie do jednego z wydań swego podręcznika napisał w 1991 r.: „ponieważ niniejsze opracowanie miało być w założeniu w miarę popularnym podręcznikiem, usunięto z tekstu większość osobistych opinii i komentarzy". To liberalny moment w tej biografii. Czas walki się skończył, zdawał się sugerować Roszkowski. Demokratyczne państwo potrzebowało neutralnej i fachowej narracji historycznej, która pozwoliłaby uczniom zdobyć wspólny zasób wiedzy, który następnie mógł być podstawą do interpretacji i ewentualnych sporów.

Widać to było także w sposobie przedstawiania najbardziej bolesnych wydarzeń. Duet Roszkowski–Radziwiłł wykazywał się tu niezwykłą ostrożnością i wyczuciem. Zbrodnie ukraińskich nacjonalistów na Wołyniu w 1943 r. określano mianem „walk polsko-ukraińskich". Zamiast przypisywać sprawstwo wyłącznie jednej grupie etnicznej, bez przemilczania faktów uwzględniano złożoność sytuacji: rolę Niemców, władz sowieckich czy perspektywę ludności żydowskiej. Polscy partyzanci zaprezentowani zostali nie jak bohaterowie bez skazy, ale jako ludzie w dramatycznej sytuacji, również gotowi dopuszczać się zbrodni. Z podręczników Roszkowskiego i Radziwiłł historii uczyło się pierwsze urodzone już w wolnej Polsce pokolenie, w tym autor tego tekstu. Roszkowski tworzył wtedy liberalno-konserwatywny konsensus polskich lat 90. i pierwszej dekady XXI w.

Od Wojciecha do Jarosława

Jako zaangażowany publicysta Roszkowski uczestniczył natomiast w sporach o rozliczenia z PRL-em, lustrację i dekomunizację. Wspierał powstanie Instytutu Pamięci Narodowej czy budowę Muzeum Powstania Warszawskiego. – Był autorytetem dla kontestującej, krytycznej wobec III RP prawicy – wspomina jego dawny kolega, profesor historii.

Polityczne sympatie Roszkowskiego były już wcześniej znane, ale w 2004 r. przekroczył rubikon. Zdobywając mandat z list Prawa i Sprawiedliwości w okręgu śląskim, został deputowanym do Parlamentu Europejskiego. Choć już nigdy ponownie nie znalazł się na listach PiS-u, na dobre i złe związał się z obozem Jarosława Kaczyńskiego jako polityk, a potem intelektualny patron i doradca.

Główny motyw nowych prac Wojciecha Roszkowskiego to upadek zachodniego świata. Ma być on skutkiem odwrócenia się od chrześcijaństwa i trwać de facto od okresu reformacji.

Choć oprócz historycznych syntez już wcześniej wydawał zbiory publicystyki, jako sześćdziesięciolatek odkrył nowy gatunek literacki – spekulatywny esej historyczny. Od 2016 r. praktycznie co roku publikuje nową książkę. Czyni to, trochę jak przed laty w podziemiu, nie musząc konfrontować się z recenzjami koleżanek i kolegów po fachu. Jego dzieła ukazują się w krakowskim wydawnictwie Biały Kruk. Firma ta, znana wcześniej z publikacji religijnych, po dojściu PiS-u do władzy hojnie wspierana dotacjami i ciesząca się ministerialnym placetem naukowości, rozszerzyła działalność: wydaje dzieła polityków PiS-u i bliskich im intelektualistów.

Główny motyw nowych prac Roszkowskiego to upadek zachodniego świata, widziany jako skutek odwrócenia się od chrześcijaństwa i trwający *de facto* od okresu reformacji. Dzisiejszy autor podręcznika do HiT-u opowiada się wyraźnie po stronie nowoczesnego religijnego integryzmu, znanego chociażby z USA, oceniając historyczne oraz współczesne wydarzenia i postaci pod kątem odstępstw od surowego kanonu moralnego.

Lata 90. i pierwsza dekada XXI w. okazują się więc tylko długim przerywnikiem, eksperymentem neutralności. Sam Roszkowski mocno się dziś dystansuje od pisanych z Anną Radziwiłł podręczników. „Zostawialiśmy zbyt duże pole do dociekań własnych", tłumaczył w wywiadzie dla bliskiego władzy miesięcznika „WPiS". „Byliśmy pod mocną presją, bo dominowała tendencja do przedstawiania suchych faktów", dodawał. Jeżeli więc w pierwszych dekadach wolnej Polski przedstawiano uczniom wydarzenia jako „suche fakty" (w historycznym kontekście) oraz dawano narzędzia do ich oceny, to dziś Roszkowski widzi w tym kapitulację jego strony ideowego sporu. Jeżeli – jak uważa – każda wiedza jest przemocą, również ta udająca światopoglądową neutralność, to prawica ma prawo do narzucania swojej interpretacji historii i czynienia tego przy pomocy struktur państwa. Roszkowski dzieli tę konstatację z innymi bliskimi władzy intelektualistami, takimi jak Andrzej Zybertowicz czy Andrzej Nowak. Oznacza to tyle, że wrócił do czasów „Andrzeja Alberta", do historii walczącej. Wydarzenia historyczne należy „wartościować wedle norm moralnych, na których opiera się nasza cywilizacja", jak stwierdził Roszkowski w jednym z wywiadów.

Wnioski te widać w najbardziej „podręcznikowej" książce Roszkowskiego z tego okresu: „Kierunek Targowica. Polska 2005-2015", będącej polityczną historią pierwszych rządów PiS-u oraz lat dominacji PO. Autor nie ukrywa błędów prawicy i sprawnie wytyka liberałom najpierw histeryczne reakcje w latach 2005-2007, a potem zaniedbania i pychę w czasach sprawowania władzy. Jednak w pracy, którą widzieć można jako uwerturę do „HiT-u", znajdziemy wizję świata zbieżną z narracją polityków PiS-u i prawicowych tygodników.

W zamykającym książkę rozdziale („Pycha kroczy przed upadkiem") postkomuniści, PO i „polskojęzyczne media" przedstawieni są jako metafizyczne zło, któremu w 2015 r. przeciwstawił się „obóz patriotyczny". Epitety zarezerwowane kiedyś dla sterowanych z Moskwy komunistów teraz padają pod adresem polityków Platformy, którzy również mają mieć problemy z suwerennością (kłamstwo, niemoralność, kumoterstwo, szubrawstwo, bluźnierstwo, zdrada, kosmopolityzm). Próby refleksji nad podziałami społecznymi i politycznymi w Polsce, które Roszkowski wywodzi od czasów rozbiorów, mieszane są z gromami ciskanymi w dzisiejszych przeciwników.

„Historia i Teraźniejszość", choć miała być podręcznikiem dla uczniów, napisana została w stylu historii walczącej. Jest odbiciem długiej kariery Wojciecha Roszkowskiego i symbolem jego ideowej postawy: obecnego już w podziemiu uznawania arbitralnych „wartości moralnych" za kryterium odbierania adwersarzom prawa do sprawiedliwej oceny oraz dzisiejszej fascynacji religijnym integryzmem. Autor zapowiedział powstanie drugiego tomu, obejmującego czasy współczesne. Czekamy. © JAKUB SZUMSKI

CEZARY ASZKIEŁOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL

Molo w Międzyzdrojach. 2 lipca 2022 r.

Lato bez domu

SONIA POHL

Turyści przyjeżdżają na wypoczynek i nie chcą, by im zawracać głowy. Dla prowadzących prywatne kwatery to wciąż zaskoczenie. Pamiętają czasy, gdy wspólne wieczory były czymś normalnym i ciekawym dla obu stron.

Przeciętny polski dom składa się z kuchni, salonu, sypialni, łazienki i pokoi dziecięcych. Nadmorski dom może tak wyglądać tylko przez dziewięć miesięcy w roku. Potem zaczynają nagle puchnąć plaże, restauracje i parkingi. Puchną też prywatne domy. Mnożą się miejsca do spania, kilku domowników zamienia się w kilkunastu, robi się głośno, drzwi otwierają się znacznie częściej. Nie ma sensu ich zamykać na klucz, furtki są stale uchylone, a na podjeździe trudno się przecisnąć między autami.

Oczekiwanie

Krystyna ma dwadzieścia pięć łóżek. Do tego osiemdziesiąt kompletów pościeli, siedem telewizorów, tyle samo lodówek. Jej dom stoi w Międzyzdrojach, niedaleko cmentarza, pod lasem, kawałek od plaży. To odrestaurowany, poniemiecki budynek. Tu się urodziła. Kiedyś zajmowali tylko dół, dzisiaj cały dom jest jej. Wynajmuje go, odkąd pamięta.

W czasach, gdy rozmowa międzymiastowa była wyzwaniem, ludzie pisali listy, żeby „się zapowiedzieć". Mama Krystyny prowadziła zeszyt z zapisami. Jeśli miała wolne miejsca, korzystała z naganiaczy, którzy szli na peron i krzyczeli: „Dwa pokoje u Krystyny!".

– Ja się nawet w jednym wczasowiczu zakochałam – przyznaje Krystyna. – Nieważne, że miał żonę i córkę. Dla mnie lato zaczynało się, gdy tylko się zapowiedział.

W czasach PRL wielu ludzi jeździło co roku w te same miejsca. Jak wspomina Julianna, również wynajmująca swoje pokoje od lat, stawali się na ten czas jedną wielką rodziną. Mówiło się o nich: letnicy, bo przyjeżdżali na kilka tygodni lata, a niektórzy na całe wakacje. Brali ten sam pokój, gdzie stało łóżko, stojak z wodą, stół i krzesła. Na śniadanie była zupa mleczna, a na obiad – wędzona w beczce ryba. Wieczorem ognisko, czasami tańce i śpiewy.

Latem rodzice Julianny spali w kuchni za kotarą, a ona z rodzeństwem w stodole na sianie. Wdrapywali się tam po drabinie przez okienko. Mama zaglądała do nich czasem z latarką, żeby sprawdzić, czy mają umyte nogi. Potem wymykali się na ognisko. Wreszcie coś się działo.

Dom Julianny znajduje się nad jeziorem Wicko, w delcie Odry. Do morza – kwadrans drogi rowerem. Z okien salonu widać wodę i wysokie trawy na wyspach. Za domem stoi podmurowana, dwupiętrowa stodoła. Jej dół został w części zamieniony na pokój, który Julianna latem wynajmuje.

Swojego domu już nie udostępnia turystom, ale od dwudziestu lat prowadzi z mężem biuro kwater. Korzystają z nich m.in. pracownicy sezonowi, którzy w Międzyzdrojach na promenadzie sprzedają biżuterię. Rano szef zabiera ich do pracy, a wieczorem odwozi. W zasadzie w ogóle się ich nie widuje.

Ten brak kontaktu dotyczy nie tylko pracowników. Z turystami też jest inaczej niż kiedyś. Odseparowała ich od miejscowych moda na domki, wzmocniona dodatkowo przez pandemię, kiedy ludzie woleli nie mieć kontaktu z obcymi. Rezerwują je przeważnie Niemcy, ↦

ARCHIWUM PRYWATNE

Pole namiotowe w Międzyzdrojach, ok. 1965 r.

↦ ale umowę podpisuje się nie z nimi, tylko z pośrednikiem. W niej jest wyraźnie napisane, że gościa należy przywitać, zameldować, podać mu hasło do wi-fi, a w dniu wyjazdu sprawdzić stan domku, odebrać klucze i pożegnać. Zero zagadywania.

– Mówią nam, że przyjeżdżają na wypoczynek i mamy im nie zawracać głowy. To dla mnie wielkie zaskoczenie – mówi Julianna, wspominając czasy, gdy rozmowy z turystami były czymś normalnym i ciekawym dla obu stron.

Zasady gry

Helena ma dom w Międzyzdrojach, ale jako młoda mężatka w latach 60. zajmowała z rodziną niewielkie mieszkanie i wtedy letni sezon spędzali w kuchni. Teraz na każdym piętrze są pokoje dla gości, ale już nie wszystkie do wynajęcia. Helena jest po osiemdziesiątce, nie ma już siły harować, więc kwaterami zajmuje się jej syn. Ona pomaga – pierze, przebiera pościel. Ale w jej kuchni wciąż stoi wersalka. Na wszelki wypadek.

Helena z sentymentem wspomina dawne czasy. Jak był tu Fundusz Wczasów Pracowniczych, wszyscy mieli jednakowo. Przyjeżdżał wtedy specyficzny typ gościa: wczasowicza, który otrzymywał skierowanie „z zakładu". Pod dom Heleny co dwa tygodnie podjeżdżał więc autokar, wysiadało z niego dwadzieścia umęczonych całoroczną pracą i podróżą osób, a wsiadało dwadzieścia wypoczętych. Fundusz załatwiał formalności: zrzeszał zakłady pracy i domy wczasowe. Helena wypełniła tylko formularz, wpisała liczbę miejsc i złożyła go w urzędzie w okienku. Potem przyszła inspekcja, zweryfikowała, czy łóżek jest tyle, ile zadeklarowano, wyceniła nocleg i można było podpisać umowę.

Aż upadł komunizm i zaczęła się rywalizacja. Sąsiad czatował w oknie i krzyczał: „Tam jest drogo! Chodźcie do mnie, ja mam fajniej!". Nie wszyscy wytrzymali ten wyścig.

Dzisiaj nawet nie da się określić, kiedy rozpoczyna się sezon. Zmieniły się zasady gry. Letnicy dawno wymarli, wczasowicze są gatunkiem zagrożonym. Pomorzem rządzi inny rodzaj turysty. Zjawia się sporo czasu przed wakacjami, ale na dużo krócej, przeważnie na kilka dni. Wybrzeże nie zapełnia się gwałtownie, ale stopniowo, wraz z rosnącą kreską na termometrze. Ludzie rezerwują noclegi przez internet lub dzwonią. Oczekują dokładnych informacji. Ile jest do morza, jakie są opłaty, wyposażenie, o której cisza nocna. Jak tylko coś nie zgadza się ze zdjęciem z internetu, może być afera.

Naganiaczy zastąpili taksówkarze, którzy gromadzą się pod dworcem na moment przed przyjazdem pociągu. Poruszenie widać zwłaszcza przed weekendem, kiedy okolica zanosi się od dźwięków stukających po chodnikach kółek od walizek. Parkingowi licznie zajmują miejsca na plastikowych krzesełkach. Kelnerzy wystawiają na zewnątrz stoliki. Wszyscy są gotowi na turystyczny szturm.

Redukcja

Latem Międzyzdroje pęcznieją z pięciu do stu tysięcy osób. Internet spowalnia, nie ma gdzie zaparkować, w supermarketach kończy się woda i prawie nigdzie nie ma wolnego pokoju. Istnieje metoda, by pomieścić ten tłum – to migracja z redukcją. Prosta i tania.

Kiedyś redukowało się niemal całe miasto. Trwało to tydzień lub dłużej, ale efekt był ten sam – lądowało się poza własnym domem. – Strasznie tego nie lubiłem – wspomina Krzysztof, kolejny z właścicieli pokoi do wynajęcia. – Najbardziej nie podobało mi się, że muszę oddać swój pokój. Zabierałem stamtąd wszystkie swoje rzeczy.

Na podwórku stały komórki. W jednej trzymali świnie, do drugiej ojciec Krzysztofa wstawiał tapczan i szafy. Latem spali tam w piątkę, nazywając to miejsce dla przekory Belwederem. W domu zaś rozstawiali łóżka, w każdym pokoju po trzy lub cztery. Razem dwadzieścia jeden miejsc. Cena zależała od standardu: za łóżko dwadzieścia złotych, z lampką pięć złotych drożej, za radio kolejna dopłata.

– Każdy się przeprowadzał – potwierdza Krystyna. – Rodzice do przybudówki, bracia do garażu. Moje miejsce było w kuchni – wskazuje na drzwiczki pod schodami. W środku jest kilka półek, słoiki, stare garnki, zwisająca na kablu żarówka i zamurowane okienko, które kiedyś wychodziło na podwórko. – Miałam ten schowek tylko dla siebie – wspomina Krystyna. – Ścinałam bez, wkładałam go do słoika i ten niby-wazonik stawiałam na parapecie przy okienku. Miałam tu swoje posłanie, tu się kładłam i sobie marzyłam.

– My wynosiliśmy się na strych – dopowiada Helena. Jej mąż był myśliwym, więc kilka wypchanych ptaków łypie na nas znad framugi drzwi. Pod nogami dywan z dzika. Na meblościance wyrzeźbione sceny – sarna na polanie, dzik w zaroślach.

„Rogi mi ukradną!" – krzyczał mąż, który miał opory, by wynająć ten pokój. Ale gdy Helena policzyła, że pieniędzy z najmu starczy na opał na całą zimę, dał się przekonać. Na czas wakacji zostawały tu tylko meble i poroża. Zdjęcia i pamiątki Helena pakowała do kartonów i wynosiła na strych. Kryształy zawijała w gazety i upychała w tapczanach.

– Piwnicę posprzątać, zabezpieczyć opał, wynieść garnki – wylicza z kolei Iwona. Na początku zajmowała z rodziną mieszkanie tuż przy nadmorskiej promenadzie. Na podwórku ojciec postawił dwa drewniane domki, które zbił z desek, położył papę na dachu i wstawił okienka. W jednym spali rodzice, w drugim Iwona z bratem. Ten większy był wielkości małego pokoju, w środku mieściły się tapczan, szafa, dwa fotele i telewizor. – Luksus – mówi Iwona.

Po dekadzie letnich przeprowadzek w jej rodzinie zapadła decyzja o budo-

wie domu. W latach 70. stawiano „gierkówki”, każdy tak samo kwadratowy jak reszta. W piwnicy kotłownia, suszarnia, pralnia i garaż. Piętro miało być dla nich, góra dla wczasowiczów.

Miarą różnic między urlopami w PRL a dzisiejszymi czasami są... toalety. Dziś własna łazienka przy pokoju to standard, ale kiedyś była jedna w całym domu. Pięć minut razy dwudziestu gości dawało prawie dwugodzinną kolejkę. Najwcześniej mył się ten, kto szedł do pracy, potem goście, dzieci na końcu. Czasami szybciej było wykąpać się w morzu. Wczasowicze też mieli swój system. Wieczorem dogadywali kolejność i zwykle szli się myć pokojami. „Czysty pokój” wychodził na śniadanie. Ludzie potrafili ze sobą współpracować, nie byli aż tak skupieni na własnych potrzebach jak teraz.

Dzisiaj kolejki tworzą się gdzie indziej: przy salonach gier, budach z lodami lub z kebabem, przy wjeździe do miasta i na każdym parkingu. Jedyne miejsca, które są poza większym zainteresowaniem turystów, to cmentarz, muzeum i biblioteka.

Ekspansja

Z nastaniem wolnego rynku zaczęła się w nadmorskich miejscowościach ekspansja budowlana, w wielu miejscach niekontrolowana. Powstawały kolejne domy wczasowe, sanatoria, pensjonaty. W ostatnich latach w Międzyzdrojach co roku staje kilka nowych wieżowców. Niektóre to ekskluzywne hotele, inne oferują apartamenty na sprzedaż. Poza sezonem zwykle nikt w nich nie mieszka.

– Ludzie oczekują teraz wysokiego standardu – tłumaczy Krzysztof, kolejny mieszkaniec Międzyzdrojów. – Po części dlatego, że nie umieją odpoczywać. Są podenerwowani, zdekoncentrowani, przyjeżdżają na krócej, ale za to żądają luksusów. Potrafią płacić za nocleg straszne pieniądze. Może chcą tego, czego nie mają u siebie.

Gdy ojciec zmarł, mama Krzysztofa zamieniła dom w Międzyzdrojach na mieszkanie w bloku. Dla niej emerytura oznaczała koniec biznesu. Krzysztof wyprowadził się wtedy nad jezioro Wicko. Wyremontował dom i postawił przybudówkę, którą od kilku lat wynajmuje pracownikom sezonowym obsługującym turystów.

– Oni muszą gdzieś spać – mówi. – A u mnie mogą mieszkać po ludzku. Jest ogród, grill, rowery. Można przyjeżdżać z psami. Mam też kilku stałych gości, którzy szukają czegoś odmiennego. Znajdują tu spokój i przestrzeń.

Jedno jest pewne. Turyści przyjeżdżający do Międzyzdrojów spędzają dziś lato w lepszych warunkach. Ale również wielu z ich gospodarzy, tak jak Krystyna, porzuciło „redukcje” i stara się bardziej dbać o swój komfort. – Dół jest w całości mój, nie wpuszczam tutaj nikogo – mówi zdecydowanie. Z czasów przeprowadzek pozostał jej specyficzny stosunek do rzeczy: czego nie potrzebuje, oddaje. Meble, ubrania, sprzęty. – Rzeczy powinny być w ciągłym ruchu. Nie chcę się do nich przywiązywać – mówi.

Powroty

Rozbudowa Międzyzdrojów zaczęła się na przełomie wieków. Od tego czasu mieszkańcom po sezonie towarzyszy hałas budowlańców. Wcześniej koniec lata oznaczał, że robiło się cicho, a życie zaczynało się od początku. Ciuchy przeprać, materace zabezpieczyć. Obejrzeć ściany. Jeśli trafiły się ślady butów albo krwawe plamy po komarach, odmalować. Skręcić rozchwiane meble. Z sypialni zrobić na powrót salon lub kuchnię. Posprzątać.

Przez pierwszy tydzień albo dwa nauczyciele nie zadawali dzieciom nic do domu, bo wiadomo było, że jeszcze nie każde wróciło „na swoje”. Zeszyty uczniów nadal leżały głęboko w kartonach. Pomoce naukowe niektórych nauczycieli – również.

– Odzyskiwanie domu zajęło mi dwadzieścia lat – przyznaje mama Iwony. Kiedy spłacili kredyt, zaczęła ograniczać liczbę pokoi na wynajem. Wkrótce udało się wyłączyć jedno piętro, potem drugie, aż została tylko góra. Iwona wspomina, że gdy wyszła za mąż, jej partner uparł się, że muszą zacząć działać pełną parą. Liczył na szybki zarobek. Trwało to dwa sezony, dłużej nie wytrzymał. Przyszedł moment, kiedy z niechęcią wracał do własnego domu. Wynajem wiąże się bowiem z tym, że w przestrzeni osobistej ciągle pojawia się ktoś obcy. To może być najmilszy człowiek świata, lecz sama jego obecność drażni. Widać to po lokalnej architekturze – pojawiają się osobne schody zewnętrzne lub całe klatki schodowe, przybudówki, drzwi w przedziwnych miejscach. Wszystko po to, żeby się od obcych jakoś odgrodzić.

Gdy nadchodzi wrzesień i z każdym dniem robi się spokojniej, mieszkańcy mogą zacząć wracać do równowagi. Pod koniec wakacji każdy jest już bowiem kłębkiem nerwów. Niektórzy obiecują sobie, że to ostatni taki sezon. A potem i tak się okazuje, że wynajmować trzeba. Bo zimą leje i wieje, a dom trzeba ogrzać. Bo dzieci trzeba ubrać. Bo szkół średnich w Międzyzdrojach nie ma, więc trzeba opłacić dojazdy, internaty. Bo kredyt, bo remont, bo spłata budowy.

– Kiedyś lato się urywało, jakby nożem uciąć – mówi Krystyna. – Jednego dnia tłum, następnego puste ulice. Smutno się robiło, zwłaszcza gdy padało. Wcześniej w czasie deszczu mój ojciec na korytarzu stawiał stolik, pił z letnikami wódkę i razem oglądali telewizję. Przyjaźniliśmy się z nimi, to przykro było, jak wyjeżdżali. Teraz ludzie są inni, wystarczy trochę alkoholu, a zdarzają się różne sytuacje. Słyszałam już, jak mąż bije żonę. Musiałam interweniować.

Krystyna przyznaje, że turystami jest po prostu zmęczona.

SONIA POHL

Bilet wstępu na plażę w Międzyzdrojach, 1973 r.

Liczenie

Zamknąć lato można na kilka sposobów. Ojciec Krystyny zamykał je w kanapie. Pod koniec sezonu podliczał pieniądze i upychał je w tapczanie. Gdzie indziej odbywało się to komisyjnie. Dzieci siadały do stołu, a rodzice ogłaszali, na co przeznaczą fundusze. Helena miała w zwyczaju zanosić pieniądze do banku. Jej konto zwiększało aktywa raz w roku, a pomniejszało się stopniowo. Liczyło się talerze i kubki. Przeliczało pościele. Zapisywało usterki i litry farby, która miała pokryć ściany. W sumie nadal tak to wygląda. Julianna wciąż liczy zepsute meble. Krzysztof zużyte żarówki. Kiedy już absolutnie wszystko zostanie podsumowane, można rozpocząć odliczanie. Dziewięć miesięcy do kolejnego sezonu. © SONIA POHL

DANUTA WEGIEL

WIARA

MIĘDZYŚWIATOWIEC

Stefan Wilkanowicz jest jak wyrzut sumienia.
Nasze myśli nie mogą się oderwać od tego, co błahe.
On myślał tylko o tym, jak połączyć to, co wydaje się niepołączalne,
i zbudować wspólnotę z przeciwnikami.

WOJCIECH BONOWICZ

W redakcji „Tygodnika Powszechnego" mówiło się o nim „Wulkan", w Znaku, przynajmniej wtedy, kiedy ja przyszedłem do pracy, wyłącznie „pan Stefan". Z szacunkiem, ale też delikatnym dystansem, bo sprawiał wrażenie człowieka, który jest trochę nie z tego świata: wierzy w przekonującą moc słowa, w rozwiązywanie nawet najbardziej zapiekłych konfliktów drogą dialogu, w zmianę na lepsze, której fundamentem będzie pogłębiona edukacja i odmienione media. Niemal nazajutrz po ataku na World Trade Center zaczął pisać o potrzebie dialogu chrześcijańsko-muzułmańskiego. „Stefan to fantasta", wyrwało się nie pamiętam już komu, kiedy słuchaliśmy o podobnych projektach. Ale to nieprawda: Wilkanowicz stąpał mocno po ziemi, to inni bujali w obłokach.

Zmarł 9 lipca, przeżywszy 98 lat.

Papież poczeka

Siedzieliśmy naprzeciwko siebie przez kilka lat. W redakcji miesięcznika „Znak", którego redaktorem naczelnym był od 1978 do 1994 r. Jeśli dobrze pamiętam, zajmował się głównie odpowiadaniem na listy. Bywało, że nowy naczelny, Jarosław Gowin, dawał mu jakiś tekst do zaopiniowania, a potem o nim dyskutowaliśmy, ale na ogół pan Stefan żył w swoim świecie, a w bieżące prace redakcyjne angażował się mało. Z czasem zorientowałem się, że ten „jego świat" właściwie nie ma granic: gdy my kręciliśmy się głównie wokół spraw polskich, on żył pod wieloma szerokościami geograficznymi jednocześnie.

Na przełomie listopada i grudnia 1996 r. pojechaliśmy całą redakcją do Rzymu, na spotkanie z papieżem. Większość z nas w oczekiwaniu na sygnał od ks. Dziwisza krążyła po Wiecznym Mieście. Tylko pan Stefan nie tracił czasu: umówił się na spotkanie z biskupami z Wietnamu, którzy akurat przebywali w Rzymie. Kiedy w końcu dostaliśmy wiadomość, że papież czeka, pana Stefana nie dało się już zawiadomić i na audiencji zjawiliśmy się bez niego. Tłumaczył później, że z papieżem może się spotkać przy innej okazji, a z episkopatem wietnamskim raczej nie będzie miał szans. A chciał wiedzieć z pierwszej ręki, jak wygląda sytuacja chrześcijan w tym kraju.

Zastanawiam się, kogo z ważnych tego świata znał, a kogo nie. Kiedy wyjeżdżało się na Zachód, miało się wrażenie, że jego znają wszyscy. Oczywiście, dotyczyło to głównie osób zajmujących się dialogiem międzyreligijnym, relacjami polsko-żydowskimi, Kościołem. Niemniej ta jego rozpoznawalność robiła wrażenie. Mimo osobistej skromności – a może właśnie dzięki niej – Stefan Wilkanowicz wrył się w pamięć wielu ludzi. Wielu zresztą pomógł, służąc swoimi kontaktami w Polsce i innych krajach.

Olśnienie

Na osobiste wspomnienia dawał się namówić rzadko. Długo nie wiedziałem, że był „importem" z Warszawy: urodził się (3 stycznia 1924 r.) i dorastał w podwarszawskich Młocinach. Dziś to część stolicy, ale wtedy, w latach dwudziestych ubiegłego wieku, wieś na jej przedmieściach, z której do stołecznego miasta dostać się było trudno. Jego ojciec pracował przy budowie kolejki z Warszawy do Milanówka, matka była nauczycielką. Dla ojca, starszego od żony o dwadzieścia lat, było to drugie małżeństwo: z wcześniejszego związku miał trzech synów i córkę, z tego narodził się tylko jeden syn, który dostał na imię tak samo jak najstarszy, zmarły na froncie w czasie wojny polsko-bolszewickiej.

Stefan uczęszczał do gimnazjum marianów na Bielanach, przemianowanego w latach okupacji na szkołę zawodową. W obszernej rozmowie z Tomaszem Poniklą (zatytułowanej „Chrześcijanin") wspominał, że chciał zostać wynalazcą; jako nastolatek wpadł na przykład na pomysł, że miny morskie najlepiej byłoby spuszczać na małych spadochronach z samolotów... Pierwsze dni wojny zapamiętał głównie z powodu schronu, który wykopał wspólnie z ojcem w ogrodzie: kiedy rodzina siedziała w środku, w schron uderzył pocisk, który jednak nie wybuchł. W konspiracji Wilkanowicz czynnego udziału nie brał, choć zaangażowało się w nią wielu jego kolegów. Mówił, że podziwiał ich odwagę, ale zniechęcała go lekkomyślność: potrafili w biały dzień paradować po ulicach z bronią za pasem. „Wszyscy z nich zginęli" – wspominał potem. ↦

Stefan Wilkanowicz, Kraków, 19 grudnia 2008 r.

↦ Po wojnie skończył studia na Politechnice Warszawskiej. Pracował w „Ursusie", założył z kolegą warsztat mechaniczny (który szybko wykończyły socjalistyczne podatki), w końcu trafił na budowę „Mincówki", czyli gmachu Ministerstwa Przemysłu i Handlu. Pan Stefan ze śmiechem opowiadał, jak podlegający mu pracownicy – żeby nie narazić się na oskarżenie o sabotaż – montowali kaloryfery, które wisiały w powietrzu, bo nie postawiono jeszcze ścian działowych. Równocześnie działał w Sodalicji Mariańskiej, starając się pogłębiać religijność, która była dlań równie ważna, co studia inżynierskie. Wiarę chciał połączyć z praktyką społeczną; te pragnienia pchnęły go na filozofię na KUL. Ale zanim rozpoczął kolejne studia, w październiku 1950 r. został aresztowany.

Jakimś cudem nie włączono go do głośnego procesu sodalisów, ale w lubelskim więzieniu przesiedział siedem miesięcy. Opowiadał, że w celi spotkał pierwszego prawdziwego komunistę. Współwięzień zawsze sprawiedliwie dzielił się zawartością otrzymywanej paczki. „Siedziałem jako komunista za sanacji – wspominał. – Za okupacji jako komunista walczyłem z Niemcami, a teraz, w komunizmie, znowu siedzę za komunizm. Ale ja ich przetrzymam". W więzieniu Wilkanowicz przeżył też coś, o czym mówił mało: doświadczenie olśnienia, zgody na świat taki, jaki jest, które nazywał mistycznym. „Nigdy się nie powtórzyło – powiedział mi kiedyś – ale zapamiętałem je na zawsze".

Po wyjściu na wolność studiować mógł już tylko zaocznie. Studia jednak skończył, a pracę magisterską z filozofii społecznej poświęcił sytuacji robotników w ujęciu Emmanuela Mouniera, chrześcijańskiego personalisty, cieszącego się sporą popularnością wśród katolickiej inteligencji. Dzięki KUL-owi poznał środowisko „tygodnikowo-znakowe", m.in. Stefana Swieżawskiego i Jacka Woźniakowskiego. Ten ostatni zaproponował mu pracę w Krakowie. I tak w 1957 r. Wilkanowicz znalazł się na Wiślnej, gdzie nie tylko włączył się w pracę obu redakcji, ale zaczął też organizować Klub Inteligencji Katolickiej.

Orchidea i Malwa

Rok ten okazał się dlań przełomowy również z innego powodu. Jak powiedział Tomaszowi Ponikle, skończyła się wówczas miara jego sercowej beztroski: po raz pierwszy wyjechał za granicę, na międzynarodowy kongres ruchu Pax Romana, który odbywał się w San Salwador, i w czasie tego wyjazdu... zakochał się. Była to z jego strony miłość od pierwszego wejrzenia i choć Wietnamka Teresa Trân Thi Lài była córką mandaryna i krewną cesarzowej, 33-letni Wilkanowicz postanowił, że zostanie jego żoną. Kiedy trzy lata później spotkali się ponownie na lotnisku w Paryżu, gdzie Stefan przesiadał się z samolotu na samolot, zapytał wprost: „Czy byłabyś w stanie zamieszkać ze mną w Polsce?" – i usłyszał odpowiedź twierdzącą. Po pokonaniu licznych trudności – w tym zdobyciu specjalnego listu od Jana XXIII, który miał przekonać rodziców Teresy, że ich córka nie wychodzi za komunistę – w 1964 r. wzięli ślub i rozpoczęli wspólne życie w Krakowie. Byli razem pół wieku – do śmierci żony w 2014 r.

Urodziły im się dwie córki: Marzena Lan („Orchidea") i Katarzyna Dung („Malwa"). „Mam szczególne doświadczenie rodziny, dzięki któremu łatwiej mi docenić wartość różnorodności – mówił Wilkanowicz w wywiadzie. – Nie mógłbym i nie chciał zrobić z córek typowych Polek. Doceniam kulturę wietnamską, która jest im także potrzebna". W domu Wilkanowiczów mówiło się po polsku i francusku, pielęgnowało zwyczaje polskie i wietnamskie. W 2004 r. pani Teresa opublikowała książkę, w której opisała historię swojej mandaryńskiej rodziny. „To się Stefanowi od Boga należało" – mówiono o tym małżeństwie.

Siła spotkania

Tak, można było ten szczęśliwy związek potraktować jako nagrodę dla Wilkanowicza za jego otwartość na inne kultury, autentyczne umiłowanie pluralizmu i wiarę w dialog, która przenikała całą jego działalność. Został publicystą, ale publikował stosunkowo niewiele, chętniej za to animował rozmaite działania: ankiety wśród czytelników, numery monograficzne „Znaku" (w tym pionierskie polsko-żydowskie i polsko-ukraińskie), cykle spotkań, przedsięwzięcia edukacyjne, konferencje. Pisząc o nim przed laty na łamach „Tygodnika", nazwałem go człowiekiem-forum: kimś, kto umożliwiał innym spotkanie, wymianę doświadczeń. Wierzył w siłę opowieści, świadectwa, chciał, żeby ludzie jak najszerzej dzielili się ze sobą tym, co myślą, jak przeżywają określone zjawiska i zdarzenia. Miałem wrażenie, że Wilkanowicz, choć chętnie rozprawiał o ideach i liczbach, tak naprawdę wolał wsłuchiwać się w konkretne głosy, które pozwalały widzieć rzeczywistość w całym jej skomplikowaniu.

Przez lata wszystko nagrywał: kazania, wystąpienia, dyskusje, wywiady, a następnie rozpowszechniał je za pomocą kaset magnetofonowych. Nic dziwnego, że możliwości, jakie stworzył internet, go zachwyciły. Pytany w 2006 r. o przyszłość miesięcznika „Znak", odpowiedział: „Jeżeli »Znak« ma się rozwijać i szerzej oddziaływać, musi stać się pismem multimedialnym. Istota jego działalności powinna polegać na dialogu między fachowcami wysokiej klasy, naukowcami, intelektualistami, oraz młodymi ludźmi, którzy wchodzą w życie i czegoś szukają. Jeżeli ten dialog się uda, to na pewno nie w tym klasycznym, papierowym wydaniu, ale właśnie w nowych formach medialnych".

Wybór postawy dialogicznej był dla niego wyborem najbliższym, najbardziej naturalnym. Miał w sobie przyrodzoną delikatność, a także uważność i cierpliwość, które są warunkiem porozumienia. Pamiętam jednak, jak któregoś razu powiedział mi, że dialog bywa trudny, męczący, i że miewa pokusy, żeby dać sobie z nim spokój. „Czasem im mniej się dzieje w danym obszarze, tym lepiej". Zdawał sobie sprawę, że to, co dla niego jest najwyższą wartością, przez innych bywa wykorzystywane, instrumentalizowane lub ośmieszane. Mimo to nigdy się nie wycofał, przeciwnie – do samego końca propagował dialogiczną wizję społeczeństwa, Kościoła, współżycia narodów i religii. „Jestem coraz bardziej przekonany, że trzeba na większą skalę wprowadzać metodę rozmów anonimowych – mówił Ponikle. – Czasem tylko tak można przybliżyć się do prawdy i szukać rozwiązań. Inaczej trudne tematy łatwo zamienia się w kiepski teatr, w pyskówkę".

Preambuła

Jeśli chodzi o Kościół, była to wizja ukształtowana pod wpływem Soboru Watykańskiego II i doświadczeń synodalnych z czasów, kiedy ordynariuszem w Krakowie był kard. Karol Wojtyła. Kościół rozdyskutowany bardzo Wilkanowicza pociągał, w rozmowie widział najlepszy środek do przezwyciężenia izolacji duchownych, klerykalizmu, koncentracji

na strukturze. Z entuzjazmem witał to, co na ten temat mówił papież Franciszek. „Ta dialogowa »piękna przygoda« jest potrzebna w Kościele, w lokalnych społecznościach i w międzynarodowych strukturach – pisał w „Tygodniku" po wizycie papieża w Japonii. – Może trzeba zacząć od minidialogów, najpierw w rodzinach, a potem wśród przyjaciół, którzy niekoniecznie muszą mieć takie same poglądy. Tą drogą może dojdziemy do dziennikarzy i polityków, choć to niezwykle trudne (...). W każdym razie trzeba im postawić takie wymaganie".

Wierzył też w dialog międzyreligijny. Jego wkład w zbliżenie chrześcijańsko-żydowskie wymagałby osobnego opracowania. Pamięta się, że odegrał istotną rolę w rozwiązaniu konfliktu wokół klasztoru Sióstr Karmelitanek w Oświęcimiu, nie pamięta się jednak o wielu innych jego inicjatywach na tym polu. Przypominam sobie, jak któregoś roku przygotował broszurkę zawierającą wybór najważniejszych wypowiedzi Jana Pawła II na temat Żydów i antysemityzmu (swoją drogą, Wilkanowicz nie lubił tego słowa i niechętnie się nim posługiwał). Wierzył, że można by rozdawać ją w parafiach i na katechezach, aby uświadomić ludziom, zmanipulowanym przez niektóre katolickie media, jak wygląda rzeczywiste nauczanie papieskie na ten temat.

Postulował potrzebę ożywienia dialogu chrześcijańsko-muzułmańskiego – powołując się na udane próby z krajów Bliskiego Wschodu i Afryki – a także przekształcenia go w trialog chrześcijańsko-muzułmańsko-żydowski. Taki dialog „może się przyczynić do rozwoju każdej z religii. Do wychodzenia z historycznych zaszłości – bo musi też prowadzić do wspólnego rachunku sumienia. Przyznania, co złego wcześniej wobec siebie zrobiliśmy" – pisał w 2008 r. w „Tygodniku".

O sprawach polsko-polskich wypowiadał się stosunkowo najmniej, ale jeśli już, to zawsze w tym samym duchu. Jego najsłynniejszą wypowiedzią na ten temat był opublikowany na początku 1995 r. na łamach „Tygodnika" krótki tekst zatytułowany „Moja prywatna preambuła". Był on reakcją Wilkanowicza na toczący się wówczas spór o preambułę nowej konstytucji, do której prawa strona sceny politycznej chciała wpisać zdecydowane odwołanie się do Boga i wartości chrześcijańskich, a lewa próbowała ten zapis zablokować. „Jak by nie było, ja mam swoją prywatną preambułę, napisaną trochę przypadkiem przed kilkoma miesiącami. Odpowiada ona mojej postawie, ale może nie tylko mojej" – pisał Wilkanowicz. I zaproponował formułę rozpoczynającą się od słów: „My, członkowie Zgromadzenia Konstytucyjnego, wierzący w Boga, który jest źródłem prawdy, dobra i piękna, lub nie podzielający tej wiary, lecz uznający potrzebę dążenia do tych najwyższych wartości (...)". „Prywatna" propozycja Wilkanowicza okazała się rozwiązaniem akceptowalnym przez różne strony sporu i z niewielkimi zmianami wprowadzono ją do polskiej ustawy zasadniczej.

W stalinowskim więzieniu Wilkanowicz przeżył coś, o czym mówił mało: doświadczenie olśnienia, zgody na świat taki, jaki jest, które nazywał mistycznym.

Futurologia

Żeby realizować swoje pomysły po odejściu z funkcji naczelnego miesięcznika, stworzył m.in. Fundację Kultury Chrześcijańskiej Znak. Jednym z ważniejszych wątków jego działalności w kolejnych dwóch dekadach było przeciwdziałanie różnym postaciom nienawiści. Nawiązując do rozpisanej ankiety dotyczącej przemocy, której uczestnicy „dobrze opisywali przyczyny agresji i byli raczej bezradni w dziedzinie środków zaradczych", wyznał w liście do Marka Skwarnickiego: „Bardzo się niepokoję tym, że za mało znamy Hitlera. Nie rozumiemy, w jaki sposób doszedł do władzy, to znaczy nie rozumiemy, w jaki sposób mógł równocześnie uwieść tłumy, polityków i przemysłowców. A jeśli nie rozumiemy tych mechanizmów, to jesteśmy wobec nich bezbronni. Bardzo słusznie nie wydajemy »Mein Kampf«, ale powinniśmy mieć możność oglądania niektórych przemówień jej autora. Żeby się przerazić i zacząć głębiej myśleć".

Najbardziej niezwykłe jest to, że już pod koniec lat 60. ubiegłego wieku pan Stefan bardzo trafnie opisał wyzwania, które staną przed nami w miarę przemian politycznych i technologicznych. „Jak powinni być przygotowani ludzie do życia w zjednoczonym i pluralistycznym świecie?" – pytał w 1968 r. w artykule „Futurologia i wychowanie". I odpowiadał: „Największym błędem byłoby wychowanie pod kloszem, próby izolacji. Na nic to się nie zda, rezultaty będą odwrotne: chwiejność i sceptycyzm, infantylizm i brak krytycyzmu. Należy założyć, że młody człowiek będzie żył w gmatwaninie różnych i nieraz sprzecznych prądów myślowych, że będzie coraz intensywniej bombardowany przez różnorodne informacje albo różnorodne interpretacje wydarzeń, że będzie bezustannie konfrontował swoje poglądy, swoją stopę życiową, sposób zachowania się z poglądami, sytuacją i obyczajami innych. Zaścianków już nie będzie, człowiek będzie mieszkał jakby na rynku. Nie powinien tracić głowy, nie powinien ulegać coraz to nowym wpływom, powinien natomiast wiedzieć, czego chce – i umieć wartościować".

Rozmowa

Widzę pana Stefana, jak pochylony nad swoim biurkiem odwija drugie śniadanie, zawsze zapakowane w starannie wypłukany foliowy woreczek po mleku. Widzę, jak delikatnie się uśmiecha, proponując mi, żebym zapoznał się z tezami artykułu, którego on nie ma czasu napisać, ale może ja bym mógł... Myślę też o jego wierze, tak prostej, że właściwie wymykającej się opisowi, a jednocześnie tak mocno ukorzenionej, że nie były nią w stanie zachwiać nawet najpotężniejsze zewnętrzne kryzysy. Ale czuję, że wolałby, aby to pośmiertne wspomnienie było nie o nim – żeby było rozmową o zmieniającym się świecie, a nie wyliczaniem stanowisk, jakie piastował, czy nagród, które otrzymał.

Bo pan Stefan – powtórzę to, co napisałem przed laty – to jest mój, nasz, wyrzut sumienia. Większość z nas zajmuje się na co dzień bzdurami: jak okazyjnie coś kupić, czym zabłysnąć przed innymi, jak przyjemnie spędzić sobotni wieczór. Nawet w czasach kryzysu nasze myśli często nie mogą się oderwać od tego, co błahe, niekonieczne. A pan Stefan myślał tylko o tym, jak doprowadzić do spotkania odległych światów, połączyć to, co wydaje się niepołączalne, zbudować wspólnotę z tymi, którzy dziś są naszymi przeciwnikami. Czyli – co zrobić, żeby nigdy już się nie powtórzyły Auschwitz, Srebrenica, atak na World Trade Center, kolejna krwawa wojna... © WOJCIECH BONOWICZ

ADAM CHELSTOWSKI / FORUM

Mieszkańcy Warszawy oglądają transmisję mszy z okazji zaprzysiężenia prezydenta Andrzeja Dudy, 6 sierpnia 2020 r.

Szukając wspólnoty

PIOTR SIKORA

Katolicy w wielu krajach świata proponują daleko idące zmiany w doktrynie i praktyce kościelnej. Czy w Polsce pozostaniemy na peryferiach tej dyskusji?

Polskie syntezy synodalne zawierają krytyczną diagnozę stanu Kościoła pod względem „podążania razem w wierze", tj. stanu wspólnoty, wewnętrznych relacji, możliwości współodpowiedzialności świeckich. Jednocześnie widać w nich dużą ostrożność w proponowaniu strukturalnych zmian, które mogłyby pomóc rozwiązać zidentyfikowane problemy.

Jak zauważył Tomasz Terlikowski w tekście „Zbiorczy akt oskarżenia" („TP" nr 28/2022, zob. powszech.net/terlikowski), brak takich zmian może być poważną przeszkodą w przezwyciężeniu dostrzeżonych negatywnych zjawisk. Jedną z przyczyn ujawniającej się ostrożności polskich uczestników konsultacji synodalnych może być obawa przed niemiecką Drogą Synodalną, która z powodu swych postulatów zmian w doktrynie i praktyce Kościoła przedstawiana jest u nas – niemal jak refren – jako negatywny przykład niedopuszczalnego zerwania z tradycją chrześcijańską i ustępstwo wobec świata.

Władza i współodpowiedzialność

W tym kontekście warto zwrócić uwagę na publikowane syntezy synodalne z innych Kościołów lokalnych – rozpoznać, na jakie problemy katolicy w innych częściach świata zwracają uwagę i jakie rozwiązania proponują. Przedstawiony niżej przegląd uwzględnia krajowe syntezy z Francji, Anglii i Walii, Belgii oraz Hiszpanii, a także syntezy diecezjalne z różnych części świata: USA, Chile, Korei Płd., Irlandii, Czech i Słowacji.

Motywem, który przewija się przez wszystkie syntezy, jest klerykalizm. Problemy dystansu pomiędzy hierarchią a świeckimi, „piramidalnych" relacji władzy, braku komunikacji i dialogu, nieprzejrzystości finansów i procesów decyzyjnych występują – jak się zdaje – w całym Kościele katolickim. Owszem, można zauważyć pewne różnice w „natężeniu" tych negatywnych zjawisk pomiędzy różnymi częściami świata – z opublikowanych syntez wynika, że stosunkowo najlepiej relacje pomiędzy duszpasterzami a parafianami wyglądają w obu Amerykach. Praktycznie wszędzie „szeregowi" księża są znacznie lepiej postrzegani przez wiernych niż biskupi.

Zdecydowana większość syntez powstałych w Europie różni się od polskich tym, że nie tylko wyraża potrzebę, by księża i biskupi byli bardziej otwarci na dialog ze świeckimi, wysłuchiwali ich zdania i brali je pod uwagę przy podejmowaniu decyzji. Europejscy katolicy formułują także postulaty daleko idących zmian strukturalnych, które umożliwiłyby świeckim realny udział w procesie podejmowania decyzji ważnych dla wspólnoty Kościoła. Francuzi, Anglicy, Belgowie czy Hiszpanie domagają się, by rozmaite ciała o „synodalnej" naturze, jak na przykład parafialne rady duszpasterskie, pochodziły z rzeczywistego i wolnego wyboru i miały kompetencje nie tylko doradcze, ale i decyzyjne. Najbardziej konkretne i daleko idące postulaty sformułowali jednak Czesi – obejmujące

nie tylko wpływ na obsadę duszpasterską w parafii, ale także możliwość odwołania biskupa przez wiernych.

Postulaty demokratyzacji struktur kościelnych nie pochodzą jedynie z Europy, choć katolicy w USA wydają się tu podobni do Polaków, Koreańczycy zaś przyznają, że „piramidalna" struktura Kościoła pasuje do ich kultury – nie tylko kolektywistycznej, lecz bardzo hierarchicznej. Znacznie śmielszych zmian w kierunku bardziej „płaskiego" modelu Kościoła chcą wierni z Ameryki Łacińskiej. Na przykład w syntezach chilijskich możemy przeczytać, że decyzje dotyczące wspólnoty nie powinny należeć do samych księży, lecz uzyskiwać zgodę rad parafialnych, a nawet całych wspólnot.

W głosach latynoamerykańskich widoczny jest ważny kontekst powyższego postulatu: Kościół funkcjonuje tam najlepiej w formie małych grup (tzw. wspólnot podstawowych), w których wszyscy się znają, będąc połączeni także na płaszczyźnie codziennego życia. Katolikom chilijskim nie chodzi więc tylko o kwestie władzy, ale o to, że taka forma życia kościelnego powinna być wspierana jako najbardziej właściwa dla chrześcijaństwa.

Co ciekawe, podobne doświadczenia w tym względzie ujawniają się w syntezie Kościoła we Francji. Czytamy w niej, że właśnie w takich wspólnotach można było doświadczyć synodalności Kościoła. To odkrycie prowadzi do upowszechnienia się pragnienia, by Kościół nadal funkcjonował podobnie.

W tym kontekście warto podkreślić, że dopominanie się świeckich o otwarcie większych możliwości współodpowiedzialności za wspólnoty Kościoła nie wiąże się tylko z postulatami udziału we władzy. Wiele głosów zwraca także uwagę, że świeccy mogą z dużą korzyścią dla wspólnoty angażować się w działania o charakterze duszpasterskim: prowadzić grupy, głosić ewangelię. W tym wymiarze postulaty zmian prawnych sformułowane we Francji dotyczą otwarcia możliwości głoszenia przez świeckich homilii podczas Eucharystii.

Co przeoczyliśmy

W większości z wymienionych syntez (wyjątkiem jest Kościół na Słowacji) pojawiają się – jako bardzo ważne – wątki w Polsce prawie nieobecne albo tylko lekko zaznaczone: dyskryminacja kobiet we wspólnocie Kościoła; problem obowiązkowego celibatu; kwestia wykluczenia z pełnego uczestnictwa we wspólnocie osób niespełniających wymogów aktualnej katolickiej etyki seksualnej.

Dyskryminacja kobiet jest często wiązana z problemem „piramidalnej" struktury Kościoła, brakiem dialogiczności i monopolizacją władzy przez biskupów i księży. Niemal powszechna jest diagnoza, że w tej sytuacji cierpią zwłaszcza kobiety – które, co też jest często odnotowywane, z reguły stanowią większość wiernych zaangażowanych w życie wspólnoty. Powszechne jest pragnienie takich zmian strukturalnych, które zapewnią kobietom udział w kościelnych gremiach decyzyjnych. W wielu Kościołach (Francja, Anglia i Walia, Irlandia, Belgia, Czechy, Chile, niektóre diecezje hiszpańskie i amerykańskie) formułowane są postulaty dopuszczenia kobiet do święceń diakonatu. Rzadziej, ale także często, wspomina się o udzielaniu kobietom święceń prezbiteratu. Nawet jednak w tych wspólnotach, które nie domagają się sakramentu święceń dla kobiet, formułuje się postulat otwarcia na ten temat wolnej dyskusji.

We wszystkich Kościołach zauważono kryzys duchowieństwa: ilościowy, ale także jakościowy, czyli braki umiejętności (a czasami i woli) prowadzenia wspólnot w sposób dialogiczny, synodalny. Powszechnie zgłaszane są więc postulaty zmian w formacji księży. Bardzo częsta jest także opinia, że zmienić należy dominującą formę życia księży – tj. odejść od obowiązkowego celibatu.

Ostatnia kwestia dotyczy rozwiedzionych żyjących w ponownych związkach oraz – ten motyw brzmi najwyraźniej – osób LGBT+. W najbardziej dojmujący sposób problem przedstawiony jest w syntezie diecezji Seulu, gdzie zauważono związek pomiędzy postawą Kościoła wobec tych osób a faktem, iż wśród wierzących osób LGBT+ jest znacznie większy odsetek prób samobójczych niż wśród niewierzących o analogicznej orientacji seksualnej.

Właściwie wszystkie syntezy formułują pragnienie jakiejś zmiany w postawie Kościoła wobec tych grup wiernych. W części znajdujemy konkretne postulaty – np. otwarcia możliwości błogosławieństwa par homoseksualnych. Postulat ten zawarty jest w krajowych syntezach z Anglii i Walii oraz z Belgii. W tym punkcie w wielu lokalnych Kościołach – także w angielsko-walijskim – można zauważyć sporą polaryzację wśród wiernych: podczas gdy jedni domagają się zmiany w nauczaniu i praktyce Kościoła, inni zdecydowanie przestrzegają przed takimi zmianami.

Najbardziej spolaryzowany wydaje się Kościół w USA, gdzie spory o bardziej inkluzywne podejście do osób LGBT+ są głęboko uwikłane w politykę. Co ważne – polityzacja Kościoła, zwłaszcza na szczeblu Konferencji Episkopatu, jest spostrzegana jako jeden z poważniejszych problemów koniecznych do przezwyciężenia.

Warto też odnotować, iż „inkluzywne" tendencje odnośnie do osób LGBT+ są obecne także w syntezach z Korei Płd. i z Chile – czyli krajów, których tradycyjna i nadal silnie oddziałująca kultura jest krytycznie nastawiona do osób nieheteronormatywnych.

Fundamentalna debata

Przegląd opublikowanych już syntez synodalnych z różnych części świata wskazuje, że katolicy niemieccy zaangażowani w Drogę Synodalną nie są osamotnieni, jeśli chodzi o rozpoznanie potrzeby gruntownych zmian w doktrynie i praktyce Kościoła w wielu aspektach istotnych dla funkcjonowania wspólnoty. Potrzebę takich zmian widzą członkowie Kościołów lokalnych w całej Europie Zachodniej i w wielu innych miejscach świata.

Proces konsultacji synodalnych często okazywał się pierwszym doświadczeniem możliwości swobodnej rozmowy: wypowiadania swojego zdania, bycia wysłuchanym i słuchania innych. Jak pokazuje większość opublikowanych syntez, w doświadczeniu tym wybrzmiała bardzo gorzka diagnoza stanu Kościoła. Co jednak równie ważne – katolicy proponują odważne recepty naprawy. Dotyczą one nie tylko sposobu odnoszenia się księży i świeckich, ale fundamentalnych teologicznych kwestii: hierarchicznej struktury Kościoła, możliwości udzielania sakramentu święceń kobietom oraz zmiany moralnej oceny związków homoseksualnych.

Zapewne dyskusja nad proponowanymi zmianami będzie gorąca. Nie wiadomo, które z nich zostaną wprowadzone w życie. Wiadomo już jednak, że debata będzie toczyć się w wielu miejscach Kościoła. Jeśli nie otworzymy jej i w Polsce – pozostaniemy na peryferiach katolicyzmu. ©℗

Gospa i jej dary

MARCIN RYCHŁY Z MEDZIUGORJA (BOŚNIA I HERCEGOWINA)

Wciąż nie ma oficjalnego statusu sanktuarium. Mimo to tę hercegowińską miejscowość odwiedzają miliony osób rocznie.

Różańce w plastikowych opakowaniach w kształcie cukierków cieszą się w tym roku największym zainteresowaniem pielgrzymów. Sporo osób pyta też o nasze tradycyjne bawełniane chustki, które wierni kupują, by potrzeć cudowne kolano Jezusa Zmartwychwstałego. Najwięcej sprzedajemy tych z wyhaftowaną modlitwą za pokój w Ukrainie – opowiada Kolinda, 50-letnia właścicielka dużego sklepu z dewocjonaliami usytuowanego nieopodal hotelu Wojtyła przy głównej ulicy w Medziugorju. Kobieta równocześnie rozpakowuje kartony z koszulkami i bluzami udającymi ubrania popularnej amerykańskiej marki z nadrukowanym wizerunkiem Chrystusa i napisem „Just did it" („Właśnie to zrobiłem"). Zagadnięta, czy to nie świętokradztwo, odpowiada nienaganną polszczyzną: – Jak to mówicie w Polsce: „Klient nasz pan". Mamy w ofercie wszystko, czego pielgrzymi sobie życzą. Po czym tłumaczy, że chce uzupełnić asortyment sklepu przed rocznicą objawień. Wtedy przyjeżdża najwięcej pielgrzymów.

Miejsce kultu

Podobnych punktów z dewocjonaliami i pamiątkami we wsi liczącej niespełna 2,3 tys. mieszkańców, leżącej w zachodniej części Hercegowiny, są setki. Sklepy z kolorowymi figurkami maryjnymi, świętymi obrazkami, magnesami z nadrukowanymi tekstami modlitw, odzieżą dla duchowieństwa – ciągną się całymi ulicami biegnącymi do kościoła św. Jakuba, który stanowi centrum życia modlitewnego dla pielgrzymów przyjeżdżających odwiedzić miejsce słynnych objawień maryjnych. Oprócz punktów handlowych miejscowość zdominowały domy pielgrzyma, hotele, restauracje, ogromne parkingi dla wiernych, a także wszechobecne i trochę kiczowate banery z wizerunkami Matki Bożej, nazywanej tutaj Gospą (to po chorwacku: Pani), na których aureola jest dodatkowo podświetlona kolorowymi światełkami. Nie brakuje też afiszów z Janem Pawłem II i Franciszkiem, a także wizerunków św. Faustyny.

Miejscowość i jej okolicę zamieszkują głównie Chorwaci, którzy tradycyjnie są katolikami, choć żyją w państwie zdominowanym przez muzułmanów i prawosławnych. To tutaj, według szóstki widzących, Gospa zaczęła się ukazywać 24 czerwca 1981 r. i objawia się do dzisiaj. Trójce z nich (Ivan, Vicka, Marija) – prawie codziennie, pozostałym (Mirjana, Ivanka, Jakov) z różną częstotliwością. Maryja ma rozmawiać z widzącymi tam, gdzie aktualnie przebywają. Przekazuje liczne orędzia, w których zachęca do pogłębienia wiary i życia sakramentalnego, do lektury Pisma Świętego, do spowiedzi i pokuty oraz oddania swojego życia Jezusowi. Mówi o wartościach postu i dziękczynienia Bogu. Wzywa cały świat do modlitwy i nawrócenia, a także przekazuje widzącym tajemnice dotyczące przyszłych losów Kościoła i świata. Watykan do tej pory nie wypowiedział się na temat prawdziwości objawień, ponieważ wciąż trwają. Dlatego miejsce nie ma statusu sanktuarium.

Miliony pielgrzymów

Mimo faktu, że dopiero obecny papież w maju 2019 r. wydał oficjalną zgodę na organizowanie pielgrzymek do miejsca objawień, ruch pielgrzymkowy rozwija się tutaj od ponad 40 lat. Początkowo wywoływał niepokój władz jugosłowiańskich, które podejrzliwie traktowały wszystko, co mogłoby spowodować niestabilność w świeckim państwie, zwłaszcza zaledwie rok po śmierci socjalistycznego przywódcy Josipa Broza-Tito. Dlatego uznano widzenia za mistyfikację. Wielu zwykłych Jugosłowian podzielało nieufność wobec rozwijającego się kultu. Niektórzy wciąż pamiętali zaangażowanie członków Kościoła katolickiego w okrucieństwa popełniane podczas II wojny światowej przez ustaszów (chorwacki ruch faszystowski sprzymierzony z nazistowskimi Niemcami). To jednak nie zniechęciło tysięcy wiernych do odwiedzania miejsca objawień.

Kiedy Jugosławia pogrążyła się w kryzysie gospodarczym, władze zmieniły stosunek do widzeń, postrzegając Medziugorje jako ośrodek przyciągający pielgrzymów i ich pieniądze. Przyjazdy pielgrzymów nie przerwała nawet wojna domowa w Bośni w latach 1992-95. Co więcej, dzięki turystyce obszar wokół wsi był jednym z najszybciej odradzających się po konflikcie. Dzisiaj na tych terenach nie ma bezrobocia i biedy. Znakomita większość mieszkańców żyje z obsługi pielgrzymów, których co roku przyjeżdża ponad 3,5 miliona.

Płaczące kolano

W Medziugorju nie zdecydowano się na budowę nowej, większej świątyni, tak jak to zrobiono chociażby w naszym Licheniu. Również budynki tworzące zaplecze, charakterystyczne dla miejsc kultu maryjnego, nie są tak spektakularne, jak te w Fatimie czy Lourdes. – W latach 90. powstały ołtarz polowy z 5 tys. miejsc siedzących, sala spotkań pielgrzymów, kaplica adoracji i budynek z 25 konfesjonałami – opowiada Kolinda. – Trudno uwierzyć, że jeszcze 40 lat temu w naszym Medziugorju było tylko kilka domów, a mieszkańcy zajmowali się głównie pasterstwem. Nikt tutaj nie zaglądał ani z Jugosławii, ani z zagranicy – dodaje.

Dziś najliczniejsze grupy pochodzą z Polski i Włoch. W efekcie z wieloma sprzedawcami, hotelarzami, kelnerami można porozumieć się w języku polskim, w wielu sklepach przyjmowane są złotówki, a restauracje oferują menu po polsku.

Nieopodal kościoła przy drodze w kierunku cmentarza stoi wykonana z brązu figura Zmartwychwstałego Zbawiciela, autorstwa słoweńskiego rzeźbiarza Andreja Ajdiča. Na niedużym placu gromadzą się ludzie, którzy czekają w kolejce, by podejść bliżej rzeźby. Chcą dotknąć kolana Stwórcy, z którego wyciekają krople bezbarwnej, oleistej cieczy. Niektórzy modlą się w skupieniu, część śpiewa religijne pieśni, inni głośno rozmawiają i się przyglądają. Starsza kobieta z czcią pociera rzeźbę kupioną specjalnie na tę okazję bawełnianą chusteczką. Pewien

MARCIN RYCHLY

„Płaczące kolano" w Medziugorju, czerwiec 2022 r.

chłopak nie mając przy sobie żadnego kawałka materiału, wyciąga z kieszeni spodni maseczkę ochronną, co natychmiast zauważają i krytykują inni oczekujący. Podchodzą też dwie dziewczyny, które paznokciami sprawdzają, czy w figurze nie ma większego ubytku. Głośno zastanawiają się, jak można „płakać z kolana", i żartują sobie, że w środku zapewne znajduje się kranik.

– Dla jednych te chusteczki będą relikwiami, które oprawią w ramki i powieszą obok krzyża i świętych obrazów. Inni będą przykładać chusteczki do skaleczeń, ran i innych schorzeń. Są też osoby, które przychodzą tu tylko z ciekawości i w ogóle nie potrzebują tego typu pamiątki. Ale to nie oznacza, że są osobami niewierzącymi – mówi węgierski ksiądz, opiekun pielgrzymki z Győr. – Nie krytykujmy siebie nawzajem! Każdy podchodzi do kwestii wiary inaczej. Dla jednych ta ciecz na kolanie Chrystusa to cud, coś, co może być znakiem od Boga. Inni takich doświadczeń nie potrzebują. Dlatego są przekonani, że chodzi o wadę odlewniczą, która sprawia, że w metalu skrapla się woda. Najważniejsze, żebyśmy się wszyscy szanowali – dodaje duszpasterz.

Przyjeżdża ze swoimi parafianami do Medziugorja każdego roku na dwudniową pielgrzymkę. W środku czerwca, tak żeby ominąć największe tłumy pielgrzymów przybywających na rocznicę pierwszych objawień. W tym roku pierwszy raz zatrzymali się w Polskim Domu Pielgrzyma, zbudowanym przez pallotynów i otwartym w 2021 r. Kapłan nie zgadza się z częstą opinią, że objawienia stanowią zagrożenie dla religii chrześcijańskiej i życia duchowego. – Wielu twierdzi, że objawienia trwają zbyt długo, albo krytykuje się widzących za to, że nikt z nich nie wybrał życia zakonnego czy kapłańskiego, jak siostra Łucja z Fatimy. Zarzuca się im też przedstawianie Maryi w niegodny sposób, bez nóg – mówi ksiądz.

Węgier twierdzi jednak, że są to kwestie nieistotne. – Maryja w swoich orędziach podkreśla to, co jest podstawą mojej wiary. Zaznacza wagę modlitwy, Ewangelii, nawrócenia i przebaczenia, a to są przecież fundamenty chrześcijaństwa.

Gospa a doktryna

W rzeczywistości kwestia przekazu maryjnego jest bardziej skomplikowana i stanowi dla Kościoła katolickiego dylemat. Niektóre wypowiedzi zawarte w objawieniach są niefortunne, wręcz nie do pogodzenia z doktryną. Przykładem sprzeczności wypowiedzi Maryi z oficjalną linią Watykanu jest stwierdzenie, że Kościół nie posiada jako jedyny pełni prawdy objawionej. Matka Boża w jednym z pierwszych orędzi podkreśliła, że wszystkie religie są równe i można osiągnąć zbawienie poza Kościołem. Podziały religijne stworzył człowiek, a Bóg panuje nad nimi wszystkimi. Natomiast „ważność" religii w świecie miałaby zależeć od mocy, którą kapłan nosi w sobie.

Sprawą dyskusyjną jest też kwestia dziesięciu tajemnic, które miała przekazać Gospa widzącym. Mirjana i Ivanka otrzymały zapowiedź, że gdy poznają wszystkie, widzenia ustaną. Tymczasem, mimo że tajemnice zostały przekazane, objawienia trwają. Jakovowi Maryja przekazała podobno ostatnią tajemnicę we wrześniu 1998 r. Objawienia ma nadal, choć już tylko raz w roku. Pojawiają się więc pytania o koniec widzeń. Teraz mówi się, że będą trwały aż do ich śmierci.

– Mnie przekonuje to, co Gospa próbuje przekazać widzącym. Podoba mi się, że mówi o równości religii. Widzę w tym podejście ekumeniczne – mówi Zlatan, 25-letni Australijczyk pochodzenia chorwackiego, który również czeka w kolejce do figury Zbawiciela. Chłopak przyjechał z Sydney do kraju swojej matki, przy ↦

okazji odwiedził Medziugorje. – Nie obchodzą mnie sprzeczności treści widzeń z doktrynami Kościoła. To nie jest ważne. Zobacz, do czego doprowadziły spory religijne tutaj na Bałkanach, ilu ludzi bezsensownie zginęło w latach 90.

Zlatan nie umie się określić, czy jest osobą wierzącą, podobnie nie jest przekonany co do autentyczności objawień. – Chodzę do kościoła, bo to miejsce, które jednoczy diasporę chorwacką w Australii. To dla mnie ważne, ponieważ czuję się w połowie Chorwatem, poza tym zawsze mamie na tym zależało i tak już zostało – dodaje.

Wyjątkowa energia

W odległości ok. 1,5 km od kościoła św. Jakuba znajduje się wzgórze Podbrdo, nazywane powszechnie Górą Objawień. To na jego szczycie ponad 40 lat temu szóstka dzieci miała mieć pierwsze widzenia. Na ich pamiątkę w 2001 r. postawiono figurę Matki Bożej Królowej Pokoju wyrzeźbioną w białym marmurze. Do miejsca prowadzi stroma ścieżka, którą po bokach porastają wszechobecne na całym wzgórzu, obsypane o tej porze roku czerwonym kwiatem, krzewy granatowca.

Jest wcześnie rano, mimo to czerwcowe słońce mocno już przygrzewa. Po wyślizganych przez miliony odwiedzających skałach wspinają się kolejni pielgrzymi. Wśród nich jest wiele osób niepełnosprawnych, schorowanych i zniedołężniałych. Idą powoli, w skupieniu niosą intencje i prośby do Najświętszej Panienki, jednocześnie walczą ze swoimi ułomnościami. Na szczycie podchodzi do mnie młode małżeństwo z Polski, proszą o zrobienie zdjęcia z figurą w tle. – Wierzymy, że Maryja się objawiła w tym pięknym miejscu – mówi Jola. – Jechaliśmy tutaj aż 22 godziny z okolic Białegostoku, udało nam się dotrzeć bez dłuższych przerw i dodatkowego noclegu, dzięki czemu trochę zaoszczędziliśmy. Było męcząco, ale czego się nie robi dla Mateczki – dodaje z dumą Andrzej, ubrany w T-shirt z napisem „Od urodzenia dumny z pochodzenia".

– A jeśli te objawienia nie są prawdą? – podpytuję. Mężczyzna twierdzi, że osoby, które nie wierzą w objawienia, ulegają wrogom Kościoła, prawda natomiast sama się obroni. – Dlaczego mamy nie wierzyć? Mało mamy dowodów? A i przecież nasz papież, Matka Teresa z Kalkuty, a nawet Franciszek dobrze o tym miejscu mówili – tłumaczy.

Faktyczna misja biskupa

Droga łącząca centrum miejscowości z Górą Objawień przechodzi obok wspomnianego Polskiego Domu Pielgrzyma. Największy udział w jego utworzeniu mieli ks. Zenon Hanas i zmarły rok temu abp Henryk Hoser, który w latach 2018-21 był z papieskiej nominacji wizytatorem apostolskim o charakterze specjalnym dla parafii w Medziugorju. Jego zadaniem było rozpoznanie sytuacji duszpasterskiej i potrzeb pielgrzymów, a także wskazanie inicjatyw do podjęcia w przyszłości.

– Troska o tutejszych wiernych była oficjalnym zadaniem waszego biskupa, ale nie jedynym i najważniejszym – mówi tajemniczo Kolinda. Po czym dodaje, że papież chciał, żeby polski duchowny zweryfikował autentyczność objawień, a także rozliczył się z mafią neapolitańską. Istniały bowiem podejrzenia o wpływ Camorry na zarządzanie kilkoma hotelami przyjmującymi włoskich pielgrzymów, a także nielegalne sterowanie przewodnikami i handel pamiątkami. Rzeczywiście o takim problemie arcybiskup wspominał podczas pożegnalnej mszy na lotnisku Chopina przed wylotem do Hercegowiny. „Z jednej strony spotykamy tam tysiące młodych ludzi, którzy korzystają z sakramentu pokuty i pojednania. Z drugiej strony trzeba mieć świadomość, że ze względu na masowy napływ pielgrzymów miejsce to penetrowane jest przez mafie, m.in. neapolitańską, które liczą na zyski" – powiedział hierarcha.

Według Kolindy polski biskup miał też ważne zadanie walki z handlem podróbkami znanych marek odzieżowych, który jest głównym źródłem zysków włoskiej mafii na Bałkanach. Walczył z negatywnymi zjawiskami, jakie towarzyszą rozwojowi miejsca kultu, takimi jak wzrost przestępczości i wykorzystywanie pracowników. Handlarka milczy, gdy podpytuję, czy Polakowi udało się osiągnąć którykolwiek z celów.

Business is business

Przed wyjazdem z Medziugorja chcę kupić różaniec. Kobieta zawiesza na mojej szyi ogromny sznur z kawałkami kamienia. – To będzie niedługo największy hit, wyprze różańce w cukierkach. Wszyscy będą takie chcieli – mówi Kolinda. Różaniec waży dwa kilogramy i brudzi ubranie. – Jakby nie pytali o takie różańce, tobym ich nie sprzedawała, *business is business* – tłumaczy Kolinda. – Gospa przekazuje nam nie tylko dar duchowy, ale i możliwość utrzymania. A my, jak w przypowieści o talentach, te możliwości pomnażamy.

© MARCIN RYCHŁY

OGŁOSZENIA

W Sądzie Rejonowym w Tychach I Wydziale Cywilnym, pod sygnaturą akt I Ns 255/22, toczy się postępowanie o stwierdzenie zasiedzenia własności nieruchomości gruntowej położonej w Bieruniu (43-150) przy ul. Oświęcimskiej obejmującej działkę gruntu o nr 2, w obrębie ewidencyjnym 241201_1.0002, Bieruń Stary o powierzchni 0,4180 ha, dla której Sąd Rejonowy w Tychach prowadzi księgę wieczystą o nr KA1T /00009459/5. Ujawnionymi współwłaścicielami opisanej nieruchomości są Teresa Wójcik oraz Jadwiga Wilert, córka Marii i Szczepana, zmarła dnia 7 kwietnia 1983 roku w Piekarach Śląskich, a aktualnie nieruchomość pozostaje w posiadaniu Janusza Gołąb.

Wzywa się wszystkich zainteresowanych, aby w terminie 3 miesięcy od daty ukazania się tego ogłoszenia zgłosili się do Sądu Rejonowego w Tychach i wykazali swoje prawo własności, gdyż w przeciwnym razie sąd stwierdzi zasiedzenie nieruchomości, jeżeli zostanie ono udowodnione.

W Sądzie Rejonowym w Opolu Lubelskim I Wydziale Cywilnym w sprawie I Ns 482/21 toczy się postępowanie z wniosku Zbigniewa Ćwiklińskiego o stwierdzenie nabycia spadku po Janie Ćwiklińskim synu Józefa i Marianny zmarłym 11.08.1986 oraz po Helenie Ćwiklińskiej z d. Wieczorkiewicz córce Antoniego i Marii zmarłej 19.10.1987. Oboje zmarli w Bełżycach (pow. lubelski) i tam ostatnio stale zamieszkiwali.

Sąd wzywa wszystkich spadkobierców, aby w terminie 3 miesięcy od daty ukazania sie ogłoszenia zgłosili swój udział w sprawie i wykazali swoje prawa, albowiem w przeciwnym razie zostaną pominięci w stwierdzeniu nabycia spadku.

ZUZANNA

Radzik: *Mieć w życiu własną wiertarkę*

„Czyli tak to się robi? Chciałam tylko popatrzeć, z ciekawości" – zagaduję głupio, chodząc po remontowanym mieszkaniu. Jak to się robi, doskonale wiem. W końcu przy poprzednim remoncie sama gipsowałam ściany i maskowałam pęknięcia. Ale i tak co jakiś czas wstaję od biurka, robię obchód i zagaduję. Nie wiem, czy miła im ta ciekawość czy traktują ją jak słabo zakamuflowaną formę kontroli. W końcu oświadczam przy kolacji: „Myślę, że byłabym szczęśliwa, układając płytki".

Fantazjuję więc o walorach pracy fizycznej i rozmarzam się nad medytacyjnym aspektem monotonnych czynności. Można w ciszy, można słuchając muzyki. Skupienie na szerokości fugi, wzorze całości. O czymś jeszcze musiałabym myśleć? Na pewno są jakieś pułapki, na przykład przycinanie. Pewnie zaczęłoby mnie coś boleć. Opowiadam znajomemu. Mówi, że brzmię, jakbym chciała się zaciągnąć do układania glazury w ramach urlopu. Coś w tym jednak jest. Fizyczność i konkret brzmią jak relaks.

Co to za tęsknota? Może za wakacjami w sumie, oderwaniem od komputera i pracy głową. A może to ta moja cierpliwość do monotonnych, powtarzalnych, wymagających skupienia zajęć. Przynosiły zawsze ukojenie. Nawet nauczycielka od francuskiego przymykała oko na moje wycinanki z papieru, pilnując tylko, żebym po sobie posprzątała. Dwadzieścia lat po maturze pamięta mnie właśnie wycinającą, a mnie to skupienie i zajęcie rąk pozwoliło przetrwać lekcje języka, który od zawsze budził moją niechęć. Może więc moje pragnienie wykonywania czegoś rękoma sygnalizuje stres?

Są pewnie prostsze sposoby na stres niż układanie płytek. Powinno zadziałać choćby siekanie natki pietruszki czy cebuli. Byle w spokoju i w dużych ilościach. Wielka miska tabouleh na przykład. Albo tradycyjna sałatka jarzynowa. Przebieranie listków. Drylowanie wiśni, śliwek. Lepienie pierogów, najlepiej powyżej setki, żeby nad tym solidnie posiedzieć. Czy to jakaś kobieca kompulsja przekazywana przez pokolenia? A może podręczna mandala: co ulepisz czy posiekasz, zaraz zjedzą.

A może chodzi o rytm czynności? Wyłączyć umysł, zrobić, powtórzyć, zrobić, powtórzyć. Działały też na mnie proste operacje na szydełku, ale nie takie, które wymagają czegoś innego niż powtarzalności ruchu. Pod tym względem genialna była lekcja kaligrafii, ale przepiękny podręcznik z zeszytami ćwiczeń Ewy Landowskiej wciąż czeka, aż zacznę ćwiczyć sama w domu. Haftowania próbowałam na stresy pierwszego lockdownu, ale mój zapał okazał się słomiany. Plany wyhaftowania spektakularnych poduszek, które snułam wtedy, w marcu, prysły, gdy tylko zrobiła się pogoda na rower. Została z tego nędzna szmatka z ćwiczeniem ściegów i kwiatków oraz worek nici.

To wspomnienie studzi mój entuzjazm, gdy odwiedzamy znajomą tworzącą mozaiki. Artystyczne bardzo, które ona nazywa malowaniem szkłem. Artyzm mnie onieśmiela, nie umiem malować, tym bardziej szkłem. Ale już łupać malutkie marmurowe lub szklane kostki na tym kowadełku (tak to się nazywa?), a potem godzinami układać z nich szlaczki... Masz w domu worek muliny, gdybyś potrzebowała czymś zająć ręce – powtarzam sobie, jednocześnie łakomie spoglądając na specjalne obcęgi i jej warsztat pracy. Mną, inaczej niż autorką mozaik, w tym pragnieniu czy kompulsji nie kieruje potrzeba tworzenia, bo mój twór jest zwykle dość koślawy i rozczarowujący. Musi więc chodzić o coś jeszcze innego.

Może zatem kuszą mnie gadżety. Magia warsztatu, niczym garaż mojego ojca, pełen sprzętów, których nie umiem jeszcze użyć. Przestrzeń, w której się robi rzeczy rękoma. To by się zgadzało, bo na rosnący składzik swoich narzędzi patrzę z dumą, nawet jeśli wciąż muszę sobie przypominać, czym się różni wiertło do betonu od tego do drewna, i w razie wątpliwości dzwonić do taty. Przez ostatnie pół roku wiercenie, przykręcanie, upiłowywanie stało się moją nową fascynacją. Nie, że umiem jakoś bardzo, ale bardzo chcę się nauczyć. Nie jestem też zupełnie zielona, przez 15 lat na obozach harcerskich budowałam z drewna okazałe konstrukcje. Teraz przyszedł po prostu czas, żebym sama umiała użyć wiertarki udarowej, zwłaszcza że tata daleko. Żebym miała swoją, nawet jeśli kolekcję wierteł trzymam w różowej puszce w kwiatki. Choć zawsze zaglądałam tacie przez ramię, to ten obszar edukacji do dorosłego życia zaniedbaliśmy. Budujemy więc teraz moją wyprawkę na kolejny etap życia. A to wiertarka, a to szlifierka, innym razem fajne wiertło. Podarowana ostatnio jedna z jego własnych skrobaczek, najlepsza. A w bonusie magiczna ojcowska lekcja w garażu, żebym wiedziała, jak bezpiecznie użyć piły tarczowej.

Uczcie swoje córki wszystkiego, nie tylko gotowania. ©

OGŁOSZENIA

Przed Sądem Rejonowym w Kielcach toczy się postępowanie w sprawie VIII Ns 105/22 o stwierdzenie nabycia spadku po Juliannie Dudzie, posiadającej ostatnie miejsce zwykłego pobytu w Niwach, zmarłej w dniu 13 października 1981 roku. W skład spadku po zmarłej wchodzi gospodarstwo rolne o powierzchni 1,6 ha położone w Niwach, gmina Daleszyce.

Sąd wzywa wszystkich spadkobierców, aby w ciągu trzech miesięcy od ukazania się ogłoszenia zgłosili się i udowodnili swoje prawa, gdyż w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

Przed Sądem Rejonowym w Mińsku Mazowieckim Wydział I Cywilny Sygn. akt I Ns 681/21 toczy się postępowanie o stwierdzenie zasiedzenia nieruchomości położonych we wsi Gójszcz, gmina Mrozy – działki nr 383, 384, 198 i 199 – stanowiące własność Teodory Wieczorek, c. Wincentego i Petroneli, ostatnio zamieszkałej w Gójszczu.

Sąd wzywa, aby zainteresowani, w szczególności spadkobiercy Teodory Wieczorek, w terminie trzech miesięcy od dnia opublikowania ogłoszenia zgłosili się do tutejszego Sądu, gdyż w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w postępowaniu.

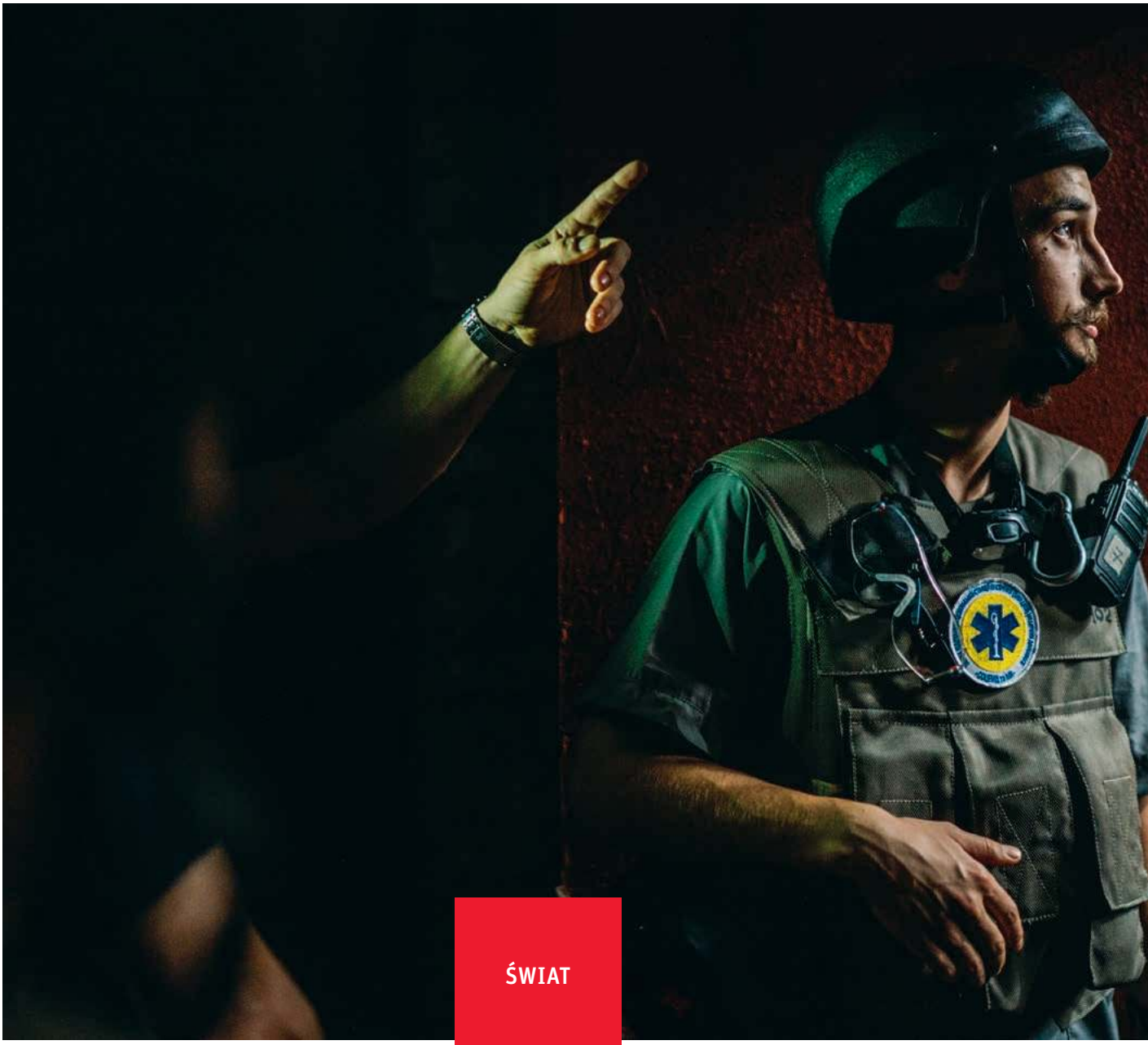

ŚWIAT

DO PIEKŁA NA OCHOTNIKA

Ryzykując własnym życiem, zespoły medyków pomagają rannym cywilom i wojskowym w strefie frontowej.

TEKST I ZDJĘCIA PAWEŁ PIENIĄŻEK ZE SŁOWIAŃSKA (OBWÓD DONIECKI)

23-letni lekarz ochotnik Jarosław ukrywa się w schronie podczas alarmu przeciwlotniczego. Słowiańsk, obwód doniecki, 13 lipca 2022 r.

Od końca dnia dzieliły ich minuty. 45-letnia Ołena i jej mąż, 44-letni Artur, stali na podwórku przed domem. Nigdy nie kładli się wcześnie spać. Ona stała bliżej garażu, a on trochę dalej. Możliwe, że poszła do wychodka, bo w Słowiańsku od końca czerwca nie ma bieżącej wody, a on stał i jej pilnował. Niewykluczone też, że po prostu nasłuchiwali dźwięków wieczora, przerywanego eksplozjami pocisków artyleryjskich, które od czasu do czasu spadały na ich miasto. Do rosyjskiej inwazji z 24 lutego w Słowiańsku, jednym z większych miast ukraińskiej części Donbasu, mieszkało 110 tys. ludzi – teraz została ich tutaj mniej niż jedna piąta.

„Nie ma jej"

Matka Ołeny – 68-letnia Ołeksandra, o krótkich włosach i pogodnej twarzy – powoli układała się do snu. Od dwóch miesięcy mieszka z córką i zięciem, bo do jej wsi, w której mieszkała, nieuchronnie zbliżał się front. Choć Ołeksandra niedosłyszy, to do jej uszu wyraźnie docierała kanonada. Wychyliła się przez okno i wypatrywała.

– Po co wstałaś? – zapytała Ołena. – Jak zdrowo walnie, to cię zawołam.

Ołeksandra wróciła do łóżka. W tym momencie coś tak uderzyło, że kobieta skoczyła na równe nogi. Wydawało się jej, że Ołena się nie odzywa, ale zrzuciła to na swój kiepski słuch. Zaczęła wołać córkę i zięcia. Cisza. Wyszła przed dom. Pocisk spadł tuż przed budynkiem, fala uderzeniowa rozniosła garaż, wychodek i ogrodzenie. Siła eksplozji zerwała też linię energetyczną i zniknął prąd. Gdyby nie płonęły garaż i stojący w nim samochód, niedawno kupiony, panowałby zupełny mrok. Tam, gdzie stała wcześniej Ołena, leżały gruzy. Ołeksandra dostrzegła tylko zięcia, leżał na ziemi.

Gdy 65-letni Serhij, ich sąsiad, usłyszał tę eksplozję, wiedział, że tym razem to coś poważnego. Już trzeci raz w ostatnich dniach coś przylatywało w okolice ich domu. Zazwyczaj jednak spadały odłamki, które robiły kilka dziur. Był w domu z młodszą o ponad dwie dekady żoną i 12-letnim synem. Wyszedł na zewnątrz, aby zobaczyć, co się stało. Dobiegły go wołania sąsiadki. Od razu ruszył w stronę domu, w którym mieszkała Ołeksandra.

Tymczasem pożar zbliżał się do leżącego Artura. Było mu gorąco, bał się, że spłonie żywcem. Serhij odciągnął go od ognia. Artur syczał z bólu, bo był raniony m.in. w rękę, choć najgorzej wyglądała noga, z której wyrwało kawał mięsa.

– Pocierp trochę – mówił Serhij sąsiadowi, gdy odciągał go w bezpieczne miejsce.

Następnie zapytał: – Gdzie jest Lena?

– Nie ma jej.

Matka też nie wiedziała, co się stało z jej córką. Serhij pomyślał, że rozerwało ją na strzępy. Wreszcie Ołeksandra dostrzegła kawałek szlafroka swojej córki. Zaczęła krzyczeć, że Ołena jest pod zawaliskiem.

Typowa akcja ratownicza

W tym czasie zespół ratunkowy Pierwszego Ochotniczego Szpitala Mobilnego im. Pyrohowa (POSM) znajdował się kilka kilometrów dalej. Paramedycy, lekarze, pielęgniarka, kierowcy i ochrona ukrywali się w budynku o grubych ścianach. Na torsach mieli kamizelki kuloodporne, na głowach hełmy. Wystrzał, krótka przerwa, wybuch – taka sekwencja powtarzała się wielokrotnie. Wszyscy jednak wydawali się spokojni. Niektórzy może nazbyt, jakby chcieli zamaskować emocje. Ktoś żartował, ktoś usiłował tańczyć do muzyki z telefonu, ktoś rozmawiał o błahostkach.

Większość z nich od niedawna jest w Donbasie – do tej pory w ogóle nie mieli styczności z wojną z bliska. Jak 23-letni lekarz internista Jarosław, mieszkający w Kijowie, czy 34-letni ratownik medyczny o pseudonimie „Kokos", pochodzący z miasta Sumy. Ich miesięczna rotacja rozpoczęła się pod koniec czerwca.

Przez krótkofalówkę otrzymali wezwanie, aby lekarze natychmiast stawili się do szpitala. Jarosław wraz z ochroną w pośpiechu opuścili budynek.

W tym czasie ratownicy wieźli do szpitala w pierwszej kolejności Ołenę – odnalezioną pod gruzami i w najcięższym stanie. Miała liczne rany na całym ciele, włącznie z pęknięciem czaszki. Lekarze zatamponowali jej rany, nałożyli opatrunki. Ołena miała problemy z oddychaniem, więc umieścili jej rurkę intubacyjną w tchawicy.

Gdy Jarosław się nią zajmował, ratownicy przywieźli do szpitala Artura. Miał się lepiej. Stracił sporo krwi, ale mógł samodzielnie oddychać. Stan obojga był ciężki, ale stabilny.

Jarosław pracował w szpitalu mniej więcej półtorej godziny. Gdy zrobili, co mogli, zawezwali załogę karetki „Kokosa". Ci przewieźli oboje rannych ze Słowiańska do Kramatorska, tymczasowej stolicy obwodu donieckiego, gdzie szpital jest lepiej wyposażony. Tam małżeństwo miało przejść operacje.

Uwijać się jak wiewiórka

Jako ratownik medyczny „Kokos" już wcześniej miał sporo pracy w swoich rodzinnych Sumach – w mieście tym, położonym na północy Ukrainy, do 24 lutego mieszkało 256 tys. osób. Sumy stały się jednym z pierwszych celów szeroko ↦

Jeden z pocisków ranił córkę i zięcia 68-letniej Ołeksandry. Sąsiedzi od razu przybiegli jej na pomoc, by uprzątnąć gruzy i naprawić ogrodzenie. Słowiańsk, obwód doniecki, 14 lipca 2022 r.

↦ zakrojonej rosyjskiej inwazji, w mieście i obwodzie toczyły się ciężkie walki. Dopóki Rosjanie nie wycofali się z tamtych terytoriów – nie mogąc osiągnąć zdecydowanych sukcesów – pracownicy służby zdrowia mieli ręce pełne roboty.

Gdy jego okolica stała się względnie bezpieczna, „Kokos" postanowił pojechać na wschód. – U nas jest cicho, więc moje ręce i głowa są bardziej przydatne tutaj – stwierdza.

Zapisał się do POSM. Po pięciu dniach był już w Słowiańsku, gdzie jest ratownikiem i dowódcą aktualnej rotacji. Na początku wzdrygał się przy każdym huku. Teraz, nawet jeśli słychać głośne wybuchy, nie odrywa się od roboty. Twierdzi, że w sytuacjach stresowych jego ręce słuchają się go bardziej. Gdy zespół POSM przeczekiwał ostrzał, on sortował medykamenty, jakby wkoło panował błogi spokój.

Zespół jego karetki pracuje na jednym z najbardziej newralgicznych odcinków. Procedura jest taka: odbierają rannego tuż za strefą walk i stamtąd wiozą go do szpitala. Zależnie od jego stanu decydują, czy wybrać szpital bliższy, czy dalszy, ale zwykle lepiej wyposażony. W międzyczasie starają się udzielić tyle pomocy, ile są w stanie, zanim przekażą poranionego lekarzom.

– W przeciwieństwie do życia cywilnego, nie masz tutaj dużo czasu na oględziny rannego. Do tego wszystko robisz w karetce, w drodze, na pełnej szybkości, na zakrętach i z gwałtownym hamowaniem – wyjaśnia „Kokos". – W ratownictwie cywilnym zasada jest taka, aby robić wszystko, żeby ratować i życie, i zdrowie. W ratownictwie pola walki priorytetem jest życie. Nie martwisz się, że poparzysz ranę, bo twoim celem jest zatamowanie krwotoku.

„Kokos" wspomina, jak któregoś wieczora dostali wezwanie na punkt ewakuacyjny przy linii frontu. Wyjechało sześć karetek, a okazało się, że i tak miejsca w nich było za mało. Dwóch wojskowych paramedyków po kolei wyciągało ośmiu rannych żołnierzy, których upchali do swojego samochodu. Jedni ranni krzyczeli z bólu, drudzy krwawili w milczeniu, inni byli nieprzytomni. W ciemnościach panował chaos, który przecinały ostre światła latarek.

– Pytałem paramedyków, którzy ich przywieźli, kogo mamy zabrać w pierwszej kolejności, a oni odpowiadali, że muszą pomyśleć – opowiada „Kokos". – Oni, jadąc do nas z „zerówki" na punkt ewakuacyjny, wykonali tyle pracy, że już nie pamiętali, komu co dolega. Musieli uwijać się jak wiewiórki.

Wsparcie z Namysłowa

Pierwszy swój zespół ratowniczy POSM wysyła jeszcze pod koniec 2014 r., czyli na kilka miesięcy po tym, jak wybuchła wojna w Donbasie, w rezultacie której w ciągu kilku lat zginęło ponad 13 tys. ludzi. Jednak początki POSM datują się na czas antyrządowych protestów na kijowskim Majdanie – demonstranci tworzyli tam brygady medyczne ratujące rannych. Od początku działań zbrojnych w 2014 r. wysłali na front kilkadziesiąt rotacji, a teraz od 24 lutego – kolejne trzy.

POSM to organizacja ochotnicza, w której nie otrzymuje się wynagrodzenia. – Pracujemy za „dziękuję" i w sumie nic więcej nie trzeba. Dobrze jest widzieć, że dowiozłeś chłopaka żywego do szpitala. Jego słowo, uśmiech i jego życie są najważniejsze. Oni bronią naszych rodzin i nie pozwalają Rosjanom przyjść do naszego domu – mówi „Kokos".

POSM nie otrzymuje wyposażenia od państwa. Cały ekwipunek pochodzi z datków, dzięki pomocy z kraju i zagranicy. Na Ukrainie trudno znaleźć ekwipunek do ratownictwa taktycznego, bo potrzeby są ogromne i wszystkie sklepowe zapasy zostały wykupione. Wiele medykamentów udaje się więc pozyskać dzięki wsparciu z zagranicy – m.in. z Polski, Niemiec, Włoch, Stanów Zjednoczonych.

Pomagają także znajomi „Kokosa" z Polski. Kiedyś przez pięć lat mieszkał on w Namysłowie, gdzie pracował najpierw w fabryce, a potem został kierowcą ciężarówki i jeździł po całej Unii Europejskiej. Wciąż jest w kontakcie z polskimi znajomymi – i oni wspierają go, jak tylko mogą: zbierają pieniądze, kupują za nie to, co trzeba, i wysyłają na Ukrainę. Do Namysłowa, z którym czuje się związany, „Kokos" chciałby wysłać żonę i dwójkę dzieci, dopóki sytuacja w kraju się nie uspokoi.

– Gdyby nie ta pomoc, nie mielibyśmy niczego – mówi.

Zużycie materiałów medycznych jest bardzo duże, w magazynach POSM co chwila brakuje rzeczy pierwszej potrzeby: porządnych opasek uciskowych tamujących krwawienie (fachowa ich nazwa to stazy; wiele z tych, które otrzymali – kupionych w dobrej wierze – nie nadawało się do niczego, rozpadały się w rękach), opatrunków homeostatycznych, bandaży izraelskich (tj. bandaży taktycznych), igieł do odbarczania odmy, opatrunków okluzyjnych (ich działanie polega na tym, że ściśle przylegają do rany, co powoduje jej zamknięcie; często zawierają też np. hydrożel). To znaczy wszystkich zasobów, które są potrzebne do udzielenia pierwszej pomocy rannemu, w tym zwłaszcza do powstrzymania krwotoku.

Wyzwaniem jest także konieczność ciągłego naprawiania karetek – ze względu na pracę w wojennych warunkach i złe drogi szybko się zużywają lub wręcz niszczą, z powodu ostrzałów czy wypadków.

Zbyt cicho, by zasnąć

Internista Jarosław miał 15 lat, gdy Rosja rozpętała wojnę w Donbasie. Nie mógł wtedy się spodziewać, że kiedyś trafi tam, gdzie wszystko się zaczęło.

Wiosną 2014 r. Słowiańsk był pierwszym miastem, które wpadło w ręce separatystów i wspierających ich – jak dziś wiemy – rosyjskich sił specjalnych. Nieduże miasto, o którym mało kto do tej pory słyszał, skupiło uwagę całego świata. Dziś, osiem lat później, rosyjskie wojska zbliżają się do niego i – jak prognozują analitycy – wkrótce Słowiańsk może stać się celem ich bezpośredniego ataku (bo celem ostrzału i nalotów jest od dawna).

34-letni paramedyk o pseudonimie „Kokos" ratuje żołnierzy i cywilów. Przez 5 lat mieszkał w Namysłowie, gdzie pracował w fabryce, a potem był kierowcą ciężarówki.

skowej, więc w strefie frontowej Donbasu wszystko było dla niego nowe. Pierwszy raz w życiu kopał okop. Ale wychodzi z założenia, że lepiej mieć takie doświadczenie, nawet jeśli mu się później do niczego nie przyda.

– Do wojny nie da się zupełnie przywyknąć, ale to straszne, jak szybko przytępia się poczucie strachu, instynkt przetrwania. W rezultacie ignorujesz alarmy przeciwlotnicze czy wybuchy – stwierdza Jarosław, a tło naszej rozmowy jest potwierdzeniem jego słów, bo raz po raz gdzieś w oddali wali artyleria. – Żartujemy, że jak wrócimy do domu, będzie zbyt cicho, żeby zasnąć – dodaje.

Jeszcze przed 24 lutego Jarosław się oświadczył. Myślał o tym, żeby przenieść ślub, ale po przyjeździe do Słowiańska stwierdził, że lepiej nie zwlekać, bo wszystko może się wydarzyć. Swojej partnerce od razu powiedział, dokąd jedzie. Za to rodzicom skłamał, że wybiera się do Pawłohradu w obwodzie dniepropetrowskim, który sąsiaduje z donieckim.

Ale rodzice ostatnio go przyłapali. Poprosili o zdjęcie sprzed szpitala. Wysłał im, a oni w internecie sprawdzili, że to nie jest ten budynek, o którym mówił im syn. Do dzisiaj są na niego wściekli, że wyrwał się w niebezpieczne miejsce, i to jeszcze na ochotnika.

Trudny poranek

Półtorej godziny później Jarosław wrócił do bazy. Dla rannych małżonków lekarze zrobili wszystko, co mogli: Ołena i Artur byli w stanie ciężkim, ale stabilnym (ona wciąż miała się gorzej). Ratownicy POSM przewieźli ich do Kramatorska.

Rano Ołeksandra czekała na informację o córce i zięciu, trzymając kurczowo telefon w ręce. Nie zważała na ruiny przed domem, na spalony samochód. Nie widziała nawet sąsiadów, którzy zmiatali powybijane szkło z okien, nie widziała podziurawionych fasad budynków i pozrywanych kabli, które uparcie, jakby nigdy nic, próbowali naprawić elektrycy. Martwiła się tylko o zdrowie dzieci. Na każdą wzmiankę o nich zanosiła się płaczem i patrzyła na plamę krwi, która została w miejscu, gdzie leżał Artur.

Serhij i inni sąsiedzi przyszli z pomocą, aby z pogiętej i podziurawionej blachy zrobić jej prowizoryczne ogrodzenie przed domem, w którym niepewne schronienie znalazła Ołeksandra.

Gdy kończyłem ten tekst, Ołena walczyła o życie w szpitalu. Stan Artura szybko się pogarszał. W kramatorskim szpitalu lekarze podjęli decyzję, aby przewieźć go do Dnipra – głównego medycznego zaplecza, gdzie jest więcej specjalistów. Artur zmarł w drodze.

© PAWEŁ PIENIĄŻEK

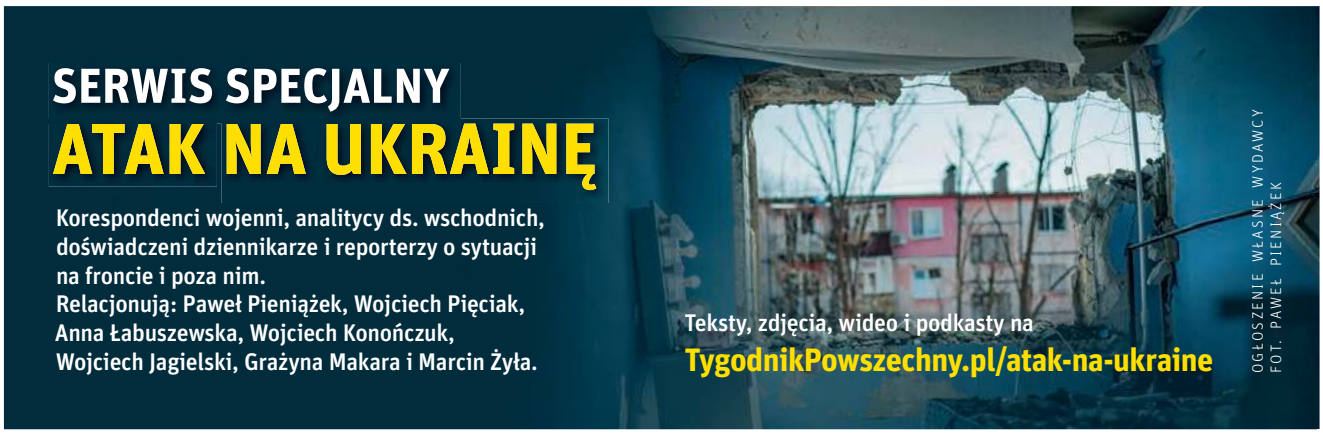

Imperium przemocy

ANNA ŁABUSZEWSKA

Jednego dnia Putin podpisał 124 akty prawne, które przestawiają Rosję na tory wojenne. Choć oficjalnie jej nie ma, prawo wojny obowiązuje. Dzięki niemu Kreml ostatecznie niszczy opozycję.

SIEDEM LAT ŁAGRU – TAKI WERDYKT sądu usłyszał właśnie moskiewski radny Aleksiej Gorinow za to, że zbrodniczą wojnę nazwał wojną. To pierwszy wyrok z artykułu o „rozpowszechnianiu fake'ów o rosyjskiej armii". Tak tutejszy „wymiar sprawiedliwości" kwalifikuje mówienie prawdy o napaści na Ukrainę.

Cofnijmy się o kilka tygodni. 15 marca na posiedzeniu rady dzielnicy Krasnosielskiej w Moskwie na wniosek Gorinowa ogłoszono minutę ciszy dla upamiętnienia ofiar agresji. Gorinow zaznaczył, że wysiłki społeczeństwa powinny być skupione na powstrzymaniu wojny. W ten sposób, zdaniem sądu, Gorinow rozpowszechniał niesprawdzone informacje o armii, wykorzystując swoją funkcję, a czynił to z „nienawiści politycznej".

„Od pięciu miesięcy Rosja prowadzi działania zbrojne, wstydliwie nazywając je operacją specjalną. Obiecują nam zwycięstwo i sławę. Ale z jakiegoś powodu część współobywateli odczuwa wstyd i ma poczucie winy. Dlaczego nasz kraj ma nagle tylu nieprzyjaciół? Skąd oni się wzięli? Może z nami jest coś nie tak? Porozmawiajmy o tym. To właśnie zrobiłem na posiedzeniu rady" – mówił Gorinow podczas rozprawy. Siedział w szklanej klatce, odgrodzony od reszty sali. Do szyby przyłożył kartkę z napisem: „Czy wam potrzebna jest jeszcze ta wojna?". Ochroniarz sądowy zasłonił własnym ciałem wywrotowy napis.

LIST OTWARTY w sprawie Gorinowa podpisało 20 prawników i obrońców praw człowieka. Ich zdaniem wyrok jest niezgodny z prawem. Politolożka Tatiana Stanowaja tak go interpretuje: „Siedem lat dla Gorinowa to wyjątkowe polityczne wydarzenie, przypadek szczególny wśród podobnych procesów. Władza daje znać, że dzieli przestępstwa o fake'ach na temat armii na dwie kategorie. Kategoria pierwsza: nazwać »operację specjalną« wojną lub próbować opowiadać alternatywną wersję w mediach społecznościowych – to uznawane jest za szkodnictwo. Ale jeśli takie szkodnictwo występuje w parze z działalnością polityczną (tak rzecz się ma w przypadku Gorinowa, który jako radny wystąpił przeciw wojnie na posiedzeniu rady), to uznawane jest bez mała za terroryzm. Ten wyrok to przemyślane ostrzeżenie wobec przeciwników wojny: wsadzimy was na lata, jeżeli przyjdzie wam do głowy łączyć antywojenną retorykę z działalnością polityczną".

KIRILL KUDRYAVTSEV / AFP / EAST NEWS

Ilja Jaszyn, moskiewski radny i opozycjonista oskarżony o „dyskredytowanie" armii rosyjskiej podczas przesłuchania w sądzie rejonowym. Moskwa, 13 lipca 2022 r.

Aby podpaść władzy, nie trzeba dziś wiele. Posadę stracił ostatnio ordynator chirurgii szpitala w mieście Jelec (obwód lipiecki) Wiktor Pawlenko. Zarzucono mu dyskredytację sił zbrojnych, gdyż na imprezie w obecności mera miasta krzyknął „Chwała Ukrainie". Grozi mu proces.

Z kolei Ilja Jaszyn, jeden z najważniejszych polityków liberalnej opozycji, został aresztowany za „szerzenie fake'ów na temat operacji specjalnej". Taką kwalifikację „prawną" zyskały słowa Jaszyna o zbrodniach popełnionych przez rosyjską armię w Buczy (zgodnie z oficjalną wykładnią, którą dał osobiście Putin, wydarzenia w Buczy i innych podkijowskich miejscowościach to *fake news*). Grozi mu do 10 lat łagru. Jaszyn świadomie pozostał w Rosji, nie poszedł w ślady wielu współpracowników, którzy wybrali emigrację. Napisał w mediach społecznościowych: „Nie chcę uciekać i chować się przed tymi, którymi gardzę. Nie chcę się poniżać przed zbrodniarzami wojennymi". Za „rozmowy o Buczy" aresztowany został też m.in. Dmitrij Tałantow, przewodniczący izby adwokackiej Udmurcji.

W ARESZCIE od kwietnia przebywa jeszcze jeden opozycjonista: Władimir Kara-Murza. W ostatnich latach dwukrotnie był ofiarą tajemniczych zatruć, z których z trudem wyszedł po długim leczeniu za granicą. Niewykluczone, że zastosowano wobec niego podobne „środki operacyjne" jak wobec Aleksieja Nawalnego, otrutego nowiczokiem. Nawalny od ponad roku siedzi w łagrze na mocy wyroku w sfingowanym procesie.

Kara-Murza został aresztowany za wykład na jednym z amerykańskich uniwersytetów, w którym opowiadał o niesławnych wyczynach rosyjskiej armii w Ukrainie. Artykuł 207.3 kodeksu karnego, o „wojennych fake'ach" stał się instrumentem wewnętrznego terroru. Znowelizowane przepisy pozwalają na uznanie za zagranicznego agenta każdego, kto nie spodoba się władzy, oraz ściganie za słowa prawdy o wojnie. Za antywojenne pikiety i publikacje w mediach społecznościowych prześladowani są nie tylko politycy, ale też aktywiści obywatelscy.

Od 24 lutego wszczęto 70 spraw karnych z art. 207.3 kodeksu karnego. A to dopiero początek. ©

Więcej informacji o Rosji w cyklu autorki **tygodnikpowszechny.pl/rosyjskaruletka** oraz jej blogu **labuszewska.blog.tygodnikpowszechny.pl**

JOE RAEDLE / GETTY IMAGES

Ron DeSantis na konferencji konserwatystów w Orlando na Florydzie, 24 lutego 2022 r.

Alternatywa dla nudziarza

MARTA ZDZIEBORSKA

W USA rośnie w siłę inteligentniejsza kopia Trumpa. Republikanin Ron DeSantis nie obiecuje kontrowersyjnych reform, on je forsuje.

Wtorek, 28 czerwca. Cassidy Hutchinson, 26-letnia była urzędniczka Białego Domu za prezydentury Donalda Trumpa, zeznaje przed komisją śledczą Kongresu. Na oczach milionów Amerykanów mówi, że tamtego pamiętnego 6 stycznia 2021 r. Trump chciał dołączyć do tłumu swoich zwolenników szturmujących Kapitol.

Z zeznań, które Hutchinson składa pod przysięgą, wynika, że gdy Trump usłyszał, że nie ma mowy o tym, aby agenci Secret Service zawieźli go w miejsce zamieszek, próbował przejąć kierownicę limuzyny. „Jestem pieprzonym prezydentem. Zabierz mnie na Kapitol w tej chwili" – miał krzyczeć Trump do agenta Secret Service.

Hutchinson zeznaje również, że Trump burzył się, gdy ochrona nie chciała wpuszczać na jego wiec uzbrojonych zwolenników prezydenta. O ryzyku zamieszek w Waszyngtonie Trump był informowany przez swoich doradców kilka dni wcześniej.

Hutchinson twierdzi, że opiera swoje zeznania na rozmowie z Tonym Ornato, ówczesnym zastępcą szefa personelu Białego Domu. Ten jednak, według źródeł CNN, wszystkiemu zaprzecza. Sprzeczność ta tak wzburza dwójkę byłych urzędników z otoczenia Trumpa, że piszą na Twitterze, iż Ornato to lojalista, który potrafi dla byłego prezydenta kłamać jak z nut. W obronie Trumpa stają również agenci Secret Service, którzy towarzyszyli mu 6 stycznia w limuzynie. Deklarują, że mogą zeznać pod przysięgą, iż prezydent nie próbował przejąć kontroli nad kierownicą, a w aucie doszło jedynie do „burzliwej wymiany zdań".

Ustalenie, kto mówi prawdę, utrudnia fakt, że elektroniczne komunikaty między prezydentem a agentami Secret ↦

↦ Service zostały skasowane; nie wiadomo – przypadkowo czy intencjonalnie.

Syn pielęgniarki i montera

Bez względu na to, gdzie leży prawda, swoimi zeznaniami Cassidy Hutchinson zrobiła przeciwnikom Trumpa prezent. Demokraci od początku traktują przesłuchania komisji śledczej jako szansę na poprawę notowań przed listopadowymi wyborami do Kongresu.

Ale polityczny kapitał na przesłuchaniach może zbić również Ron DeSantis, republikański gubernator stanu Floryda. Od miesięcy huczy bowiem od spekulacji, że ten niegdyś wierny sojusznik Trumpa szykuje się do wyścigu o Biały Dom. Dla Republikanów DeSantis ma duży potencjał. W przeciwieństwie do byłego prezydenta nie rozpamiętuje politycznej przeszłości, forsuje kontrowersyjne reformy i robi to w bardziej inteligentny sposób.

Zaledwie 43-letni Ron DeSantis, nazywany „Trumpem z mózgiem", nie jest w polityce nowicjuszem. Zanim w 2018 r. wygrał wybory gubernatorskie na Florydzie, przez pięć lat zasiadał jako kongresmen w Izbie Reprezentantów. Prawnik, absolwent Harvardu i Yale, ma w swojej biografii również służbę wojskową w Iraku oraz w bazie Guantanamo na Kubie, gdzie Amerykanie przetrzymują osoby oskarżone o terroryzm. Syn pielęgniarki i montera dekoderów telewizyjnych, sam musiał zapracować na swój sukces. Jak mówią o nim dawni koledzy, to człowiek pracowity, bezkompromisowy i uparcie dążący do celu.

Nie mów o gejach

Cechy te widać wyraźnie na przykładzie jego rządów na Florydzie, którą okrzyknięto już „poletkiem doświadczalnym" amerykańskiej prawicy. DeSantis znany jest przede wszystkim ze zwalczania pandemicznych restrykcji, podważania ekspertyz epidemiologów i walki z administracją Bidena, która nakazuje szczepić się pracownikom dużych firm.

Gubernator zasłynął również z majstrowania przy programie nauczania w szkołach. W zeszłym roku zakazał lekcji o tzw. teorii rasy, czyli akademickiej koncepcji głoszącej, że lata niewolnictwa i segregacji rasowej doprowadziły w USA do utrwalenia instytucjonalnego rasizmu. Dużo kontrowersji wzbudziła również ustawa, która zabrania omawiania w szkołach kwestii związanych z orientacją seksualną i tożsamością płciową. Przepisy nazywane potocznie „Don't Say Gay" („Nie mów o gejach") skrytykował m.in. koncern Disneya, za co DeSantis odebrał mu przywileje podatkowe na Florydzie.

Poparcia gubernatorowi Florydy udzielają także media **dotąd wierne Donaldowi Trumpowi.**

Gubernator próbuje przeforsować też w szkołach teorię, jakoby XVIII-wieczni amerykańscy ojcowie założyciele USA nie popierali rozdziału Kościoła od państwa. Zniesienie tego fundamentu amerykańskiej demokracji marzy się zwłaszcza środowisku Tea Party, czyli grupie ultrakonserwatystów w Partii Republikańskiej.

Wycieczka do Utah

DeSantis, ulubieniec owej nieformalnej Partii Herbacianej, podobnie jak Trump bazuje na populizmie i pogłębiających się w USA wojnach kulturowych. Podczas lutowej Konferencji Konserwatywnej Akcji Politycznej w Orlando mówił o rzekomym ataku na Amerykę ze strony „lewicowych elit", nielegalnych imigrantów, koncernów technologicznych i zwolenników pandemicznych restrykcji. Zapewniał przy tym, że za jego rządów Floryda stała się „cytadelą wolności", gdzie walczy się z „wymysłami liberałów".

Podczas tamtego 20-minutowego przemówienia Ron DeSantis ani razu nie wspomniał o Donaldzie Trumpie, za to wielokrotnie atakował prezydenta Joego Bidena. „Jeśli za jego sprawą nadciągnie na Florydę fala nielegalnych imigrantów, zawrócę ich do Delaware" – obiecywał DeSantis. Delaware to rodzimy stan prezydenta USA.

Zdaniem komentatorów tamto wystąpienie gubernatora potwierdza spekulacje, iż ma on większe ambicje polityczne niż rządzenie Florydą. W tym kontekście uwagę przyciąga jego powściągliwość po zniesieniu przez Sąd Najwyższy konstytucyjnego prawa do aborcji. W przeciwieństwie do innych republikańskich gubernatorów DeSantis nie spieszy się z przykręcaniem antyaborcyjnej śruby: na Florydzie nadal można przerywać ciążę do 15. tygodnia, bez względu na przyczynę.

Przed starciem z Trumpem

Milczenie DeSantisa w tej kwestii może sygnalizować, że boi się on zadrzeć z mniej konserwatywnym elektoratem, co mogłoby mu przeszkodzić w ewentualnej walce o Biały Dom. Tym bardziej że polityk od miesięcy zabiega o wsparcie wpływowych darczyńców w Partii Republikańskiej. W tym celu pojedzie nawet do odległego o 2 tys. km stanu Utah, gdzie będzie zbierać środki na kampanię o swoją gubernatorską reelekcję. DeSantis zebrał do tej pory ponad 100 mln dolarów, co jest absolutnym rekordem w historii wyborów gubernatorskich na Florydzie.

Inwestuje przy tym również w spoty kampanijne w całym kraju, co ma zwiększyć jego popularność poza rodzimym stanem. „DeSantis ostrożnie i metodycznie przygotowuje się do starcia z Donaldem Trumpem. Zbiera fundusze, buduje kontakty i szepcze do ucha wpływowym Republikanom: nie jestem szalony jak Trump; jestem młodszy, mądrzejszy, szczuplejszy; mogę zaoferować więcej niż ten starzec z pomarańczowymi włosami" – tak o strategii DeSantisa mówi cytowany przez „Guardiana" republikański konsultant polityczny Rick Wilson. Do starcia między nimi może dojść, jeśli były prezydent zdecyduje się znowu stanąć do walki o nominację Partii Republikańskiej.

Inny konsultant, Ed Rollins, założył w maju komitet akcji politycznej o nazwie Ready for Ron (Gotowi na Rona). Republikanin deklaruje, że będzie zbierał fundusze na rzecz DeSantisa, jeśli ten ogłosi swój start w wyścigu prezydenckim.

Alternatywa dla nudziarza

Poparcia gubernatorowi udzielają ostatnio także konserwatywne media, do tej pory wierne Donaldowi Trumpowi. W reakcji na sensacyjne zeznania Cassidy Hutchinson serwis „The Washington Examiner" napisał, że były prezydent jest „jedną wielką kompromitacją" i powinien „trzymać się od władzy z daleka".

Publicyści dzienników „Wall Street Journal" i „New York Post" od tygodni apelują zaś do wyborców, aby myśleli „strategicznie" i przyjrzeli się innym po-

tencjalnym kandydatom. Poparcie dla DeSantisa forsuje m.in. znany komentator Piers Morgan. Na łamach „New York Post" przekonywał, że DeSantis jest lepszym wyborem niż Trump, którego nazwał „podkopującym demokrację starzejącym się i sfrustrowanym nudziarzem".

O zdrowy rozsądek apeluje również redakcja „Wall Street Journal": „Wypiszcie się z newslettera, w którym Trump błaga o pieniądze. Postawcie na innego kandydata i skupcie się na nowym rozdziale, jaki przyniosą wybory w roku 2022 i 2024. Najwyższy czas, by Ameryka stała się znów poczytalna".

Słabnąca pozycja Trumpa

Tymczasem antytrumpowska kampania i przesłuchania komisji śledczej powoli przekładają się na nastroje wyborców. Według najnowszego sondażu „New York Times"/Siena College tylko dla 49 proc. ankietowanych Trump byłby faworytem w prawyborach Partii Republikańskiej. Na drugim miejscu plasuje się właśnie Ron DeSantis (z wynikiem 25 proc.), a następnie senator Ted Cruz (z poparciem 7 proc.). Trump wypadł też nie najlepiej w sondażu prowadzonym w New Hampshire, czyli drugim w kolejności stanie, gdzie odbywają się prezydenckie prawybory. Zyskał w tym zestawieniu o 2 pkt. proc. mniej niż DeSantis, dla którego poparcie w ciągu ostatniego roku wzrosło tam z 18 do 39 proc.

Trump niezmiennie przekonuje – a swojej platformie społecznościowej Truth Social – że mimo przesłuchań komisji śledczej (czyli dla niego „największego w amerykańskiej historii polowania na czarownice") jego notowania w sondażach rosną. Nie da się jednak ukryć, że coraz bardziej pali mu się grunt pod nogami.

Przełomowe okazały się zwłaszcza zeznania wspomnianej Hutchinson. Mówiąc, że Trump chciał dołączyć do uzbrojonego tłumu i lekceważył ryzyko zamieszek, potencjalnie dostarczyła istotnych dowodów w sprawie. Do skazania Trumpa kluczowe byłoby bowiem wykazanie, że ten z premedytacją podżegał do puczu. Według ekspertów Hutchinson utorowała również drogę do postawienia Trumpowi zarzutu obstrukcji posiedzenia Kongresu, które miało wówczas zatwierdzić zwycięstwo Bidena.

DeSantis nie ma oporów, by z elektorarem Demokratów **walczyć także wątpliwymi metodami.**

Kolejka do zeznań

Przed komisją śledczą zeznawał również ostatnio – za zamkniętymi drzwiami – były urzędnik Białego Domu Pat Cipollone. Z upublicznionego fragmentu jego zeznań wynika, że na kilka tygodni przed szturmem Kapitolu Trump spotkał się z grupą radykałów, przekonujących go o wykryciu oszustw wyborczych, które rzekomo pozbawiły go reelekcji. Sojusznicy prezydenta radzili mu przejęcie maszyn do liczenia głosów, a nawet ponowne przeprowadzenie wyborów. W podżegającej prezydenta grupie znalazł się m.in. przedsiębiorca Patrick Byrne, który niebawem ma zeznawać przed komisją śledczą.

W kolejce ustawia się też Steve Bannon. Ten były główny strateg Trumpa ogłosił w końcu gotowość do złożenia zeznań. Zrobił to, choć do tej pory zasłaniał się tzw. przywilejem wykonawczym, czyli stosowaną przez amerykańskich prezydentów zasadą, która zapewnia poufność ich rozmów z personelem Białego Domu.

Bannon twierdzi, że zmienił zdanie, gdy dostał od Trumpa list, rzekomo znoszący wobec niego ów „przywilej wykonawczy". „Robię to, abyś mógł złożyć szczere zeznania przed komisją składającą się z politycznych złodziei i kapusiów" – miał napisać do niego Trump, licząc zapewne, że Bannon złoży korzystne dla niego zeznania. Dla byłego doradcy Trumpa każdy sposób jest dobry, by uniknąć odpowiedzialności za uchylanie się od spotkania z komisją śledczą. Bannon, oskarżony o odmawianie zeznań i przekazania dokumentów, od miesięcy próbował opóźnić proces karny w tej sprawie. Z informacji dostępnych przed zamknięciem tego numeru wynika, że pierwsze posiedzenie sądu planowane jest na 18 lipca.

Prawo czy przywilej

Jeszcze przed rozpoczęciem procesu Bannona do amerykańskich mediów wyciekło sensacyjne nagranie audio. Słychać na nim, jak mówi on sojusznikom Trumpa, że ten planuje ogłosić w noc wyborczą swoje zwycięstwo, nawet jeśli nie zdobył przewagi nad Bidenem.

Nagranie to jeszcze bardziej pogrąża byłego prezydenta. Tymczasem według informatorów z jego otoczenia, na których powołuje się „New York Times", rozważa on ogłoszenie swojej kampanii o reelekcję latem tego roku. Ten ruch miałby odwrócić uwagę od przesłuchań przed komisją śledczą, a także potencjalnie ochronić go przed postawieniem mu zarzutów. Takiego scenariusza obawiają się Republikanie, dla których nagły start Trumpa mógłby zakłócić ich kampanię przed listopadowymi wyborami do Kongresu.

Z drugiej strony wśród Demokratów mnożą się spekulacje, co może oznaczać dla demokracji potencjalna kandydatura Rona DeSantisa. Tym bardziej że Republikanin czerpie garściami z trumpizmu: naśladuje mowę ciała byłego prezydenta, chamsko odpowiada dziennikarzom, a swego czasu rozsiewał teorie spiskowe dotyczące „skradzionych" wyborów w 2020 r.

DeSantis nie ma zresztą oporów, by z elektoratem Demokratów walczyć także wątpliwymi metodami. W kwietniu powołał specjalny zespół policji mający za zadanie „tropienie fałszerstw wyborczych". Kontrowersje wywołała też zmiana granic okręgów wyborczych na Florydzie – nową mapę rozrysowano tak, aby Republikanie zyskali do obsadzenia kilka dodatkowych miejsc w Izbie Reprezentantów.

Gubernator próbuje również ograniczać prawo do głosowania, co uderza głównie w bardziej liberalne mniejszości etniczno-rasowe. Gdy np. w 2018 r. mieszkańcy Florydy zagłosowali za przywróceniem tego prawa skazanym, którzy zakończyli odbywanie kary, DeSantis niebawem wprowadził dodatkowe restrykcje. Wraz z kontrolowanym przez Republikanów parlamentem ograniczył m.in. prawo do głosowania tym, którzy nie uregulowali w całości zasądzonych im kar finansowych.

Tuż po podpisaniu ustawy DeSantis oznajmił na Twitterze, że „udział w wyborach należy traktować z powagą". „To jest przywilej, a nie prawo, jak myśli wielu Amerykanów" – wypalił.

© MARTA ZDZIEBORSKA

GEORGI LICOVSKI / EPA / PAP

Protesty przeciwko francuskiej propozycji rozwiązania sporu między Macedonią Północną a Bułgarią, Skopje, 10 lipca 2022 r.

Sąsiedzka kuratela

PIOTR OLEKSY

Spór z Bułgarami o tożsamość i kulturę rozpala Macedończyków. Emocje miała uspokoić francuska mediacja. Wywołała efekt przeciwny.

Przez 20 lat jako minister, dyplomata i analityk pracowałem, by europejski sen stał się rzeczywistością dla mojego kraju. (...) Teraz, po 17 latach w poczekalni, zrobię wszystko, by temu zapobiec" – napisał Nikoła Dimitrow, były minister spraw zagranicznych Macedonii Północnej, w artykule dla portalu European Western Balkans.

Dimitrow był jednym z twórców historycznego porozumienia z Prespy, które w 2018 r. zakończyło trwający prawie trzy dekady spór z Grecją o nazwę macedońskiego państwa. Teraz oskarża Unię Europejską i sąsiednią Bułgarię o stosowanie putinowskich metod wobec jego kraju. I nie tylko on: dziesiątki tysięcy Macedończyków wychodzą w ostatnich tygodniach na ulice. Rośnie napięcie między słowiańską większością a społecznością albańską, która stanowi jedną czwartą ludności. Wszystko to za sprawą francuskiej propozycji, która miała odblokować bułgarskie weto dla rozpoczęcia negocjacji akcesyjnych Unii z Macedonią Północną.

Chodzi tu oczywiście o tożsamość, język i historię. Dimitrow argumentuje, że Bułgarzy odmawiają Macedończykom prawa do własnej kultury i tożsamości – tak jak Putin odmawia tego Ukraińcom. Gorszy od takich czy innych porównań jest jednak fakt, że Bułgarom udało się zaprząc do tego unijną politykę rozszerzenia.

JESZCZE NIEDAWNO, jesienią 2020 r., zdawało się, że Macedonia Północna i Albania są bliskie otwarcia negocjacji akcesyjnych z Unią. Za Macedonią przemawiał wysiłek, który włożyła w zakończenie sporu z Grecją, pozytywne recenzje realizowanych reform i traktat o dobrosąsiedztwie, przyjaźni i współpracy, podpisany z Bułgarią w 2017 r.

Tymczasem to właśnie bułgarski rząd w listopadzie 2020 r. zablokował start negocjacji. Z memorandum do unijnych partnerów wynikało, że Sofia oczekuje, by w pracach Unii nie stosować określenia „język macedoński", lecz „język urzędowy Macedonii Północnej". Bułgarzy chcieli też, by do jednego z rozdziałów negocjacyjnych wpisać wymóg utrzymywania przez Macedonię „stosunków dobrosąsiedzkich". Oznaczało to, że traktat z 2017 r., w którym przewidziano dialog historyczny na tematy dzielące oba państwa, stałby się jednym z kryteriów negocjacyjnych. Była to pułapka zastawiona na Macedończyków.

Spór o historię jest w tym wypadku sporem o odrębność narodu macedońskiego. Zgodnie z bułgarską historiografią, macedońska tożsamość, język i kultura są sztucznymi efektami polityki władz komunistycznej Jugosławii, których celem było wynarodowienie miejscowych Bułgarów. Dlatego Sofia uznaje język macedoński co najwyżej za dialekt bułgarskiego, a całą historię regionu sprzed roku 1944 za „przynależną" wyłącznie Bułgarii.

SOFIA OSKARŻA SKOPJE o zakłamywanie przeszłości, zawłaszczanie bohaterów narodowych i używanie mowy nienawiści. Za taką uznaje zarówno ekstremalne wypowiedzi macedońskich nacjonalistów, jak i określanie bułgarskich rządów na tym terenie w czasie II wojny światowej mianem „okupacji" czy choćby badania nad bułgarskimi zbrodniami wobec ludności cywilnej w tym okresie. Takie stosunki dobrosąsiedzkie, których wymaga Sofia, oznaczałyby więc zgodę Skopje na bułgarską kuratelę nad własną polityką pamięci.

W istocie spór ten dotyczy nie tylko zaszłości historycznych, lecz także różnego postrzegania charakteru wspólnot narodowych. W bułgarskiej opinii publicznej dominuje przekonanie o ich odwiecznym i niezmiennych charakterze. Dlatego przeszłość ziem, na których obecnie istnieje Macedonia Północna, może być postrzegana tylko jako bułgarska, a każde niuansowanie tej kwestii jest odbierane

jako zamach na narodowe dziedzictwo. Podobne podejście reprezentują zresztą macedońskie środowiska prawicowe, które korzenie swej wspólnoty wywodzą jeszcze z czasów antycznych.

Rzecz w tym, że taka interpretacja staje się niezwykle kłopotliwa, gdy mamy do czynienia z regionem wieloetnicznym, który przez wieki często zmieniał przynależność państwową. Spory dotyczą zaś czasów, gdy o silnych tożsamościach narodowych nie można było jeszcze mówić.

KONFLIKT DOTYCZY przykładowo postaci Gocego Dełczewa, przywódcy powstania ilindeńskiego z 1903 r., które ludność słowiańska wszczęła przeciw Imperium Osmańskiemu. Bułgarów oburza, że Macedończycy prezentują go jako własnego bohatera narodowego. W odpowiedzi Macedończycy tym bardziej podkreślają, że powstanie z 1903 r. było kulminacyjnym momentem dla ich ruchu narodowego. Tymczasem, jak stwierdził niedawno Dimitar Beczew, bułgarski politolog z Oxford School of Global and Area Studies, pytanie o to, czy Dełczew był Bułgarem czy Macedończykiem, brzmi jak pytanie, czy panujący 1200 lat temu Karol Wielki był Niemcem czy Francuzem.

Ten średniowieczny cesarz jest dziś symbolem wspólnego rdzenia historii narodów zachodniej Europy. Przez moment wydawało się, że podobną rolę może odegrać pamięć o Dełczewie: w 2017 r. do podpisania wspomnianego traktatu o dobrym sąsiedztwie doszło właśnie w rocznicę powstania ilindeńskiego. Wtedy było ono rozumiane jako początek drogi miejscowej ludności w stronę wolności i podmiotowości. Zdawało się, że obie strony dopuszczają, iż w toku burzliwych dziejów XX w. w regionie wykształciły się różne wspólnoty.

UTRZYMANIU TEJ NARRACJI przeszkodziła jednak polityka. Jesienią 2020 r. Bojko Borisow, ówczesny premier Bułgarii, sięgnął po narodowe emocje i skierował je przeciw słabszemu sąsiadowi, by ratować poparcie społeczne dla swego rządu. Kilka miesięcy wcześniej Bułgarzy masowo wyszli na ulice, oskarżając Borisowa o korupcję i zawłaszczenie państwa oraz domagając się jego ustąpienia.

Na horyzoncie były wtedy wybory parlamentarne, po których nastąpił trwający do dziś okres niestabilności. Od wiosny 2021 r. Bułgarzy już trzykrotnie wybierali parlament, a kolejne wybory są prawdopodobne. W obliczu ogromnego rozczarowania klasą polityczną i licznych oskarżeń o korupcję, jednym z ostatnich narzędzi w rękach tamtejszych partii, od prawa do lewa, jest tani nacjonalizm. Fakt, że wielu Bułgarów postrzega „utratę" Macedonii jako „ból fantomowy" na ciele tożsamości narodowej – jak pisała Kapka Kassabova w książce „W stronę Ochrydy. Podróż przez wojnę i pokój" – sprawia, że kwestia ta jest zbyt kusząca, by po nią nie sięgnąć.

Reformatorski rząd, który powstał w grudniu 2021 r., upadł kilka tygodni temu. Opozycja i odchodzący koalicjant oskarżali premiera Kiriła Petkowa właśnie o nadmierną uległość wobec Skopje. Sam Petkow wskazywał, że jego rząd realnie zagroził interesom lokalnych oligarchów, w tym byłego premiera. O przyczynienie się do swego odwołania oskarżył też ambasadę Rosji.

PODOBNA ZALEŻNOŚĆ występuje również po drugiej stronie. W 2017 r. Socjaldemokratyczny Związek Macedonii odsunął od władzy prawicowe ugrupowanie VMRO-DPMNE, którego ówczesny lider Nikoła Gruewski budował system autorytarny, oparty na nacjonalizmie i klientelizmie. Socjaldemokracja postawiła za cel integrację z Unią i zakończenie napięć etnicznych. Ugoda z Grecją była postrzegana przez społeczeństwo jako ogromne ustępstwo, które warto poczynić właśnie w imię tych dążeń. Niestety dalsze niepowodzenia w negocjacjach z Unią są wodą na młyn dla sił nacjonalistycznych, które głoszą, że Zachód i sąsiedzi chcą wynarodowić Macedończyków. W efekcie rząd ma niewielkie pole do ustępstw.

Sytuację komplikuje fakt, że zamieszkujący ten kraj Albańczycy są entuzjastami integracji z Unią: postrzegają ją jako szansę na rozwój i zabezpieczenie własnych praw. Niecierpliwią się, obserwując debaty o godności narodowej, które prowadzi słowiańska większość. W ostatnich dniach doszło do starć między Albańczykami, którzy manifestowali na rzecz przyjęcia francuskiej propozycji zakończenia sporu, i przeciwnymi jej Macedończykami. Wszyscy mają w pamięci rok 2001, gdy wybuchł konflikt zbrojny między rządem a społecznością albańską.

O CO CHODZI ze wspomnianą francuską propozycją? Zacznijmy od tego, że na tle niedawnego przyznania Ukrainie i Mołdawii statusu kandydata do Unii sytuacja państw bałkańskich, które od lat mają ten status, wyglądała blado. Dotyczyło to zwłaszcza Macedonii i Albanii, rozpatrywanych pakietowo, których kolejny krok blokowało bułgarskie weto. Dlatego Francja, która do czerwca przewodniczyła w Unii, na koniec swej kadencji podjęła dyplomatyczną ofensywę i zaproponowała rozwiązanie sporu. Bułgarski parlament przyjął tę propozycję z zaskakującą jednomyślnością. W Macedonii obóz rządzący próbował przedstawić ją jako rozsądne i tymczasowe rozwiązanie, ale i opozycja, i część środowisk opiniotwórczych, i znaczna część społeczeństwa wyraziły zdecydowany sprzeciw.

Największy problem tej propozycji polega na braku transparentności. Jej szczegóły nie są znane szerokiej opinii, co otwiera drogę do spekulacji. Wiemy na pewno, że zobowiązuje ona Skopje do wpisania bułgarskiej mniejszości do konstytucji jako jednej ze społeczności tworzących wspólnotę państwową. Tyle że zmiana konstytucji wymagałaby poparcia także ze strony prawicowej opozycji, a przy obecnej polaryzacji to niewykonalne. Po drugie propozycja zobowiązuje Skopje do wdrożenia protokołu z prac Wspólnej Komisji Historycznej, powołanej na mocy traktatu z 2017 r. Oznaczałoby to m.in. ingerencję w treść podręczników. Z tym że strona macedońska wycofała się z prac Komisji i protokół ten nie został przez nią dotąd zaakceptowany.

POD WODZĄ FRANCJI Unia najwyraźniej pogubiła się w swej polityce wobec bałkańskich kandydatów. Nie dość, że zajęła pozycję arbitra w sporach historycznych, to jeszcze – zamiast skupiać się na kluczowych kwestiach demokracji i praworządności – stanęła po jednej ze stron. Argument, że stara się bronić interesów swego członka, jest nietrafiony, bo teoretycznie za jakiś czas członkiem miałaby być też Macedonia. Ani Macedończycy, ani Ukraińcy nie marzą o Europie równych i równiejszych.

A patrząc na bułgarski kontekst tego sporu, trudno nie odnieść wrażenia, że w tak strategicznej sferze Unia stała się zakładnikiem interesów bułgarskiej elity polityczno-biznesowej. To niebezpieczny precedens, który źle wróży wpływom Unii na Bałkanach. ©

THARAKA BASNAYAKA / NURPHOTO / GETTY IMAGE

Demonstranci świętują zdobycie pałacu prezydenckiego. Kolombo, Sri Lanka, 13 lipca 2022 r.

Symboliczny koniec rządzącego klanu

TOMASZ AUGUSTYNIAK Z BANGKOKU

Prezydent Sri Lanki Gotabaya Rajapaksa uciekł z kraju na pokładzie wojskowego samolotu. Wcześniej żołnierze ewakuowali go z rezydencji – tuż przed tym, jak wdarli się do niej manifestanci.

Gdy Rajapaksa odlatywał z ojczyzny – najpierw na sąsiednie Malediwy, a później do Singapuru – świat obiegały fotografie i nagrania, na których uczestnicy protestów przechadzali się po salonach dotąd zarezerwowanych dla miejscowych elit.

Były przywódca opuścił kraj w minioną środę 13 lipca. W zajętej już kilka dni wcześniej prezydenckiej kancelarii demonstranci urządzili bibliotekę. W ogrodach kolonialnego bungalowu Temple Trees – oficjalnej siedziby premiera – na zaimprowizowanych paleniskach zaczęli gotować ryż z curry. W służbowej rezydencji prezydenta robili sobie *selfie* na pseudoantycznych sofach, krzesłach i przy obrazach, odpoczywając także w prezydenckim łóżku i basenie.

Kryzys na Sri Lance

Takie zdjęcia to symbole rozgrywającej się na Sri Lance rewolucji, która nie ma precedensu w historii tego kraju. Masowe protesty przeciwko skutkom wielomiesięcznego kryzysu gospodarczego i głęboko skorumpowanej władzy rozpoczęły się na przełomie marca i kwietnia.

Do zapaści gospodarczej przyczyniła się pandemia, a później także wojna w Ukrainie, która podniosła koszty importu i ograniczyła dostępność paliw, nawozów i zbóż na całym świecie.

Wielu międzynarodowych analityków nie docenia jednak kontekstu lokalnego. A ten kontekst to złe rządzenie państwem: przede wszystkim fatalne decyzje gospodarcze rządu i prezydenta, a w dłuższej perspektywie całego ich politycznego klanu, który przez kilkanaście lat zadłużał Sri Lankę, aby w ten sposób finansować kontrowersyjne inwestycje infrastrukturalne.

Jeszcze przed wybuchem pandemii, która mocno ograniczyła wpływy z turystyki, rząd przeprowadził szkodliwe dla państwowej kasy cięcia podatków i zakazał używania nawozów sztucznych, co doprowadziło do drastycznego spadku produkcji ryżu, który trzeba było zacząć sprowadzać. Spadła także produkcja herbaty – dotąd ważnego towaru eksportowego. W efekcie krajowi zabrakło rezerw walutowych w dolarach do spłacania zagranicznych kredytów oraz do obsługi importu.

Szybko zaczęło brakować sprowadzanych z zagranicy produktów, w tym paliw, gazu, leków, a nawet papieru. Gwałtownie rosnące ceny żywności, niedobory nafty, benzyny, oleju napędowego i kłopoty z dostawami elektryczności dały się we znaki wszystkim mieszkańcom wyspy – i wreszcie skłoniły ich do masowego sprzeciwu.

Oddolna rewolucja

Na ulice miast i miasteczek w całym kraju spontanicznie wyszły tysiące ludzi, organizując setki demonstracji. Nie chodziło im wyłącznie o opłakany stan gospodarki. Protestujący dostrzegli – i zaczęli krzyczeć – że rządzący krajem od kilkudziesięciu lat cynicznie wykorzystywali istniejące na wyspie napięcia etniczne do zbijania politycznego kapitału, grając na lękach i aspiracjach Lankijczyków, sami jednocześnie opływając w luksusy. Zaczęli domagać się wymiany rządzących elit, krytykując powszechną korupcję i nepotyzm. Robili to w chwili, gdy najwyższe urzędy sprawowało – oprócz prezydenta i premiera – sześciu innych członków ich najbliższej rodziny.

W kwietniu obywatele zmusili do ustąpienia wszystkich ministrów. Miesiąc później odejść musiał sam premier Mahinda Rajapaksa. Oblegany przez protestujących

w swojej rezydencji szef rządu podał się do dymisji i został przewieziony do otoczonej grubymi murami bazy wojskowej na północnym wschodzie wyspy. Po ataku ze strony zwiezionych do stołecznego Kolombo zwolenników premiera protestujący zaczęli plądrować i podpalać biura, należące do polityków posiadłości i samochody. W ciągu jednej nocy w całym kraju spłonęły dziesiątki domów powiązanych z rządem osób.

Kolejny akt tej rewolty rozegrał się w tym miesiącu. Skompromitowany i znienawidzony prezydent Gotabaya Rajapaksa, po szturmie tłumu na swoją rezydencję, został przewieziony do bazy w pobliżu międzynarodowego lotniska w Katunayake. Zbuntowani pracownicy portu uniemożliwili mu oraz jego bratu Basilowi – byłemu ministrowi finansów – wejście na pokład komercyjnego lotu do Dubaju. Ostatecznie pomogli wojskowi, których wcześniej lankijski przywódca konsekwentnie chronił przed zarzutami o zbrodnie wojenne. Rajapaksa zwlekał z przesłaniem swojego listu rezygnacyjnego tak długo, jak pozostawał na terenie kraju, i zrobił to dopiero z Singapuru. Autentyczność dokumentu potwierdzono w miniony piątek.

Czego może obawiać się były prezydent? Prawdopodobnie zarzutów korupcyjnych. Jest też oskarżany o współudział w zbrodniach wojennych w czasie zakończonej w 2009 r. wojny domowej, gdy pełnił funkcję sekretarza obrony, a także o naruszenia praw człowieka już po zakończeniu konfliktu.

Jego ucieczka i rezygnacja są symbolicznym końcem politycznego klanu, którego członkowie przez kilkanaście lat decydowali na Sri Lance niemal o wszystkim.

Ciąg dalszy nastąpi

W środę 20 lipca parlament ma się zebrać, aby wybrać następcę Gotabayi Rajapaksy. Do tej chwili rządy prezydenckie sprawuje dotychczasowy premier Ranil Wickremesinghe. Tymczasem tłumy nie znikają z ulic Kolombo i innych lankijskich miast, a kryzys nie ustępuje: gaz i benzyna stały się towarami luksusowymi, codziennie na wiele godzin wyłączany jest prąd, a ceny żywności osiągają zawrotne poziomy. Nie kursuje większość autobusów i pociągów, a poziom inflacji przekracza 50 procent.

Negocjacje z Międzynarodowym Funduszem Walutowym na temat możliwego planu pomocowego utknęły w martwym punkcie i mają szansę ruszyć naprzód dopiero wtedy, gdy w Kolombo zostanie wybrany stabilny rząd, mogący zagwarantować skuteczne przeprowadzenie reform. ©

„TP" 28/2022

Jak skuć klerykalny beton

Chciałbym bardzo podziękować za wnikliwą analizę raportów diecezjalnych z odbywających się spotkań synodalnych [chodzi o artykuł Tomasza P. Terlikowskiego pt. „Zbiorczy akt oskarżenia" – red.]. Niestety, potwierdza się wszystko, czego można się było spodziewać, a co wcale nie jest dobre dla wiernych Kościoła katolickiego.
Kościół, który robił wszystko, aby uzależnić ludzi od siebie, aby krok po kroku przekonywać ich, że to on jest bogiem, że to bez Kościoła zbawienie jest niemożliwe, a nie bez Boga, wreszcie może odczytać informację o tym, jakiego potwora stworzył. Szkoda, że tzw. pasterze nie byli w stanie zobaczyć tego sami albo postarać się usłyszeć od owieczek, które wiele razy bardzo głośno beczały.
Ja sam nie zdecydowałem się na udział w pracach synodalnych w parafii dokładnie z tego samego powodu, na jaki wskazuje red. Tomasz Terlikowski: to niczego nie zmieni. I wiedziałem też, że zmian nie będzie nie tylko z powodu klerykalnego betonu, ale przede wszystkim ze względu na to, że owce bardzo chcą być prowadzone na rzeź. Po prostu są już tak bardzo przekonane, że same chodzić nie potrafią, że są w stanie za pseudopasterzami podążać wprost do przepaści.
Po drodze oczywiście wiele z nich odpadnie, przestanie płacić podatek kościelny, po prostu pójdzie sobie na zieloną trawkę świeckości, ale te najbardziej uwiedzione klerykalną wizją rzeczywistości wpadną do przepaści. Oczywiście bez pasterzy – ci będą mieli miękkie lądowanie.
Niestety, ale nie udało się za bardzo zmienić rzeczywistości papieżowi Franciszkowi, choć bardzo się starał. Uważam zresztą, że już przestał się starać aż tak bardzo, co widać w wielu jego ostatnich wypowiedziach. Mam wrażenie, że papieżowi po prostu miękną kolana pod wpływem krytyki z różnych stron.
A więc będzie tak, jak było, a jak pokazuje analiza red. Terlikowskiego, dla znakomitej większości tych, którzy jeszcze w Kościele zostali, ten brak zmian to bardzo dobra informacja. Trochę nic nieznaczących poprawek na wizerunku i jedziem dalej, panie kanoniku.

MIROSŁAW

Tęsknimy i czekamy

Jestem przekonana, że te słowa mogę napisać w imieniu wielu czytelniczek i czytelników „Tygodnika Powszechnego", dla których ks. Adam Boniecki jest nie tylko dobrym duchem pisma, ale przede wszystkim jego filarem. W kwietniu redakcja w miejscu cotygodniowego edytorialu opublikowała komunikat, w którym oznajmiła, że Redaktor Senior po wielu latach intensywnej i niestrudzonej pracy zasłużenie udaje się na dłuższy odpoczynek. Księże Adamie, wypoczywaj, ciesz się dobrym zdrowiem i samopoczuciem, ale wiedz, że wierni fani czekają. Twoje przemyślenia i refleksje stanowią źródło inspiracji dla mnie i wielu moich krewnych oraz znajomych. Bardzo Ci za nie dziękuję, bo dzięki nim stałam się lepszym, bardziej otwartym człowiekiem. „Zanim rzucisz kamieniem w bliźniego, najpierw stuknij się tym kamieniem w głowę" – to cytat z najnowszej książki ks. Bonieckiego „Dobro. Jak być optymistą w trudnych czasach". Cóż więcej dodać, obserwując otaczającą nas rzeczywistość?

MARIA

REKLAMA

Zakład Narodowy im. Ossolińskich

MUZEUM PANA TADEUSZA
OSSOLINEUM

„Nie wybiera się przecież swojego czasu”
Polska Szkoła Filmowa

1 lipca–13 września 2022

Muzeum Pana Tadeusza
Zakład Narodowy im. Ossolińskich
Rynek 6, Wrocław

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Projekt „Polska Szkoła Filmowa i jej następcy w kinie studyjnym Popiół i Diament – przegląd” dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury.

TYGODNIK POWSZECHNY

Słuchaj
i rób, co chcesz!

W cyklu „Tygodnik” na ucho
co tydzień 5 wybranych tekstów
z bieżącego wydania – do odsłuchania
w dowolnym czasie, miejscu
i na dowolnym nośniku.

Pobierz aplikację Audioteki
z GooglePlay lub AppStore
i słuchaj w dostępie dla Klubowiczów
– dla nowych abonentów 14 dni gratis!

audioteka

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

TOMASZ

Stawiszyński:
Politycy do teleskopów!

Zaprezentowane przez NASA zdjęcia wykonane ultranowoczesnym teleskopem Jamesa Webba na pierwszy rzut oka wcale nie przyprawiają o zawrót głowy. Przywodzą raczej na myśl widoki z popularnych niegdyś kalejdoskopów domowego użytku. Ot, konstelacje różnokolorowych rozbłysków na ciemnym tle, tyle że – w przeciwieństwie do tych kalejdoskopowych – niesystematyczne, pozbawione geometrycznej regularności.

Tymczasem już chwila namysłu nad tym, co właściwie mamy przed oczami, wywołuje nie tylko (metaforyczny, rzecz jasna) zawrót głowy, ale i całkiem niemetaforyczne dreszcze. Z pomocą niezwykle zaawansowanego technologicznie urządzenia udało się tu bowiem zobaczyć fragment wszechświata... sprzed 4,6 miliarda lat. Taka właśnie odległość, liczona w jednostkach świetlnych, dzieli teleskop kosmiczny Jamesa Webba od gromady galaktyk, która została przezeń pochwycona. Co więcej, w tle tej gromady widać światło jeszcze starsze – niosące obraz skrawka kosmosu nawet sprzed ponad 13 miliardów lat.

Ten fragment krajobrazu ujawniony przez teleskop Webba przedstawia więc rzeczywistość w wieku względnie dziecięcym, ledwie kilkaset milionów wiosen po wielkim wybuchu (choć, ściśle rzecz ujmując, wiosny wówczas jeszcze nie istniały). Jest to fundamentalnie osobliwe, nieprawdaż? Istoty, które pojawiły się w pewnym momencie na jednej z planet – nie wiadomo do końca jak, nie wiadomo do końca skąd – po tysiącach lat stworzyły narzędzie pozwalające na tak niesłychanie precyzyjny wgląd w otaczające ich niezmierzone przestworza. Nie wspominając już nawet o tym, jak same te przestworza są dziwaczne, skomplikowane, zadziwiające, fascynujące, ale i budzące (zasadny) metafizyczny lęk. Przyglądając się z pozoru niewinnie wyglądającym zdjęciom z teleskopu Webba nie sposób po raz kolejny nie zadać sobie wszystkich tych pytań, do których postawienia niepotrzebne są wcale, jak uczy historia, zaawansowane technologie, wystarczy spojrzenie w nocne rozgwieżdżone niebo: o co w tym wszystkim chodzi? Czy istnieje jakikolwiek wyższy sens, czy też wszystko jest tylko grą ślepych sił?

Oczywiście, nie sposób na te pytania odpowiedzieć, a przynajmniej nie na tym etapie, na którym się obecnie znajdujemy. Istnieje również i takie stanowisko, w myśl którego same pytania są po prostu błędnie postawione, nie ma więc najmniejszego powodu, żeby się nad nimi zastanawiać (jak powiada Ludwig Wittgenstein w „Traktacie": „wielka zagadka nie istnieje"). Okoliczność jednak, że tak się sprawy mają, nigdy, prawdę mówiąc, nam nie przeszkadzała w permanentnym udzielaniu odpowiedzi zarówno sobie, jak i – przede wszystkim – innym, najczęściej tonem nieznoszącym sprzeciwu i z zastosowaniem brutalnych środków perswazji.

Być może zapalczywość w udzielaniu niemożliwych do udzielenia odpowiedzi jest wprost proporcjonalna do tajemniczości tych bezgranicznych przestworzy, które nas otaczają? Być może zapamiętanie, z jakim oddajemy się tu, na Ziemi, całej tej permanentnej, szaleńczej szarpaninie (co, na szczęście, nie przeszkodziło nam w budowie teleskopu Webba i w wielu innych niezwykłych osiągnięciach), ma tę właśnie bazową funkcję psychologiczną: odwraca naszą uwagę od przepastnych czeluści, które zieją nam nad głowami? I które – w sensie zarówno dosłownym, jak i metaforycznym – w naszych głowach się nie mieszczą?

Niezależnie od tego jednak, jak się w tych kwestiach sprawy mają, myślę, że od kontemplacji tych niesamowitych obrazów pozyskanych przez teleskop Webba powinny rozpoczynać się każdorazowo obrady wszystkich parlamentów świata. Przed podjęciem każdej poważnej decyzji zasiadać przed nimi powinni politycy, wojskowi, miliarderzy, duchowni, dyrektorzy wielkich korporacji, słowem, wszyscy ci, którzy na kształt rzeczywistości ziemskiej mają jakikolwiek wpływ. Nie od dzisiaj wiadomo, że spoglądanie na świat *sub specie aeternitatis* – z perspektywy wieczności – daje szansę na gruntowną wewnętrzną przemianę. Bez wątpienia nam wszystkim – zatopionym w politycznych, ekonomicznych i tożsamościowych antagonizmach i wojnach – by się ona teraz przydała.

Choć oczywiście – są to tylko pobożne życzenia. No chyba że teleskop Webba odsłoni kiedyś jakieś jeszcze bardziej radykalne rewelacje. Acz doprawdy trudno wyobrazić sobie coś bardziej radykalnego niż zdjęcie wszechświata sprzed trzynastu i pół miliarda lat. ©

OGŁOSZENIA

W Sądzie Rejonowym w Sanoku pod sygn. akt I Ns 220/22 toczy się postępowanie z wniosku małoletnich Szymona Biskup i Maxa Krasowskiego o stwierdzenie nabycia spadku po Katarzynie Wioletcie Biskup c. Jerzego i Grażyny, urodzonej 14 lipca 1979 r. w Sanoku, zmarłej 31 maja 2017 r. w Rotterdamie, mającej miejsce stałego pobytu w Sanoku.

Wzywa się spadkobierców zmarłej , aby w terminie 3 miesięcy od dnia ukazania się niniejszego ogłoszenia zgłosili swój udział w postępowaniu i udowodnili swoje prawa do spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w stwierdzeniu nabycia spadku.

Przed Sądem Rejonowym w Mińsku Mazowieckim, Wydział I Cywilny, na skutek wniosku Gminy Miasta Sulejówek, toczy się pod sygnaturą I Ns 606/21 postępowanie o stwierdzenie zasiedzenia własności nieruchomości położonej w Sulejówku, w obrębie 0048, składającej się z działek oznaczonych w ewidencji gruntów numerami: 7 o powierzchni 0,1906 ha i 154 o powierzchni 0,0194 ha.

Sąd wzywa zainteresowanych, a w szczególności spadkobierców Teofila Fabianowicza, aby w terminie trzech miesięcy zgłosili się do tutejszego Sądu, gdyż w przeciwnym razie Sąd stwierdzi zasiedzenie, jeżeli zostanie ono udowodnione.

56 lat temu nad Bałtykiem

PIERWSZA W POLSCE (i pierwsza w kraju komunistycznym) konferencja Pugwash odbyła się od 11 do 16 września 1966 r. Uczestniczyło w niej 80 naukowców z 23 krajów, obserwatorzy z ramienia ONZ i politycy, jak Henry Kissinger (wówczas doradca ds. bezpieczeństwa różnych agencji rządowych w USA; od 1969 r. najpierw doradca ds. bezpieczeństwa narodowego, a w latach 1973-77 sekretarz stanu USA).
W przerwach uczestnicy wdychali jod i patrzyli na błękit morza – zjazd miał miejsce w słynnym sopockim Grand Hotelu.
Przewodniczącym komitetu organizacyjnego konferencji był prof. Ignacy Adamczewski, a sekretarzem ówczesny doktor (dziś profesor) Wiesław Wojnowski, specjalista w dziedzinie chemii nieorganicznej z Politechniki Gdańskiej.
Konferencja Pugwash w sprawie Nauki i Problemów Światowych to międzynarodowy ruch uczonych na rzecz rozbrojenia atomowego, działający do dziś. Powstał on w 1957 r. w kanadyjskiej miejscowości Pugwash, gdzie spotkało się 22 naukowców z obu stron żelaznej kurtyny. Inspiracją był dla nich słynny antywojenny Manifest Einsteina-Russella, wzywający rządy świata do szukania „pokojowych środków w rozwiązywaniu wszystkich kwestii spornych".
Jednym z sygnatariuszy Manifestu był Józef Rotblat (1908-2005), polski fizyk żydowskiego pochodzenia, który podczas II wojny światowej w ramach amerykańskiego „Projektu Manhattan" pracował przy budowie pierwszej bomby atomowej. To właśnie on – przerażony destrukcyjnymi możliwościami broni atomowej – stworzył pokojowy ruch Pugwash, był jego duszą i motorem. Rotblat starał się, aby ruch pozostał apolityczny i nie stał po żadnej stronie zimnej wojny.
W 1982 r. konferencja Pugwash odbyła się w Warszawie, choć w owym czasie w PRL trwał stan wojenny. Uczestnikom zarzucano, że nie odnieśli się do faktu, iż 31 sierpnia 1982 r. władze PRL brutalnie stłumiły demonstracje w całej Polsce (w Lubiniu zginęły trzy osoby), i że do oficjalnych dokumentów nie włączono listu sowieckiego fizyka jądrowego i dysydenta Andrieja Sacharowa, w którym krytykował Związek Sowiecki. Dziennik „New York Times" pisał wtedy, że tak wygląda „dialog z kneblem". Uczestnicy spotkania tłumaczyli, że chcieli być neutralni i „podtrzymać kanały komunikacji nawet w najgorszych chwilach".
Naukowcy skupieni w ruchu Pugwash pośredniczyli między Wschodem a Zachodem w czasie ostrych faz zimnej wojny. Ich nieformalne działania były pomocne tam, gdzie o oficjalnych rozmowach nie mogło być mowy. Dzięki Pugwashowi rozpoczęto negocjacje między USA a Wietnamem Północnym, ruch miał też wpływ na rozmowy między USA a Związkiem Sowieckim w sprawie ograniczenia zbrojeń strategicznych SALT1 i SALT2.
Uważa się również, że to właśnie ruch Pugwash doprowadził do zawarcia traktatu z Tlatelolco z 1967 r. (ustanawiał on strefę bezatomową na obszarze Ameryki Łacińskiej i Karaibów), traktatu ABM z 1972 r. między USA a Związkiem Sowieckim (o ograniczeniu rozwoju systemów antybalistycznych), konwencji o zakazie broni biologicznej z tego samego roku czy konwencji o zakazie broni chemicznej z 1993 r. W roku 1995 Rotblat i ruch Pugwash zostali uhonorowani Pokojową Nagrodą Nobla.

Profesor Wojnowski opowiedział nam o kulisach sopockiej konferencji, jak wyglądały w realiach konfliktu Wschód-Zachód próby rozmawiania o pokoju, w tym o inwigilacji ze strony służb PRL.
© AK

HISTORIA

GOŁĘBIE POKOJU W SOPOCKIM GRANDZIE

WIESŁAW WOJNOWSKI:

Popieram działania pokojowe, ale nie za wszelką cenę.

ARCHIWUM PRYWATNE

ALEKSANDRA KOZŁOWSKA: Jak został Pan organizatorem sopockiego spotkania ruchu Pugwash?

PROF. WIESŁAW WOJNOWSKI: Zaproponował mi to prof. Ignacy Adamczewski, cieszący się estymą specjalista od ciekłych dielektryków i fizyki jądrowej. Był dziekanem Wydziału Chemii na Politechnice Gdańskiej. Z sekretarzem generalnym ruchu Pugwash, Józefem Rotblatem, znał się jeszcze sprzed II wojny światowej – Rotblat należał wtedy do zespołu Pracowni Radiologicznej Towarzystwa Naukowego Warszawskiego. Pracownią kierował prof. Ludwik Wertenstein, prekursor polskiej fizyki jądrowej, były asystent Marii Skłodowskiej-Curie.

Wybór Sopotu na miejsce XVI konferencji Pugwash był, jak przypuszczam, gestem uhonorowania prof. Adamczewskiego ze strony Rotblata. A ja? Myślę, że ktoś mu wspomniał, iż jestem tzw. dobrze zapowiadającym się chemikiem. Miałem 33 lata, byłem młodym doktorem. Poza tym znałem angielski i niemiecki, co w tym czasie nie było oczywiste.

Słyszał Pan wcześniej o Pugwashu?

Mało o tym wiedziałem, nie znałem też Rotblata. Od sierpnia 1939 r. mieszkał on w Anglii, potem w Stanach

Uczestnicy konferencji Pugwash przed sopockim Grand Hotelem, 1966 r.

i znów w Anglii, dzieliła nas żelazna kurtyna. Zobaczyłem go dopiero na konferencji w Sopocie.

XVI Konferencja ruchu Pugwash odbyła się w cieniu wojny w Wietnamie. „Dziennik Bałtycki" pisał wtedy, że to „spotkanie najwybitniejszych autorytetów nauki światowej" toczyło się pod hasłem „Pracownicy nauki wobec współczesnych problemów międzynarodowych". Obradowano w czterech grupach. W pierwszej o rozbrojeniu i ograniczeniu zbrojeń nuklearnych w Europie oraz o idei paktu o nieagresji między NATO a Układem Warszawskim. W drugiej głównie o Niemczech, w trzeciej o całkowitym i powszechnym rozbrojeniu, szczególnie o Wietnamie, a w czwartej o ograniczeniu zbrojeń. Brał Pan udział w tych dyskusjach?

Nie, byłem głównym człowiekiem od większych i mniejszych spraw organizacyjnych, a od początku miałem ich dziesiątki. Zwyczajnie brakowało mi czasu na debaty.

Jakie znaczenie miały wtedy dla Pana działania pokojowe? „Walka o pokój" była jednym z haseł w krajach komunistycznych, a to, co narzucane przez partię, budziło nieufność. Do dziś zresztą – jak mówi Adam Daniel Rotfeld w książce Marka Górlikowskiego „Noblista z Nowolipek. Józefa Rotblata wojna o pokój" – kilku wybitnych polskich fizyków uważa, że Pugwash był sterowany przez Moskwę.

Urodziłem się w roku 1933, przeżyłem II wojnę. To oczywiste, że byłem za zachowaniem pokoju. Działania Pugwash rzeczywiście mogły służyć Związkowi Sowieckiemu, ale bardzo wątpię, by Józef Rotblat był w to „sterowanie" zaangażowany.

Polski Komitet Narodowy Pugwash liczył wtedy 25 członków, jego przewodniczącym był prof. Ignacy Malecki, a honorowym przewodniczącym prof. Leopold Infeld.

Konferencja odbywała się pod egidą Polskiej Akademii Nauk, prof. Malecki był zastępcą sekretarza naukowego PAN. Przygotowania zaczęły się blisko rok wcześniej. Początkowo sekretarzowałem u siebie w laboratorium na chemii, działałem we współpracy z PAN. Potrzebowałem tłumaczy, maszynistek znających angielski, powielaczy – wtedy każdy z nich był pod kontrolą państwa. Papieru na szczęście było pod dostatkiem, co prawda takiego marnego, żółtego, no ale zawsze. Anglojęzyczne maszynistki miały Polskie Linie Oceaniczne. Pomógł je ściągnąć prof. Tomasz Biernacki, sam je ↦

↦ też z angielskiego egzaminował. Zresztą PLO nie miały wyjścia, musiały się zgodzić. Konferencja była wydarzeniem prestiżowym, miała priorytet. Oto do jednego z „demoludów" przyjeżdżają uczeni z całego świata, w tym nobliści.

Właśnie. Jest okazja, by pokazać kraj miodem i socjalizmem płynący. Do Sopotu Rotblat zaprosił 26 polskich członków PAN, w tym Leopolda Infelda, fizyka i współpracownika Alberta Einsteina, a także Mariana Danysza, też fizyka, wtedy już dwukrotnie nominowanego do Nobla, filozofa Tadeusza Kotarbińskiego, światowej sławy profesora prawa Manfreda Lachsa. O zjeździe piszą gazety, przemówienie powitalne wygłasza Eugeniusz Szyr, wicepremier PRL…

Otóż to. Dlatego organizacja wydarzenia musiała być na najwyższym poziomie. Stąd sekretarki z PLO. Oczywiście władze każdą z nich wcześniej skontrolowały. Mojej sekretarce proponowano współpracę ze Służbą Bezpieczeństwa. Odmówiła i odeszła z pracy.

Pan nie dostawał takich ofert?

Nie. Ani razu. Przez cały ten okres żadne służby się do mnie nie zgłaszały. Miałem jedynie kontakt z Józefem Węsierskim z Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Sopocie, którego pierwszy sekretarz KW wyznaczył do pomocy, oraz z Piotrem Stolarkiem, przewodniczącym Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej. Dużo załatwiał PAN, np. rządowe czarne wołgi na potrzeby uczestników konferencji. Też nieraz ich potrzebowałem. Na co dzień tylko tramwaj, a tu proszę – pan doktor w czarnej wołdze (*śmiech*).

Rotblat, ówczesny sekretarz generalny ruchu, przy okazji zjazdu w Sopocie mówił „Trybunie Ludu": „Pugwash jest dziwną instytucją. Nie ma w niej żadnych reguł. Każdy z zaproszonych uczestników reprezentuje własne zdanie, zgłasza własną kandydaturę do komisji, której tematyka go najbardziej interesuje". Jednak przynajmniej jedna reguła obowiązuje do dziś: obrady są tajne, ważna jest swoboda wypowiedzi, ujawnia się jedynie raporty końcowe. Ale dla służb to żadna przeszkoda. Pugwashowcy w Sopocie poddani byli całkowitej inwigilacji SB. Na zachodnich i wschodnich kolegów donosili członkowie polskiego Pugwash, tłumacze, sekretarki, a w hotelu założono podsłuchy.

ARCHIWUM PRYWATNE

Drugi od prawej Józef Rotblat, obok niego w środku prof. Ignacy Malecki, następny Piotr Stolarek. Sopot, 1966 r.

To było oczywiste. Choć milicji nie było widać w pobliżu Grand Hotelu, tajniacy z pewnością byli, działali jednak niewidocznie. Wszyscy uczestnicy zostali tam zakwaterowani, ja też dostałem pokój na ostatnim piętrze. Dla pozostałych gości hotel zamknięto.

Pamiętam wieczór niedługo przed otwarciem konferencji. Wtedy już działał sekretariat w hotelu, osiem czy dziesięć sekretarek, a ja odpowiadałem za całość. Siedziałem więc w tym sekretariacie, drzwi zostawiłem otwarte. Wtem widzę, że ktoś idzie korytarzem. To był Piotr Stolarek. „Patrzę, czy o pokój walczycie. Ale może tu jest jakaś bomba?" – zażartował. Tak naprawdę sprawdzał stan toalet, żeby nie było wstydu przed gośćmi.

Do niego należało też zaproszenie partyjnych szych i lokalnych notabli, dyrektorów poczty, stoczni i innych zakładów na przyjęcie wydawane w Ratuszu Staromiejskim na cześć uczestników konferencji. Zaproszenia trzeba było każdemu dostarczyć przez gońca. Z pakietem zaproszeń poszedłem do towarzysza Węsierskiego, by zatwierdził listę gości. Jedno z zaproszeń kazał mi wyrzucić. Było dla dyrektora głównej poczty w Gdańsku. „Przez niego dostało mi się od szefa, nie zapomnę mu tego" – powiedział. Zemsta faktycznie okrutna. Bo gość będzie widział, że wszyscy dostali zaproszenie, a on nie. Co to znaczy? Czym się naraził? Co teraz z nim będzie?

Czym się naraził dyrektor poczty?

Jakiś czas przed konferencją złożyłem wniosek o założenie telefonu domowego. Czekałem i czekałem, nic z tego. Aż zaczęliśmy przygotowywać zjazd Pugwashu i prof. Malecki próbował się ze mną skontaktować. Na Politechnice już mnie nie było, w domu nie miałem telefonu. No i Malecki zgłosił do KW PZPR, że to skandal, że do sekretarza konferencji nie można się dodzwonić. W KW objechali Węsierskiego, że nie dopilnował, a on z kolei pewnie uważał, że to wina szefa poczty. Stąd jego zemsta. Mieszkałem tu, gdzie dziś rozmawiamy, w czteropiętrowym bloku w Gdańsku-Oliwie. Wtedy dom niedawno zbudowano, nie było jeszcze podciągniętych kabli. Po interwencji w try miga zjawili się monterzy, słupy wkopali, linie pociągnęli.

Czyli przy okazji Pugwashu dostał Pan telefon.

Tak, działa do dziś. To ten stacjonarny, na który pani dzwoniła, żeby umówić się na wywiad. Wtedy trudno było się za granicę dodzwonić, dostałem więc jakiś priorytet. Zapomnieli potem o nim, długo jeszcze go trzymałem (*śmiech*).

A wracając do bankietu w ratuszu. Stoły aż się uginały. Jak na owe czasy przepych dań był ogromny. Wielka atrakcja, bo trudności w zaopatrzeniu mocno już ludziom doskwierały. Partyjni nominaci nie czekali. Prof. Malecki przemawiał, a ci tak się rzucili na jedzenie, że tylko sztućce dzwoniły. Z kolei tylko dla uczestników konferencji odbyło się przyjęcie w Malborku. Najpierw zwiedzanie zamku, potem obiad w wielkiej sali, specjalnie z tej okazji napalono w ozdobnych kaflowych piecach.

Był jeszcze obiad w restauracji Pod Nogatem dla władz Pugwashu. Niewiele osób, wybrane grono. Siedziałem z Kissingerem i jego dwoma młodymi sympatycznymi doradcami. Jeden dał mi na pamiątkę srebrną monetę, półdolarówkę z Kennedym. Ówczesny prezydent USA Lyndon B. Johnson, następca Kennedy'ego, tak jak poprzednik wspierał program Apollo – serię lotów kosmicznych, a ja się tym interesowałem.

Rozmawialiśmy o tym, a w tym czasie drugi doradca pracowicie podliczał rachunek, który kelner przyniósł dla nas, organizatorów, do rozliczenia. Okazało się, że sporo do niego dopisał. Brzydka sprawa. Musiałem interweniować. Natomiast zastępca U Thanta, ówczesnego sekretarza generalnego ONZ, poskarżył się, że został oszukany w hotelowym barze Karo. Spędził tam wieczór przy koniaku, uważał, że zapłacił za dużo. Nie miał jednak racji – ceny faktycznie były wysokie. Przeprosił za to posądzenie.

Musiał Pan być dyplomatą i negocjatorem.

Była też afera z włoskim, o ile pamięć mnie nie zawodzi, profesorem weterynarii, którego na plaży pogryzł pies. Najpierw trzeba było odnaleźć zwierzaka – czym skutecznie zajęły się służby. Okazało się, że pies nie był szczepiony. Pojechaliśmy więc wołgą z nim i jego roztrzęsioną właścicielką do lecznicy. Pogryziony profesor oznajmił, iż wystarczy, że spojrzy psu w oczy, i będzie wiedział, czy jest chory na wściekliznę. I tak zrobił. Uznał, że kundel jest zdrowy, i było po sprawie. Sam zaś nie musiał brać serii bolesnych zastrzyków.

O wszystkim tym opowiadałem prof. Adamczewskiemu. Radziłem się go, gdy pojawiał się większy problem. Np. taki, że władze chciały zorganizować koncert organowy w oliwskiej katedrze, specjalnie dla uczestników forum. Ale w 1966 r. stosunki państwo-Kościół były napięte, biskup nie chciał mieć nic wspólnego z KW PZPR. Najpierw poszedł go przekonywać prof. Adamczewski. Bez skutku. Wymyśliłem więc, że pójdę do biskupa z dr. Andrzejem Januszajtisem, dziś profesorem, fizykiem i znawcą muzyki oraz gdańskiej historii, w tym oliwskich organów. Januszajtis nie zawiódł: z pasją opowiadał o zabytkowym instrumencie, dokumentnie podbił serce biskupa, ten bez oporów zgodził się na koncert. I jeszcze

DOMENA PUBLICZNA / WIKIPEDIA

Prof. Wiesław Wojnowski, 2003 r.

w drzwiach katedry przywitał uczestników konferencji.

Z Józefem Rotblatem też się Pan spotykał?

Podczas konferencji stale współpracowaliśmy. Chodziło o bieżące sprawy, napisanie komunikatów itp. Bardzo to przeżywał, przecież to była pierwsza konferencja Pugwashu w Polsce. Musiałem wszystkiego organizacyjnie dopilnować, dopiero po jakimś czasie poczułem, w czym uczestniczyłem. Rotblat pokazał mi, co przeforsowali, niektóre osoby trzeba było przekonywać do złożenia podpisów.

Jeden z wniosków konferencji mówił, że komunistyczne Chiny powinny uzyskać prawa w ONZ. Natomiast sprawa Wietnamu pozostała nierozstrzygnięta. Agencja PAP przytoczyła oświadczenie Stałego Komitetu Pugwash, że „dokonano wszechstronnej i szczerej wymiany poglądów, jednakże konferencja nie zdołała osiągnąć zgodnych konkluzji w sprawie przyczyn i charakteru tej wojny, ani też w sprawie sposobów położenia kresu temu niebezpieczeństwu i tragicznemu konfliktowi". Niezależnie od tego, trudno nie szanować wysiłków naukowców na rzecz światowego pokoju. W 1996 r. Rotblat napisał: „Uczony nie może uchylić się od odpowiedzialności i szukać schronienia za hasłami: Nauka jest neutralna". Co Pan myśli o tej odpowiedzialności?

Nie mogę dać jednoznacznej odpowiedzi. Trzeba to wyważyć. Fizycy z „Projektu Manhattan" działali z pobudek patriotycznych. Spieszyli się z budową bomby atomowej, bo powszechnie obawiano się, że Niemcy skonstruują ją pierwsi. Na ogół badania prowadzi się dla celów poznawczych, ale podczas wojny dużo się zmienia. Moich badań nie wykorzystano dla celów wojskowych, jednak gdy w grę wchodziłaby obrona ojczyzny, zastanowiłbym się. To poważny dylemat.

Czy po konferencji utrzymywał Pan kontakt z Rotblatem?

Po zakończeniu zjazdu Rotblat przyszedł do mojego biura. Wręczył mi fotografię z dedykacją i podziękowaniem. Za pracę przy konferencji nie dostałem ani złotówki, ale to zdjęcie cenię sobie wyżej niż pieniądze. Dostałem też od niego butelkę Johnny Walkera, długo ją trzymałem. W Gdańsku nikt nie prosił o żadne sprawozdania – pewnie i tak mieli wszystko przez podsłuchy.

Śledzi Pan działania ruchu Pugwash?

Od przypadku do przypadku. Bardziej interesowało mnie, co tam u Rotblata słychać. To on był duszą i motorem tego ruchu, idei rozbrojenia ponad podziałami.

Gdy Rosja zaatakowała Ukrainę, Pugwash opublikował oświadczenie sygnowane przez prezydenta ruchu Sergia Duarte i sekretarza generalnego Paola Cottę Ramusino. Wzywają do natychmiastowego zawieszenia broni i całkowitego wycofania z Ukrainy „wszystkich obcych sił zbrojnych i obcych instalacji wojskowych", ale też zalecają „uznanie autonomii regionu Donbasu na Ukrainie w zakresie samorządności i tożsamości językowej oraz uznanie Krymu za część Federacji Rosyjskiej" oraz po wycofaniu wojsk rosyjskich z Ukrainy zniesienie sankcji wobec Rosji. Według Pugwashu Ukraina powinna pozostać neutralna, nie powinna zabiegać o wejście do NATO. Jak Pan to skomentuje?

Popieram działania pokojowe, ale nie za wszelką cenę. Ukraina została brutalnie zaatakowana, wcześniej siłą zajęto Krym, zaanektowano i utworzono „autonomiczne" republiki w Donbasie. Ukraina ma pełne prawo do obrony swojej suwerenności, a oświadczenie Pugwashu jest jakoś zbieżne z polityką Putina. Zastanawiam się, czy byłoby takie, gdyby to Rotblat był prezydentem ruchu. Znając go, powątpiewam.

© Rozmawiała ALEKSANDRA KOZŁOWSKA

WSZYSTKO O MOJEJ MACCE

Niektórzy twierdzą, że ośmiornice mają dwa mózgi – jeden w głowie, drugi rozproszony w całym ciele. Faktem jest, że ich ramiona wykazują dużą autonomię. I wciąż kryją wiele zagadek.

DANIEL KOZŁOWSKI

ANDREA IZZOTTI / ADOBE STOCK

Co łatwiej kontrolować: sznurek trzymany za jeden koniec czy kij od szczotki? To nieco dziwne pytanie oddaje sedno problemu, z którym muszą zmagać się mózgi kontrolujące ruchy zwierząt. Luźny sznurek będzie wykręcał zawijasy i często nie trafi celu, gdy będziemy chcieli dotknąć jego końcem jakiegoś obiektu. Inaczej z kijem. Jednym sprawnym ruchem możemy nadać tyczce prawidłową trajektorię. Tylko co to wszystko ma wspólnego z mózgiem?

Pomyślmy o tym, jak wykonujemy ruchy. Gdy chcemy sięgnąć po kubek stojący na stoliku, górna część ręki prostuje się w ramieniu, „celując" w stronę kubka. Zaraz za nią w łokciu prostuje się dolna część ręki, dzięki czemu zasięg naszego chwytu wydłuża się i możemy złapać kubek dłonią. Co ważne, ręka prostuje się tylko w kilku miejscach – w stawach ramiennym i łokciowym; nadgarstek i palce wykonują dodatkowy chwytny ruch. Ograniczenie manipulowania kończyną znacząco upraszcza sytuację. Te kilka stawów określa liczbę „stopni swobody", które mózg musi kontrolować (choć to wciąż wymaga wysyłania i odbierania sygnałów z ogromnej liczby komórek mięśniowych).

Jednak co by było, gdyby nasza ręka była bardzo elastyczna – np. gdyby usunąć z niej wszystkie kości? Nam, kręgowcom, trudno to sobie wyobrazić, ale przecież istnieje grupa zwierząt posiadających osiem gibkich kończyn. W przypadku ośmiornic liczba stopni swobody macek wydaje się nieograniczona! Czy to oznacza, że także zakres ruchów ośmiornicy jest nieograniczony?

Germán Sumbre z Uniwersytetu Kalifornijskiego w Berkeley i współpracownicy w eksperymencie opisanym w 2005 r. w „Nature" analizowali, w jaki sposób ośmiornica wprowadza pokarm do ust. Po chwyceniu pokarmu, co wymagało rozprostowania całej kończyny, nie wykonywała ona przypadkowych czynności, lecz wyginała mackę w kilku konkretnych miejscach. Tak ułożona macka przypominała zgiętą kończynę kręgowca – także rękę człowieka.

Moglibyśmy pomyśleć, że po chwyceniu pokarmu ośmiornica po prostu wygina mackę w łuk albo przyciąga do siebie całą kończynę. Zamiast tego manipuluje nią podobnie jak my, gdy zginamy rękę w łokciu. Czy to tylko przypadek, czy raczej argument za tym, że w przyrodzie najlepiej sprawdzają się kończyny ograniczone kilkoma stopniami swobody – tak u kręgowców, jak i bezkręgowców? Na to pytanie trudno jednoznacznie odpowiedzieć, ale możemy szukać innych podobieństw i różnic między naszymi ruchami a ruchami ośmiornic.

Pisanie gorszą ręką

Gdy nauczymy się wykonywać pewne czynności jedną ręką, zwykle nie przychodzi nam z łatwością wykorzystanie drugiej, mniej sprawnej ręki w tym samym celu. Raczej nie możemy stwierdzić czegoś podobnego o ośmiornicach, które w specjalnie przygotowanym eksperymencie musiały nauczyć się, gdzie schowana jest nagroda.

Tamar Gutnick z Uniwersytetu Hebrajskiego w Jerozolimie i współpracownicy chcieli zobaczyć, czy bodźce z peryferyjnych części ciała są przesyłane do centralnego układu nerwowego. Tam miałoby następować uczenie się – powiązanie „wymacanej" lokalizacji z nagrodą. Czy informacja o pozycji własnego ciała (określana jako propriocepcja) jest wystarczająca, by zapamiętać położenie nagrody? A może ośmiornica potrafi zapamiętać, jaki rodzaj powierzchni, której dotykała podczas eksploracji, prowadzi do jedzenia?

Wyobraźmy sobie, że ktoś każe nam poszukać z zamkniętymi oczami kubka na stole. Kiedy już go znajdziemy i będziemy chcieli po chwili sięgnąć po niego ponownie, prawdopodobnie zrobimy to szybciej niż za pierwszym razem. Być może nie trafimy dokładnie w to samo miejsce, ale będziemy blisko. Podobne zadanie stało przed ośmiornicami. Naukowcy stworzyli labirynt, do którego zwierzę mogło włożyć jedną, dowolną mackę. Przedsionek labiryntu rozwidlał się na dwie części. Na ich końcach znajdowały się komory, z których jedna zawierała dostępne jedzenie, a w drugiej nagroda była umieszczona za siatką, więc zwierzę nie mogło się do niej dostać.

Eksperyment miał dwa warianty. W pierwszym ściany ramion labiryntu były nie do odróżnienia, a nagroda znajdowała się zawsze w tej samej komorze. Zwierzę musiało więc wykorzystać informację o tym, w którą stronę eksploracja macką zaowocowała nagrodą (konieczne było zapamiętanie pozycji własnego ciała). W drugim wariancie położenie nagrody mogło się zmieniać – mogła raz trafić do lewej komory, innym razem do prawej – ale tym razem ściany poszczególnych części labiryntu różniły się teksturą. Jedna była chropowata, a druga gładka, i za każdym razem w danej części, np. chropowatej, znajdowała się komora z jedzeniem. Każdego dnia sprawdzano, ile razy ośmiornice trafiły na poprawną komorę.

Wszystkie badane osobniki nauczyły się sięgać po nagrodę w obu wariantach eksperymentu. Oznacza to, że i bodźce o położeniu macki względem ciała, i bodźce dotykowe informujące o rodzajach powierzchni mogły zostać przesłane do mózgu, tam powiązane z nagrodą i zapamiętane. Zwykle też nie miało znaczenia, które ramię eksploruje labirynt. Zazwyczaj ośmiornice używały wielu kończyn w różnych próbach eksperymentu i rzadko dało się zauważyć preferencję względem którejś z nich. Co jednak ciekawe, niektóre osobniki w ostatnim dniu eksperymentu potrafiły sięgnąć po nagrodę w odpowiedniej komorze, wykorzystując mackę, której wcześniej nie używały w tym celu. To mogłoby oznaczać, że wyuczona sytuacja nie jest powiązana z żadną z poszczególnych macek, lecz ośmiornica może zapamiętać pewne cechy środowiska i użyć dowolnej kończyny, by uzyskać cel.

Drugi mózg

Można by zakładać, że w kontroli nad ruchami ośmiornicy pomocne będą informacje wzrokowe – my sami nie tylko łatwiej chwycimy kubek z otwartymi oczami, ale nie musimy przy tym dokładnie obserwować, po jakiej trajektorii porusza się nasza ręka. Jednak wiele eksperymentów sugerowało, że ośmiornice mają trudności z wykorzystywaniem informacji wzrokowych do „dostrajania" ruchów poszczególnych macek.

Było to dość zagadkowe. Sporą część centralnego układu nerwowego ośmiornic stanowi płat wzrokowy – ten zmysł musi więc być bardzo ważny dla ich funkcjonowania. Ośmiornice mają też narządy wzroku bardzo zbliżone w budowie i działaniu do oczu kręgowców. Identyfikujemy u nich takie struktury, jak tęczówkę, siatkówkę, soczewki, fotoreceptory, nerw wzrokowy – wszystko to znamy z podręczników do anatomii człowieka. Ale dostrzegamy też interesujące różnice. ↦

Wybrzeże Włoch, czerwiec 2016 r.

↦ Jedna dotyczy sposobu, w jaki skupiamy wzrok, aby widzieć obiekty z dobrą rozdzielczością. My wykorzystujemy mięśnie zewnętrzne gałki ocznej, które zmieniają kształt soczewki (przez co światło załamuje się trochę inaczej). Ośmiornice zaś stosują metodę znaną użytkownikom kamer i teleskopów – przesuwają soczewki w różnych pozycjach, by odpowiednio skupić światło na siatkówce. Inna różnica dotyczy plamki ślepej, której pozbawione są ośmiornice – ich nerw wzrokowy łączy się z siatkówką tak, że nie narusza jej struktury (dzięki temu, inaczej niż u nas, na całej powierzchni siatkówki ośmiornicy obecne są światłoczułe komórki). Dlatego mózg ośmiornicy otrzymuje informacje o pełnym obrazie scenerii znajdującej się przed oczami, a nasz musi sam dorabiać obraz w maleńkim punkcie pola wzrokowego, odpowiadającym plamce ślepej.

Co jednak najważniejsze, u ośmiornic centralny układ nerwowy jest mniejszy od obwodowego układu nerwowego – liczba komórek, które tworzą ich mózg, jest dwukrotnie mniejsza od liczby komórek nerwowych zlokalizowanych w ciele. Niektórzy mówią wręcz, że ośmiornice posiadają „dwa mózgi" (jeden w głowie, drugi w ramionach). Sugerowano więc, że oba te systemy mogą nie być zbyt dobrze zintegrowane – byłoby to dla ośmiornic zbyt kosztowne obliczeniowo – i stąd biorą się ich problemy z dostrajaniem ruchów kończyn dzięki informacjom wzrokowym.

W eksperymencie opisanym w 2020 r. w „Current Biology" wspomnianej już Tamar Gutnick i współpracownikom udało się jednak w końcu udowodnić, że ośmiornice potrafią używać wzroku do naprowadzania swych elastycznych ramion. Badacze stworzyli kolejny labirynt, do którego zwierzę mogło włożyć tylko jedną mackę. Poprzez centralny tunel wejściowy ośmiornica wprowadzała mackę i przeszukiwała nią trzy odgałęzienia labiryntu. W jednym z nich mogła znaleźć pokarm. Aby poprawnie wykonać to zadanie i otrzymać nagrodę, musiała wykorzystywać wzrok.

Jak stwierdzono, że ośmiornica używa oczu, by pokierować macką? Gdyby nagroda zawsze znajdowała się w tej samej komorze, moglibyśmy podejrzewać wykorzystywanie propriocepcji i zapamiętywanie informacji o lokalizacji pokarmu (jak w pierwszym opisanym eksperymencie). Tym razem pokarm był umieszczany zawsze w innej, losowej komorze, więc zapamiętywanie, gdzie ostatnio znajdowała się nagroda, byłoby pozbawione sensu. Z kolei zapamiętanie, jak wygląda nagroda, by odróżnić ją od innych elementów środowiska, jest jak najbardziej na miejscu. A do tego potrzebny jest wzrok. I rzeczywiście, ośmiornice uczyły się, jak wygląda nagroda – dzięki temu mogły odpowiednio się ustawić i dostrzec ją przez przezroczyste ściany labiryntu – a potem zdecydować, jak pokierować macką, by nagrodę wydobyć. Gdy ściany labiryntu były nieprzezroczyste, ośmiornice nawigowały po nim zupełnie przypadkowo.

Zjadanie własnego ogona

Wróćmy jednak na peryferie ciała ośmiornicy i przyjrzyjmy się ponownie mackom. Nie są to bezwładne pacynki, którymi porusza ośmiornica aktor, lecz wyrafinowane narzędzia do badania świata. Każda pokryta jest zestawem przyssawek, które przyklejają się do wszystkich napotkanych powierzchni. Dzieje się tak nawet przez jakiś czas po amputacji macki! To oznacza, że mechanizm przyssania się jest niezależny od kontroli centralnego układu nerwowego.

Możemy zapytać, czy gdyby odcięta macka napotkała na inną mackę tego samego osobnika, to również przyssałaby się do niej? Z obserwacji wynika, iż tak się nie dzieje. W przeciwieństwie do macek innych osobników – ucięta kończyna szybko do nich przywierała. To ciekawe zjawisko może wyjaśniać obecnością jakiejś substancji chemicznej na skórze macki. Jeśli inna macka rozpozna ten związek jako „swój", zaniecha używania przyssawek.

Badano też, jak wobec amputowanej kończyny zachowa się żywa ośmiornica właścicielka macki. Zazwyczaj wolno pływająca w wodzie kończyna była traktowana jako pokarm (ośmiornice są znane z kanibalizmu) – zwierzę chwytało ją i kierowało do ust. Jednakże w przypadku chwycenia swojej utraconej macki na tym się kończyło. Zwierzę nie zjadało swojej części ciała.

Ucieleśnienie

Ośmiornice ze swoim „rozproszonym" układem nerwowym należą do ulubionych zwierząt zwolenników podejścia zwanego ucieleśnionym poznaniem. To paradygmat obecny w wielu dyscyplinach – filozofii, psychologii, ale także robotyce czy neuronaukach – który miewał swoje wzloty i upadki. Z perspektywy ucieleśnienia mózg nie jest po prostu dyspozytorem komend do innych części ciała. Istotne są interakcje między nim, resztą ciała i środowiskiem. To nie sam mózg wykonuje wszystkie obliczenia i podejmuje każdą niezbędną decyzję – niektóre kwestie pozostawia innym graczom układanki o nazwie organizm żywy.

Ośmiornice z pewnością świetnie pasują do takiej wizji. Jak pamiętamy, gdy sięgają po coś do jedzenia, ich ramiona zginają się w trzy segmenty przypominające kończynę z ruchomymi stawami. Te „stawy" są jednak chwilowe i nie zawsze powstają w tym samym miejscu. Dwa bliższe względem ciała segmenty są zawsze podobnej długości. Jak to możliwe, skoro miejsce powstawania zgięć jest różne? Czy mózg ośmiornicy wybiera konkretne lokalizacje w macce, by umożliwić taką konfigurację? Niekoniecznie. Badania z użyciem elektromiografu mierzącego aktywność elektryczną mięśni w macce pozwalają na stworzenie innego modelu. W momencie chwycenia obiektu powstają dwie fale aktywności mięśniowej – jedna w miejscu złapania pokarmu, na dalszym końcu macki, a druga u podstawy kończyny. Fale rozchodzą się do środka macki, a miejsce ich spotkania wyznacza, gdzie pojawi się środkowe ugięcie kończyny, czyli granica dwóch segmentów.

Wydaje się, że ten mechanizm nie potrzebuje żadnych sygnałów z mózgu – informacja z peryferyjnych części ciała jest wystarczająca. Dzięki temu część obowiązków, które zwykle przypisuje się centralnemu układowi nerwowemu, rezydującemu w głowie, zostaje przejęta przez same macki. To może znacząco uprościć przetwarzanie informacji zmysłowych przez mózg i daje nam odmienną perspektywę patrzenia na zachowanie zwierząt.

Nie musimy wcale widzieć organizmów jako odpowiadających na bodźce ze środowiska decyzjami podejmowanymi przez mózg, wielkie centrum obliczeniowe. To cały organizm, całe ciało bierze udział w generowaniu zachowania. Organizm – dynamiczny układ, w którym rozmaite podsystemy wykonują po cichu swoje zadania dla wspólnego celu: przetrwania.

© DANIEL KOZŁOWSKI

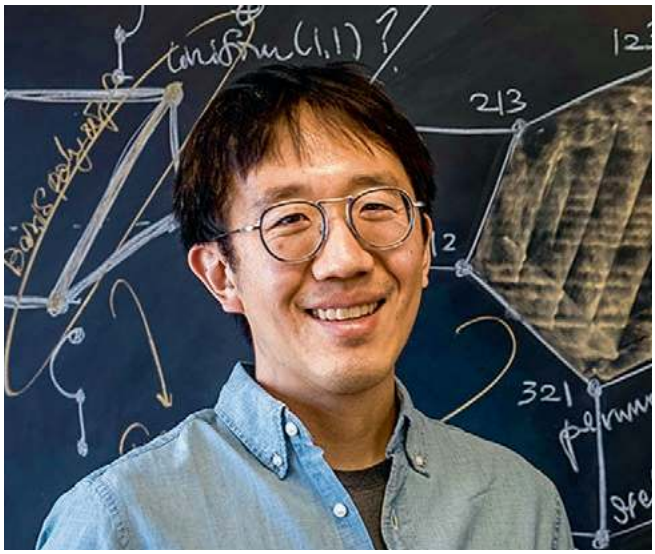

MATTEO FIENI / MATTEO FIENI / RYAN COWAN / LANCE MURPHEY // INTERNATIONAL MATHEMATICAL UNION

Hugo Duminil-Copin, Maryna Wiazowska, James Maynard, June Huh

Wybrańcy królowej nauk

TOMASZ MILLER

Poznaliśmy czworo laureatów Medalu Fieldsa, który utarło się nazywać „matematycznym Noblem". To jednak nietrafne określenie – Nagrodę Nobla zdobyć znacznie łatwiej.

Raz na cztery lata królowa nauk ma swoje święto. Celebruje się je podczas Międzynarodowego Kongresu Matematyków – największego cyklicznego wydarzenia w matematycznym światku. W tym roku miał się on odbyć w Petersburgu, ale rosyjska inwazja na Ukrainę zmusiła Międzynarodową Unię Matematyczną do zmiany planów. Kongres przeniesiono do sieci, ale nie w całości. Najważniejszy punkt programu – uroczystą ceremonię wręczenia Medali Fieldsa – zorganizowano ostatecznie po drugiej stronie Zatoki Fińskiej, w Helsinkach.

Medal Fieldsa, ufundowany równo 90 lat temu przez kanadyjskiego uczonego Johna Charlesa Fieldsa, to najbardziej prestiżowe wyróżnienie, jakie może spotkać matematyka. Choć porównuje się je do Nagrody Nobla, to jest między nimi więcej różnic niż podobieństw. Medal przyznawany jest bowiem co cztery lata (a nie co roku) w jednej tylko kategorii (a nie w pięciu). Otrzymują go dwie, trzy lub cztery osoby poniżej 40. roku życia, natomiast noblistów jest co najwyżej troje i nie obowiązują ich ograniczenia wiekowe. Jest też znaczna różnica pieniężna – każdemu złotemu krążkowi z profilem Archimedesa towarzyszy czek na 15 tys. dolarów kanadyjskich, podczas gdy nobliści w danej kategorii dzielą się kwotą 10 mln koron szwedzkich (przy obecnych kursach to odpowiednio ok. 55 tys. zł i 4,5 mln zł).

Obie nagrody łączy jednak to, że ich laureaci to absolutni mistrzowie w swoim fachu... nie, słowo „fach" nie oddaje w pełni dokonań tegorocznych medalistów. Bardziej pasuje „sztuka". ↦

Poezja struktur

↦ June Huh nie był zdolnym uczniem, a matematyka wcale go nie pociągała. Nie żeby nie lubił się uczyć – po prostu zupełnie nie mógł się odnaleźć w południowokoreańskiej szkolnej rzeczywistości. W wieku 16 lat rzucił szkołę średnią i postanowił zostać poetą. „Chciałem wyrażać to, co niewyrażalne", wspomina w jednym z wywiadów. „Później dowiedziałem się, że na swój sposób o to też chodzi w matematyce". Gdy literackie plany nie wypaliły, studiował fizykę i astronomię, ale bez większego przekonania.

Punktem zwrotnym okazały się zajęcia prowadzone przez Heisukego Hironakę, japońskiego medalistę Fieldsa z 1970 r. Podczas wykładów Hironaka szybko odchodził od standardowego, podręcznikowego materiału. Zamiast tego opowiadał o swoich bieżących pracach, o nierozwiązanych problemach i szkicach nowych twierdzeń. Większość studentów była przerażona, ale Huh – kompletnie oczarowany. Po raz pierwszy zetknął się z żywą, twórczą, nieoszlifowaną matematyką, która wciągnęła go bez reszty. Po kilku latach wytężonej nauki pod okiem Hironaki, który został jego mentorem, przyszły pierwsze naukowe sukcesy.

Huh zajmuje się kombinatoryką, czyli rozległym działem matematyki wyrosłym ze sztuki zliczania, na ile sposobów trzeba (lub da się) coś zrobić. Przykładowo: gdy umieścimy na płaszczyźnie *n* punktów tak, by nie leżały na jednej prostej, to ile co najmniej prostych musimy narysować, żeby każda para punktów leżała na którejś z nich? Choć brzmi to jak abstrakcyjna geometryczna łamigłówka, tego typu pytania naturalnie pojawiają się np. w teorii kodowania i w kryptologii. Huh zasłynął m.in. właśnie odpowiedzią na wielowymiarową wersję powyższego pytania, znaną pod nazwą hipotezy Dowlinga-Wilsona, z którą zmagano się ponad 40 lat.

W matematyce rzadko jednak chodzi o samą odpowiedź – ważniejsze są idee i narzędzia wypracowane po drodze, które dają wgląd w głębszą strukturę teorii. W swoich badaniach Huh znalazł i wciąż znajduje zadziwiające związki między kombinatoryką, geometrią i algebrą. Za pomocą języka jednej teorii potrafi mistrzowsko wyrazić to, co wcześniej było niewyrażalne w drugiej teorii. Dostrzega subtelne analogie między obiektami, a nawet – jak mawiał Stefan Banach – analogie między analogiami. To matematyczna poezja godna Medalu Fieldsa (powyżej).

INTERNATIONAL MATHEMATICAL UNION

Muzyka hipersfer

O tym, że przyznano jej Medal jako drugiej kobiecie w historii, Maryna Serhijiwna Wiazowska – kijowianka pracująca na Politechnice Federalnej w Lozannie – została powiadomiona już w styczniu. Radość przesłaniał jednak niepokój związany z pogarszającą się sytuacją u granic Ukrainy. Gdy zaczęła się wojna, sprowadziła do Szwajcarii swoje dwie siostry z dziećmi i każdego dnia bezskutecznie przekonywała rodziców i babcię, by także opuścili Kijów. Na szczęście nic im się nie stało, niemniej, jak wspomina Wiazowska w wywiadzie dla „Quanta Magazine", w rozmowach z nimi stałym gorzkim żartem stało się wspominanie „starych dobrych czasów pandemii".

Główny wynik, który przyniósł Wiazowskiej Medal Fieldsa, dotyczy tzw. optymalnego upakowania sfer. Historia tego problemu sięga 1611 r., gdy matematyk i astronom Johannes Kepler zastanawiał się, jak powinno się układać kule armatnie, by zajmowały jak najmniej miejsca. Kepler postawił hipotezę, że najoptymalniejsze ułożenie to czworościenna „piramidka", którą dziś możemy kojarzyć ze stoisk owocowo-warzywnych. Rozbudowując taką „piramidkę" na wszystkie strony przy użyciu nieskończenie wielu kul, zapełnimy przestrzeń trójwymiarową w ok. 74 procentach.

Cała sztuka polega jednak na tym, by udowodnić, że lepiej już się nie da. Hipoteza Keplera czekała na formalny dowód prawie 400 lat, aż pod koniec lat 90. dostarczył go Thomas Hales na 250 stronach żmudnego rozumowania, częściowo wspomaganego obliczeniami komputerowymi. W międzyczasie jednak matematycy podbili stawkę pytając, jak kwestia optymalnego upakowania przedstawia się w przestrzeniach o większej liczbie wymiarów niż trzy.

Podobnie jak w przypadku hipotez kombinatorycznych, które bada June Huh, także układanie wielowymiarowych „hipersfer" nie jest tylko zwykłą łamigłówką. Bezpośrednio wiąże się z teorią tzw. form modularnych – potężnych, wciąż słabo rozumianych obiektów przenikających kilka działów matematyki (a także fizyczną teorię strun). Stosuje się je również przy projektowaniu odpornych na zakłócenia protokołów transmisji danych.

Od lat na dowody czekają odpowiedniki hipotezy Keplera dla czterech, pięciu, sześciu i więcej wymiarów. W 2016 r., po dwóch latach zmagań, Wiazowskiej udało się rozgryźć przypadek 8-wymiarowy, a zaraz potem – już we współpracy z innymi uczonymi – przypadek 24-wymiarowy. Co ciekawe, opracowane przez nią narzędzia są matematycznie dużo bardziej przejrzyste niż te użyte przez Halesa. „Jej artykuł [o przypadku 8-wymiarowym] jest absolutnie oszałamiający", stwierdza Peter Sarnak, jeden ze specjalistów w tej dziedzinie. „To jedna z takich prac, od której nie możesz się oderwać, dopóki nie doczytasz do końca".

„Przynajmniej tego żaden tyran nam nie odbierze", mówi Wiazowska w cytowanym wywiadzie, „tej radości z uprawiania matematyki".

Choreografia perkolacji

Hugo Duminil-Copin długo nie mógł się zdecydować, czy chce zostać matematykiem czy fizykiem. Fascynowało go to, że fizyka opisuje wszechświat, ale z drugiej strony pociągało go surowe piękno i rygorystyczna nieodpartość matematycznych dowodów. Ostatecznie został więc fizykiem matematycznym, czyli – nieco wbrew nazwie – matematykiem zajmującym się strukturami stosowanymi w różnych teoriach fizycznych.

Studiował w paryskiej École Normale Supérieure – kuźni noblistów i medalistów Fieldsa – a doktorat pisał na Uniwersytecie Genewskim pod kierunkiem Stanisława Smirnowa, rosyjskiego medalisty Fieldsa z 2010 r. Smirnow został nagrodzony za wkład w matematyczne podstawy fizyki statystycznej, a w szczególności za prace z tzw. teorii perkolacji, w której to teorii Duminil-Copin „zakochał się", jak mówi, „od pierwszego wejrzenia".

W naukach przyrodniczych perkolacja to przesączanie się cieczy (zwykle wody) przez porowatą lub ziarnistą substancję – może to być gleba albo zmielona kawa. Oczywiście to, czy i jak szybko woda będzie się przesączać, zależy od tego, jak liczne i duże są szczeliny między ziarnami, a także od ciśnienia wody, napięcia powierzchniowego, rozpuszczalności substancji... Dlatego gdy matematycy mówią o perkolacji, mają na myśli pewne uproszczone, wyidealizowane modele tego zjawiska.

Nie miejsce tu na nawet pobieżne omawianie tych modeli – dość powiedzieć, że prace Duminila-Copina w ciągu dekady zrewolucjonizowały matematyczną teorię perkolacji. Wraz ze swoimi licznymi współpracownikami wypracował w jej ramach nowe modele, pojęcia i metody, czerpiąc zarówno z czystej matematyki, jak i z fizyki. Jak to ujmuje jeden z jego kolegów Wendelin Werner, „Hugo w zasadzie rozwiązał połowę otwartych problemów" w swojej dziedzinie. Ale zasiał także spory ferment poza nią – jego idee znacząco wzbogaciły nasze rozumienie przejść fazowych w sieciach złożonych, które odnoszą się do tak różnych układów, jak magnesy, ekosystemy, ziemski klimat czy internet.

Architektura liczb pierwszych

Najmłodszy spośród tegorocznych laureatów to 35-letni James Maynard – Anglik zajmujący się teorią liczb. To obok geometrii najstarsza dziedzina matematyki, skupiająca się zwłaszcza na liczbach pierwszych, czyli takich, które dzielą się tylko przez jedynkę i przez samą siebie. Choć matematycy badają je od tysięcy lat – np. już Euklides udowodnił, że jest ich nieskończenie wiele – wciąż nie potrafimy odpowiedzieć na wiele podstawowych pytań na ich temat.

Johannes Kepler zastanawiał się, jak poukładać kule armatnie, by zajmowały jak najmniej miejsca. **Maryna Wiazowska rozwiązała taki problem dla 8-wymiarowej przestrzeni.**

Jedno z takich pytań dotyczy tzw. liczb pierwszych bliźniaczych. Są to po prostu pary liczb pierwszych różniących się o 2, czyli np.: 3 i 5, 5 i 7, 11 i 13 itd. Nietrudno się przekonać, że im dalej na osi liczbowej, tym rzadziej napotykamy takie pary. Czy to jednak oznacza, że kiedyś się one kończą? Matematycy są zdania, że nie. Panuje przekonanie, że choć odstępy między liczbami pierwszymi robią się (średnio rzecz biorąc) coraz większe, to zawsze w końcu natrafimy na kolejną parę bliźniaków. Innymi słowy, według tzw. hipotezy liczb pierwszych bliźniaczych takich par jest nieskończenie wiele. Przez wieki nikt jednak nie miał sensownego pomysłu na dowód.

Przełom nastąpił w 2013 r., gdy trzech matematyków niemal jednocześnie i niezależnie (!) wykazało, że istnieje nieskończenie wiele par liczb pierwszych różniących się co najwyżej o pewną liczbę N. Pierwszy był amerykańsko-chiński badacz Yitang Zhang, którego dowód działa dla N równego 70 milionów. Drugi był James Maynard, który innymi, znacznie potężniejszymi metodami otrzymał analogiczny wynik dla N równego 600, później poprawiony do 246. Trzeci był Terence Tao – medalista Fieldsa z 2006 r. i jeden z najwybitniejszych żyjących matematyków. Co ciekawe, gdy Tao dowiedział się o pracy Maynarda, postanowił nie publikować swojego rezultatu, by nie odbierać uznania młodszemu koledze. „Zresztą", jak sam podkreśla, „wynik Jamesa był znacznie lepiej opisany i ciut mocniejszy od mojego". Co prawda nie dowodzi to jeszcze hipotezy liczb pierwszych bliźniaczych (ta wymaga N = 2), ale pozwala wierzyć, że i jej dowód jest w naszym zasięgu.

W kolejnych latach Maynard nie przestawał i wciąż nie przestaje zadziwiać, odsłaniając coraz to nowe detale arytmetycznego świata. Niedawno wspólnie z Dimitrisem Koukoulopoulosem rozwiązał 80-letni problem dotyczący przybliżania liczb niewymiernych wymiernymi (tzw. hipotezę Duffina-Schaeffera), a nieco wcześniej wykazał, że istnieje nieskończenie wiele liczb pierwszych, które nie zawierają danej cyfry (na przykład siódemki). To kolejny przykład „czegoś, nad czym ludzie zastanawiali się od bardzo dawna, ale nikt nawet nie zbliżył się do dowodu", tłumaczy jego były promotor z Oksfordu Roger Heath-Brown. „Wszyscy jesteśmy ciekawi, co jeszcze uda mu się zdziałać". © TOMASZ MILLER

W Sądzie Rejonowym w Jarosławiu I Wydział Cywilny pod sygn. akt I Ns 133/22 toczy się postępowanie z wniosku Romana Kudła i Anny Kudła z udziałem Adama Dziaduś, Danuty Nosek, Tomasza Kudła i Katarzyny Kudła o stwierdzenie nabycia w drodze zasiedzenia prawa własności nieruchomości położonych w Wierzbnej zapisanych na: Józefa Kuśnierza s. Antoniego, a oznaczonych ewidencyjnie jako działki:
- nr 88 o powierzchni 0,84 ha,
- nr 295 o powierzchni 0,33 ha zabudowana budynkiem mieszkalnym,
- nr 298 o powierzchni 0,13 ha,
- nr 299 o powierzchni 0,02 ha,
- nr 693 o powierzchni 0,5426 ha,
- nr 695 o powierzchni 2,17 ha,
- nr 723 o powierzchni 0,33 ha,
- nr 1479 o powierzchni 0,46 ha,
- nr 1493 o powierzchni 0,33 ha,

które to działki znajdują się obecnie w posiadaniu Romana Kudła.

Wzywa się wszystkie osoby zainteresowane, aby w ciągu 3 miesięcy od dnia ukazania się ogłoszenia zgłosiły się, gdyż w przeciwnym razie Sąd stwierdzi zgodnie z wnioskiem, jeżeli zostanie ono udowodnione.

Przed Sądem Rejonowym w Jarocinie Wydziałem I Cywilnym, przy ul. Wrocławskiej 6 toczy się pod sygnaturą I Ns 185/22 postępowanie z wniosku Andrzeja Zbigniewa Gintrowicza o stwierdzenie nabycia spadku po Bernardzie Zalewskim, zmarłym 10.01.2022 r., ostatnio zamieszkałym w Żerkowie. W skład spadku po zmarłym wchodzi udział w prawie własności zabudowanej nieruchomość położonej w Żerkowie.

Sąd wzywa spadkobierców zmarłego, aby w terminie trzech miesięcy od daty niniejszego ogłoszenia zgłosili się w Sądzie i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

OGŁOSZENIA

CO AUTOR MA NA MYŚLI

Zatruwamy kolejne pokolenia, gruntując w nich przekonanie, że literatura w szkole nie ma nic do zaoferowania, nie opowiada o ich sprawach ani o ich świecie. Jest ramotą długą oraz nudną.

GRZEGORZ JANKOWICZ

W dniu, w którym odbywała się tegoroczna matura z języka polskiego, miałem operację. Zanim trafiłem na salę zabiegową, wyciszyłem telefon. Kilka godzin później sięgnąłem po aparat, by poinformować bliskich o swoim stanie. Wyświetlacz pokazywał liczne nieodebrane połączenia i esemesy. Ułomki myśli krążyły wyłącznie wokół tego, co działo się w szpitalu, dlatego uznałem, że wszystkie te sygnały są świadectwem troski o moje zdrowie.

Przeczytałem pierwszą wiadomość: „Jak to jest być na maturze?". Drugą: „Teraz jak Mrożek będziesz musiał tych młodych ludzi przeprosić". Trzecią: „Nie wiem, czy Ci gratulować, czy raczej współczuć, ale w domu było poruszenie". Czwartą: „Czy ten Jankowicz od matury z polskiego to Ty? Bo syn dziś zdawał". Doszedłem do wniosku, że należy zawiesić wiarę w prawdziwość otaczającego mnie świata, jednak świat nie dawał za wygraną. Przychodziły kolejne esemesy; nierozważnie odebrałem parę połączeń. Wszyscy przekonywali mnie, że to nie jest złudzenie: mój tekst naprawdę pojawił się wśród zadań maturalnych.

Życie na poczytaniu

Gdy odzyskałem siły, postanowiłem sprawdzić, co się wydarzyło. Ściągnąłem z internetu arkusz maturalny. Egzamin sprawdzający wiedzę polonistyczną na poziomie podstawowym zawierał kilka zadań dotyczących fragmentu mojego wstępu do książki pt. „Życie na poczytaniu. Rozmowy o literaturze i reszcie świata". Ten czterystustronicowy zbiór ukazał się w 2017 r. nakładem wrocławskiego wydawnictwa Książkowe Klimaty i obejmuje kilkadziesiąt wywiadów z pisarkami oraz pisarzami. Większość rozmów przeprowadziłem przy okazji krakowskiego Festiwalu Conrada. Pomysłodawcy maturalnych pytań wybrali część wstępu, który jest pochwałą literatury i czytania. Jako aktywista literacki zajmuję się m.in. prowadzeniem warsztatów lekturowych dla różnych grup – od uczniów szkół średnich, przez osoby starsze, aż po osadzonych w aresztach i zakładach karnych. Dzielę ludzi na czytelników zdeklarowanych i potencjalnych (tych drugich zachęcam, by przeszli na stronę tych pierwszych). Przy każdej dogodnej okazji opowiadam o swoich doświadczeniach, by zainspirować innych do podejmowania podobnych działań. Właśnie po to napisałem wspomniany wstęp.

Pojawiające się w tytule osobliwe słowo – „poczytanie" – przyszło mi do głowy, gdy rozmyślałem o największej zmorze naszych czasów, jaką jest pośpiech. Według mnie życie na poczytaniu może być alternatywą dla życia na poczekaniu. Najlepsza literatura (zapewne każda i każdy zaliczy do tej kategorii inne książki, co niektórych martwi, mnie zaś wydaje się naturalne i ciekawe) sprawia, że w naszym wnętrzu robi się więcej miejsca. Nasze myśli stają się przestronniejsze. Przestajemy nerwowo reagować na impulsy przychodzące z zewnątrz, zaczynamy się przed nimi skutecznie bronić lub – jeśli są pozytywne – bardziej je afirmować. Zyskujemy inną perspektywę na rzeczywistość.

Po przeczytaniu książki, opisującej prawdziwe lub fikcyjne zdarzenia, przedstawiającej realne lub wyobrażone miej-

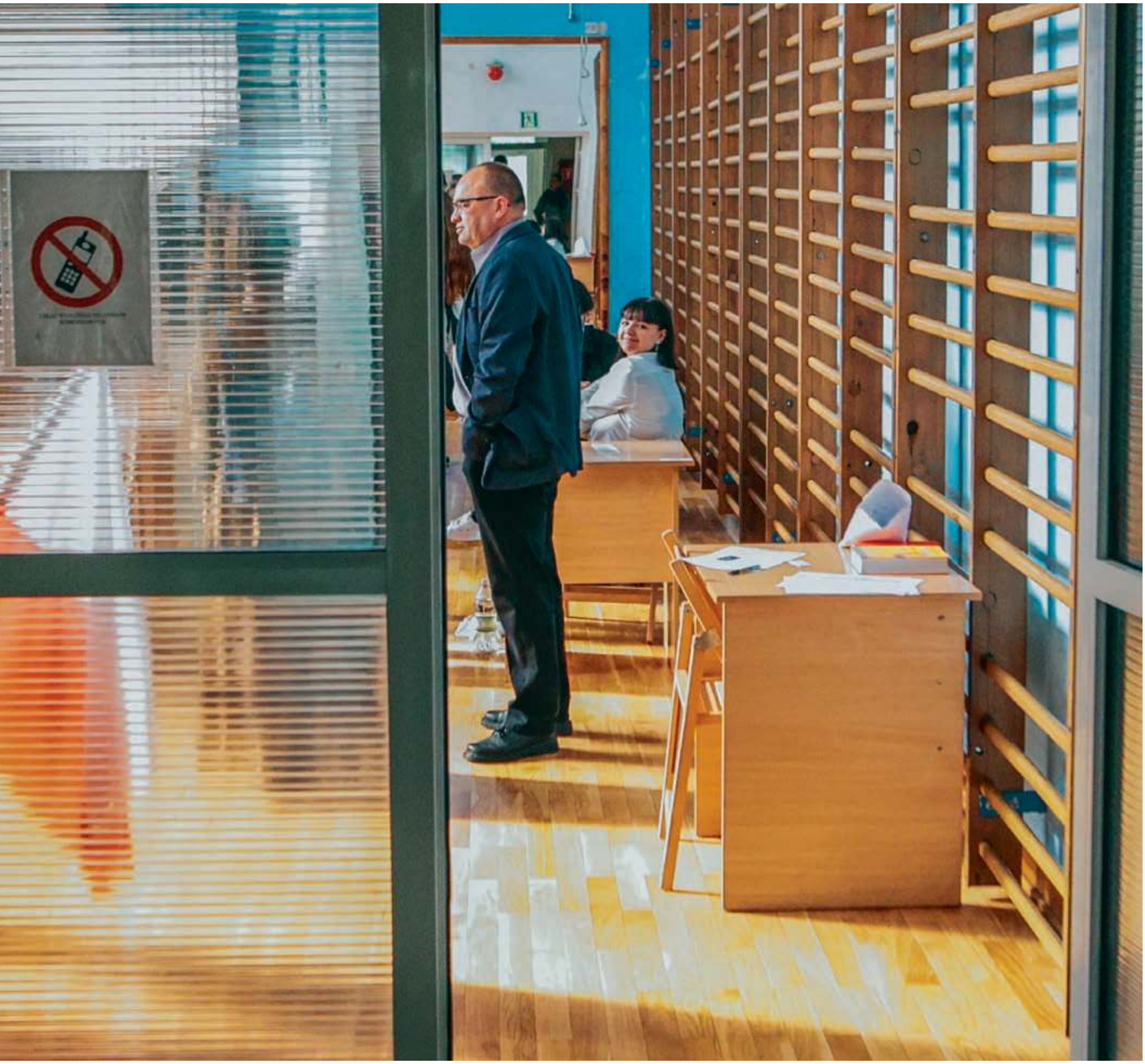

KRZYSZTOF ZATYCKI / FORUM

Matura z języka polskiego w XI Liceum Ogólnokształcącym we Wrocławiu, 4 maja 2022 r.

sca, dysponujemy większą liczbą możliwości (na poziomie emocjonalnym i intelektualnym), dzięki czemu możemy uporać się z problemami, które wcześniej wydawały się nieprzezwyciężalne. Oczywiście, nie zawsze udaje się osiągnąć tak wiele. Książki mają różny potencjał. Mimo wszystko, gdy opada nas zwątpienie, gdy czujemy się bezradni, dobrze jest otworzyć książkę, zaufać jej autorce lub autorowi i zanurzyć się w morzu opowieści.

Pięć linijek

Maturzystki i maturzystów poproszono o odpowiedź na sześć pytań weryfikujących rozumienie tekstu. Trzeba było m.in. podać dwie cechy „życia na poczekaniu", a także przytoczyć dwa argumenty potwierdzające moje przekonanie o wartości czytania literatury. Najciekawsze wydało mi się zadanie, w którym moja pochwała lektury została zestawiona z „Lalką" Prusa. Oto jego pełne brzmienie: „Czy Wokulski prowadził życie na poczytaniu? W uzasadnieniu odwołaj się do podanego fragmentu, całej lektury, z której pochodzi fragment, oraz do artykułu Grzegorza Jankowicza". Ucieszyłem się z tego polecenia, gdyż „Lalka" to poza wszystkim innym wspaniała opowieść o (niekoniecznie dobrym) wpływie literatury na nasze życie, o czytaniu jako aktywności, która może ukierunkować egzystencję.

W arkuszu znalazł się wyimek z dzieła Prusa, w którym Wokulski rzuca tomem wierszy Mickiewicza o ścianę i wygłasza krytykę literatury romantycznej. Pod wpływem wierszy opiewających nieszczęśliwą miłość zaczął gardzić zwykłymi relacjami i „codziennymi kobietami". Ugruntowało się w nim przekonanie, że tylko skrajne emocje, których źródłem jest gonitwa za nieosiągalnym, wyidealizowanym obiektem miłości, pozwalają nam wspiąć się na wyższy poziom egzystencji. Swoją tyradę Wokulski wygłasza jako człowiek dorosły, świadomy ↦

MAREK LASYK / REPORTER

GRZEGORZ JANKOWICZ (ur. 1978) jest dyrektorem programowym Festiwalu Conrada i redaktorem działu Kultura „Tygodnika Powszechnego". Dyrektor programów literackich Fundacji Tygodnika Powszechnego. Filozof literatury, eseista, redaktor, krytyk i tłumacz. Pracownik Działu Literackiego Krakowskiego Biura Festiwalowego. Juror Wrocławskiej Nagrody Poetyckiej Silesius. Juror krakowskiej Nagrody Conrada. W 2016 r. ukazała się jego książka „Życie na poczytaniu. Rozmowy o literaturze i reszcie świata" (Książkowe Klimaty). Z Alberto Manguelem napisał książkę „Małe języki, wielkie literatury. Small Languages, Big Literature" (Instytut Kultury Miejskiej, 2017).

↦ błędów, które popełnił w przeszłości, ale wciąż rozdarty, wciąż trawiony wewnętrzną gorączką, która każdą życiową aktywność każe mu postrzegać jako przygodną i tymczasową. Rozczarowany sobą i ukochaną Izabelą, udręczony wewnętrznym rozedrganiem odrzuca Mickiewicza, którego poezja jawi mu się jako trucizna.

Jak odpowiedziałbym na zadane przez egzaminatorów pytanie? Pamiętajmy, że autorski punkt widzenia wcale nie jest uprzywilejowany. Wszystkie strony literackiej rozmowy dysponują takimi samymi prawami. Oznacza to jednak również, że twórca – o ile ma na to czas, ochotę i siły, o ile nie chce budować wokół siebie aury tajemniczości i niedostępności – może przedstawić swój punkt widzenia. Czasem nawet powinien to zrobić, zwłaszcza wtedy, gdy naprzeciw niego staje komisja egzaminacyjna i cały system edukacji, który w Polsce jest – na poziomie szkoły średniej – podporządkowany maturze.

A zatem, czy według mnie Wokulski żył na poczytaniu? Abiturientki i abiturienci otrzymali na odpowiedź pięć linijek. Zamierzam się w nich zmieścić. W moim wstępie literatura i lektura przedstawione zostały wyłącznie w pozytywny sposób. W 2017 r. opisałem je jako lekarstwa, które pozwalają nam lepiej czuć, myśleć, żyć, działać i współdziałać z innymi. Prus ustami Wokulskiego nazywa literaturę trucizną, która uczyniła jego egzystencję nieznośną, czego przykłady znajdziemy w wielu fragmentach powieści. Dlatego bohater „Lalki" nie prowadził życia na poczytaniu.

I wtedy przyszła kolejna wiadomość. Znajoma podesłała mi link do strony internetowej z tzw. giełdą maturalną, na której obok wielu innych treści znajdował się klucz egzaminacyjny ułożony przez anonimowych ekspertów. Według autorek i autorów tego nieoficjalnego dokumentu Wokulski prowadził życie na poczytaniu, gdyż literatura miała na niego przemożny wpływ i skłoniła go do podjęcia rozmaitych działań. Zdziwiło mnie to, ale doszedłem do wniosku, że nie ma sensu przejmować się anonimowymi propozycjami, skoro o wszystkim decyduje inna instancja, która popełniła poważny błąd już przy projektowaniu arkusza, bo na odpowiedź zarezerwowała jedynie pięć linijek.

Z formalnego punktu widzenia pytanie miało charakter otwarty, ale pomyślałem, że ta otwartość jest pozorna, bo jak można mówić o swobodzie myślenia, skoro jej rozmach musi zostać ograniczony do jednego akapitu. Powie ktoś słusznie, że egzamin trwa zbyt krótko, by każdą kwestię przerabiać na temat rozprawki. Prawda, nie wszystkie pytania się do tego nadają, ale to o Wokulskiego i życie na poczytaniu nadaje się wyśmienicie.

Niedługo potem spotkałem znajomą straganiarkę z krakowskiego placu Na Stawach w towarzystwie córki, która w tym roku zdawała maturę. Dowiedziałem się, że wśród koleżanek i kolegów tej młodej osoby zapanowała konsternacja. Niektórzy odpowiedzieli na pytanie o Wokulskiego przecząco, inni zaś twierdząco. Były spory, dużo niepewności i niepokoju. Logika klucza jest jak wirus – pomyślałem – gdy raz powiemy komuś, że musi opanować materiał, który zawiera informacje potrzebne do rozwiązania maturalnego testu, to jej lub jego myśli będą krążyć wyłącznie wokół „właściwych odpowiedzi".

Podobnych rozmów odbyłem jeszcze kilka. Nie wszystkie dotyczyły Wokulskiego i życia na poczytaniu. W jednym przypadku abiturient nie pamiętał nawet wpisanych do arkusza argumentów, choć bardzo zajmująco opowiadał o powieści Prusa. Trudno na podstawie tak niewielkiej liczby konwersacji sformułować ogólne wnioski, opowiadam jednak o tych zdarzeniach z dwóch powodów. Po

pierwsze dlatego, że zdający są w całej tej historii najważniejsi, a po drugie dlatego, że dostrzegam w ich wypowiedziach ślady zasadniczych systemowych problemów.

W końcu dostałem kilka wiadomości od znajomych, którzy – okazało się – pracowali przy maturach jako egzaminatorzy. Dwie osoby poprosiły mnie o komentarz do zadania z Wokulskim. Jedna zrobiła to w imieniu większej grupy. Nie wiem, co nimi powodowało. Czy chodziło o konsultację, czy też zwykłą wymianę zdań na temat, który wzbudził ich zainteresowanie? Wydaje mi się, że w drugim przypadku – mimo żartobliwej formy, w jakiej sformułowano pytanie – celem była właśnie konsultacja. Odpowiedziałem, bo sprawa Wokulskiego i życia na poczytaniu coraz bardziej rozpalała moją wyobraźnię. Nie miałem pojęcia, że kulminacyjny punkt tej historii jest jeszcze przede mną.

Najlepsza polska powieść

Podczas studiów nieustannie wdawaliśmy się w dyskusje, których celem było stworzenie hierarchii porządkujących polską i światową literaturę. Jedna z takich debat – spór o najlepszą polską powieść – bardzo szybko przerodziła się w kłótnię między zwolennikami „Lalki" Prusa i wyznawcami „Kosmosu" Gombrowicza. Dziś uważam, że wyjściowe pytanie (która powieść jest najlepsza?) było niewłaściwie postawione, a hierarchie, owszem, porządkują, ale przede wszystkim wykluczają i to nie tylko teksty literackie, ale także czytelniczki oraz czytelników. Nie wspominając o tym, że strażnicy tych hierarchii mają skłonność do utyskiwania na nieczytających, co błyskawicznie przeradza się w seans pogardy.

Pytanie było chybione również dlatego, że Prus i Gombrowicz w ciągu kilkudziesięciu lat na dwa różne, lecz komplementarne sposoby przeprowadzili rewolucję w literaturze, której stawką była nie tylko inna interpretacja rzeczywistości, ale także możliwość jej społeczno-politycznej transformacji. Gombrowicza zostawiam na inną okazję. Teraz Prus.

Workowata struktura „Lalki" – krytykowana przez pierwszych czytelników, częściowo wymuszona przez rytm, w jakim na łamach prasy ukazywały się kolejne partie tekstu – umożliwiła demokratyzację obrazu rzeczywistości. Prus nie był w tym pierwszy, ale za to niezwykle konsekwentny. W „Placówce" opowiedział o chłopach, od których sytuacji zależy los całego kraju. Polemizując z Sienkiewiczem, odsyłał do lamusa literaturę historyczną, która zachęcała społeczeństwo do groteskowego flirtu z wielką przeszłością narodową, wywołując fascynację wyblakłym kontuszem, podczas gdy do załatwienia były sprawy bieżące: polityczne, moralne, religijne, cywilizacyjne etc. W „Lalce" zajął się mieszczaństwem, które w drugiej połowie XIX w. wciąż tkwiło w uścisku szlacheckiego systemu wartości, przez co nie mogło się w pełni ukonstytuować i nie było w stanie właściwie odpowiedzieć na wyzwania nowej rzeczywistości.

Widać wyraźnie, że literatura romantyczna działa jak trucizna nie tylko dlatego, że jako wartościową ukazuje wyłącznie miłość doskonałą, a przez to nieosiągalną i nieszczęśliwą, ale także **dlatego, że utrwala nierówności.**

Przywołana w arkuszu egzaminacyjnym scena, w której Wokulski rzuca tomikiem Mickiewicza, ma znamienne rozwinięcie. Bohater pyta, kto zatruł romantyczną poezją i jej twórcę? Odpowiedź znajduje w klasowej strukturze polskiego społeczeństwa. „Szczególny kraj – snuje swój monolog Wokulski – w którym od tak dawna mieszkają obok siebie dwa całkiem różne narody: arystokracja i pospólstwo. Jeden mówi, że jest szlachetną rośliną, która ma prawo ssać glinę i mierzwę, a ten drugi albo przytakuje dzikim pretensjom, albo nie ma siły zaprotestować przeciw krzywdzie. A jak się to wszystko składało na uwiecznienie monopolu jednej klasy i zdławienia w zarodku każdej innej! Tak silnie wierzono w przewagę rodu, że nawet synowie rzemieślników i handlarzy albo kupowali herby, albo podszywali się pod jakieś zubożałe rody szlachetne. Nikt nie miał odwagi nazwać się dzieckiem sowich zasług, a nawet ja, głupiec, wydałem kilkaset rubli na kupno szlacheckiego patentu".

Widać wyraźnie, że literatura romantyczna działa jak trucizna nie tylko dlatego, że jako wartościową ukazuje wyłącznie miłość doskonałą, a przez to nieosiągalną i nieszczęśliwą, ale także dlatego, że utrwala nierówności. Co prawda Wokulski ostatecznie rozgrzesza Mickiewicza, widząc w nim jedną z ofiar mechanizmu społecznej stratyfikacji, co nie znaczy, że wycofuje się z zarzutów pod adresem jego wierszy. Romantyczna poezja zaszczepiła w nim przeświadczenie o bezwartościowości nie-szlacheckiej formy życia i o bezsensie działań, które nie przyczyniają się do pokonania granicy między stanami. Jako potomek zubożałej szlachty, wykpiony i odrzucony przez „naprawdę" szlachetnych, Wokulski cały czas trawiony jest – jak pisze Prus – „uczuciem niezgruntowanej goryczy". Nic nie przynosi mu ukojenia. Krótkotrwałą ulgę odczuwa podczas lektury zagranicznych książek, które towarzyszyły mu w dzieciństwie. Są dla niego jak parawany, dzięki którym zapomina o udręce, o upokorzeniu, o otchłannej samotności, której nie wygasza towarzystwo innych ludzi.

Jednak ani młodzieńcza lektura Mickiewicza, ani wcześniejsza i późniejsza lektura zagranicznych autorów nie jest przykładem życia na poczytaniu. Nie jest nim również sentymentalna lektura, której oddaje się w swym gabinecie Izabela Łęcka (czyta dopiero co wydaną „Kartkę miłości" Zoli, ale cały czas rozprasza ją myśl o spóźnionym zaproszeniu na „kwestę wielkotygodniową"). Nie chodzi o to, że według mnie literatura nigdy nie jest dla nas trucizną (jest, i to często), nie idzie o to, że nie powinniśmy czytać, by zapomnieć o świecie, dla zwykłej rozrywki czy na sposób sentymentalny. Każda i każdy ma prawo czytać, jak tylko chce, ma także prawo nie czytać w ogóle. Rzecz w tym, że koncepcja życia na poczytaniu zakłada zbiorową i wspólnotową metamorfozę, która w świecie wykreowanym przez Prusa nie jest jeszcze możliwa. Byłaby możliwa, gdyby bohaterki i bohaterowie przeczytali np. „Lalkę".

Logika absurdu

28 czerwca Centralna Komisja Egzaminacyjna opublikowała dokument, który nosi tytuł „Zasady oceniania rozwiązań zadań". Takie same lub podobne zalecenia otrzymali wcześniej egzaminatorzy sprawdzający arkusze maturalne. ↦

↦ Dowiedziałem się z niego, że w przypadku pytania o Wokulskiego można było zdobyć 2 punkty, gdy – przepisuję niemal słowo w słowo – odpowiedź była poprawna i zawierała odniesienie do mojego tekstu, fragmentu „Lalki" i całej powieści, ewentualnie 1 punkt, gdy odpowiedź była poprawna i zawierała odniesienie albo do mojego tekstu i fragmentu „Lalki", albo do mojego tekstu i całej powieści. Egzaminacyjna buchalteria, niemniej ważna, od niej bowiem zależy, czy dana osoba dostanie się na studia.

Najbardziej ciekawiło mnie, jakie odpowiedzi komisja uznała za poprawne. Ku mojemu zdumieniu okazało się, że wachlarz możliwości był spory. W dokumencie przedstawiono cztery przykładowe odpowiedzi: 1) Tak, Wokulski prowadził życie na poczytaniu; 2) Nie, Wokulski nie prowadził życia na poczytaniu; 3) I prowadził, i nie prowadził; 4) Częściowo prowadził, częściowo nie prowadził. Przyznam, że zakręciło mi się od tego w głowie. Propozycja Centralnej Komisji Egzaminacyjnej przyjęła postać niemal kompletnego tetralematu. W myśli buddyjskiej nazywa się w ten sposób logikę, która dopuszcza jako poprawne cztery stanowiska: 1) S jest P, 2) S jest nie-P, 3) S jest P oraz nie-P, 4) S nie jest P ani nie-P. Tylko ostatni punkt z listy przykładów wymyślonych przez pracowników CKE odbiega od tetralematowego schematu.

Przywołuję ten kontekst z ważkiego powodu. Punkty 3 i 4 klasycznego tetralematu są sprzeczne z prawami logiki zachodniej: zasadą niesprzeczności („z dwóch zdań sprzecznych tylko jedno jest prawdziwe, nic nie może zarazem zachodzić i nie zachodzić, danemu przedmiotowi nie może zarazem przysługiwać i nie przysługiwać ta sama własność") i prawem wyłączonego środka („dla każdego logicznego zdania p albo ono samo jest prawdziwe, albo prawdziwe jest jego zaprzeczenie, trzeciej możliwości nie ma"). Rzecz jasna, można te prawa podważać lub odrzucać, co zresztą działo (i nadal dzieje) się na gruncie filozofii i literatury, ale należy zadać pytanie, czy rzeczywiście na tym zależało komisji egzaminacyjnej.

Prus i Gombrowicz, na dwa różne sposoby, **przeprowadzili rewolucję w literaturze,** której stawką była nie tylko inna interpretacja rzeczywistości, ale także możliwość jej społeczno-politycznej transformacji.

Czy komisja naprawdę chciała zaprosić zdających do takiego eksperymentu myślowego? Wątpię, gdyż po zakwestionowaniu tych dwóch praw logicznych trudno byłoby wyegzekwować odpowiedź na jakiekolwiek zamknięte pytanie egzaminacyjne. W buddyzmie tetralemat służy do opisu pojęcia pustki, o której nic wiążącego nie sposób powiedzieć, dlatego dopuszcza się wszystkie możliwości, także absurdalne, bo i one pobudzają naszą wyobraźnię i wiodą nas ku wyższej mądrości. CKE również krążyła wokół pustki, ale innego rodzaju, desperacko starając się ją nie tyle uchwycić, ile raczej zasłonić.

Od przedstawiciela komisji dowiedziałem się, że pomysłodawcy chcieli skłonić młodych do swobodnego i krytycznego myślenia, a punkty przyznawano za odpowiedź, która była logiczna i niesprzeczna z treścią obu tekstów. Według mnie trzy z zaproponowanych przez CKE odpowiedzi są sprzeczne z treścią wykorzystanych fragmentów. Poza tym, jeśli w jednym z wcześniejszych poleceń (cytowałem je wyżej) komisja prosi o przedstawienie dwóch argumentów potwierdzających moje przekonanie o wartości czytania literatury, to trudno zrozumieć, dlaczego w innym miejscu dopuszcza jako prawidłowe odpowiedzi, które przypisują mi wywód rzekomo podważający wartość czytania. A wreszcie – jaki sens ma to zadanie, co można za jego pomocą sprawdzić, skoro tyle wersji odpowiedzi uznaje są za poprawne, a utrata punktu grozi wyłącznie za błędy formalne w nazwiskach autorów i/lub pominięcie jednego z wymienionych źródeł?

Jestem zwolennikiem otwartych pytań na egzaminach i otwartego myślenia, ale nie chaosu i logicznego absurdu. Gdyby zdający mogli napisać pełnowymiarowy tekst, w którym przedstawiliby swoją koncepcję życia na poczytaniu, choćby całkowicie inną niż moja, to nie zabierałbym głosu. Za pomocą takiego zadania komisja mogłaby ocenić pomysłowość abiturienta, rozległość jego wiedzy, zakres literackich i kulturowych odniesień zawartych w wypracowaniu, spójność argumentacyjną, kunszt stylistyczny danej autorki i kilka innych umiejętności. Rzecz jasna, druga część egzaminu zawierała trzy tematy na rozprawkę. Pierwszy z nich dotyczył „Pana Tadeusza" („Czym dla człowieka może być tradycja?"). Mam nadzieję, że ktoś odważył się napisać, iż (literacka) tradycja może być dla człowieka trucizną.

Polski system edukacji robi uniki, bo wcale nie chce rozwijać u młodych ludzi wspomnianych kompetencji. Jego fundamentem jest przeświadczenie, zgodnie z którym uczniowie mają literaturę w głębokim poważaniu i trzeba ich zainteresować czymkolwiek. Od lat wciąga się ich w grę pozorów: szkoła udaje, że uczy, a młodzi ludzie udają, że się uczą. Oczywiście, nie zawsze i nie wszędzie. Nie zapominam o wielu znakomitych nauczycielkach i nauczycielach, niedocenianych i przepracowanych. Ale problem istnieje i – parafrazując Prusa – zatruwa kolejne pokolenia, gruntując w nich przekonanie, że literatura w szkole nie ma im nic do zaoferowania, nie opowiada ani o ich sprawach, ani o ich świecie, jest ramotą, na dodatek – wbrew definicji – długą oraz nudną.

Wokulski nigdy nie żył na poczytaniu, co nie znaczy, że jesteśmy skazani na podobny los. Owszem, wydaje się, że z powodów kulturowych i politycznych (z powodu określonej i powracającej niczym bumerang politycznej pedagogiki kultury) wciąż zbieramy z podłogi rozrzucone kartki romantycznego tomiku, zapominając, że na półkach są jeszcze inne rzeczy, o których warto dyskutować na zajęciach z polskiego. Wcale nie musi być tak, jak w anegdocie o Jorge L. Borgesie, który tłumaczył, że na jakiś czas musiał przerwać edukację, gdyż posłano go do szkoły.

© GRZEGORZ JANKOWICZ

RADIO KRAKÓW **Co wtorek o godz. 14.30 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego".** Słuchaj nas w Małopolsce: Kraków – 101,6 FM Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM Nowy Sącz – 90,0 FM | Gorlice – 97,4 FM Krynica Zdrój – 102,1 FM | Tarnów – 101,0 FM Rabka Zdrój – 87,6 FM | **www.radiokrakow.pl**

KAROL BUDREWICZ / MATERIAŁY PRASOWE

„Rzeź" w reż. Jacka Głomba, Teatr im. Heleny Modrzejewskiej w Legnicy, maj 2021 r.

Zwroty i nawroty

DARIUSZ KOSIŃSKI

Lokalne burze i stołeczne zamglenia – prognozy teatralnej pogody na najbliższe lata nie zapowiadają stabilnej aury sprzyjającej spokojnej pracy.

Sezon właściwie już się kończył, kiedy nagle jedna po drugiej wybuchły dwie afery teatralne, ważniejsze od znaczących premier, jakich też w minionych miesiącach nie zabrakło. Pierwsza – nagłe wycofanie się władz miejskich Legnicy z finansowania Teatru Modrzejewskiej – łatwo wpisuje się w dwubiegunowy schemat wojny teatralnej. Druga – zarzuty o mobbing w TR Warszawa – ma charakter niejasnej wojny domowej, która toczy się poza politycznymi frontami polsko-polskiego konfliktu. Obie nie są oderwanymi casusami, ale częścią większego procesu.

Na Zachodzie bez zmian

Mniej więcej rok temu Jacek Głomb, twórca fenomenu o nazwie Teatr im. Heleny Modrzejewskiej w Legnicy, potwierdził, że nie ma konkurentów i wygrał konkurs na swoje stanowisko ogłoszony niespodziewanie przez Zarząd Województwa Dolnośląskiego. Wydawało się, że legnicka scena będzie mogła względnie spokojnie pracować. Ale po jednym sezonie władze miasta wypowiedziały zawartą z władzami wojewódzkimi umowę o współfinansowaniu Teatru Modrzejewskiej. Teatr traci w ten sposób 1,5 mln zł w swoim rocznym budżecie – poważna wyrwa. W oświadczeniu dla mediów Głomb wysunął przypuszczenia, że powodem tej decyzji są z jednej strony trudności finansowe i konieczność cięcia wydatków wymuszona przez sytuację inflacyjno-wojenną, a z drugiej osobista i partyjna niechęć prezydenta Legnicy Tadeusza Krzakowskiego i wspierających go radnych z PiS. Apelował też: „Nie musimy się lubić, ale nie niszczmy kultury, nie niszczmy instytucji tworzonych latami".

Teatr Modrzejewskiej programowo i praktycznie realizuje od ponad trzech dekad model teatru miasta, wpisanego w jego specyfikę, historię i topografię, przyczyniającego się do budowania mocnej marki Legnicy, która bez tego istniałaby w świadomości większości Polaków jako „była" – była „mała Moskwa" i była stolica województwa. Na dodatek w świecie teatralnym Głomb zajmuje pozycję daleką od teatru „krytycznego" i „postdramatycznego" (z jednym i drugim swego czasu ostro polemizował), wcale za to nieodległą od „teatru środka", ceniącego tradycyjnie rozumiany „warsztat". Tworzy mocny teatr aktorski i reżyserski o polityczności zaangażowanej i wyważonej, dalekiej od partyjnej jednoznaczności. Z tego, co słychać, cieszy się uznaniem Ministerstwa Kultury i nawet mógłby służyć jako przykład nieideologicznego myślenia władzy, gdyby nie to, że właśnie lokalna tej władzy reprezentacja znów rzuca mu kłody pod nogi.

Istnieje niestety obawa, że województwo dolnośląskie jest przykładem lokalnego ponadpartyjnego porozumienia, które będzie wykorzystywało trudną sytuację finansową do wyciszania kłopotliwych scen. Nie do ich zamykania, bo w końcu prestiż ↦

↦ posiadania własnego teatru wciąż jeszcze działa, ale do sprowadzania do poziomu przybytków, gdzie wypada i warto się pokazać, a pokazać można bez obaw, że zdarzy się coś nieprzyjemnego albo że trzeba będzie podejmować trud myślenia poza schematami. Legnica, obawiam się, jest testem – jeśli społeczny opór i naciski zewnętrzne nie pomogą, to za chwilę nadejdzie tsunami. Skoro można zrezygnować z finansowania teatru tak bardzo miejskiego jak Modrzejewska, to kto się ostoi?

Teatr Miasta Stołecznego

No tak – Warszawa... Stolica teatralna kraju, która po rozbiciu wrocławskiego Teatru Polskiego i zniszczeniu dyrekcji Jana Klaty w Starym Teatrze w Krakowie nie ma już dawnej konkurencji. To właśnie tu działają najpotężniejsze instytucje, tu pracują najbardziej znani reżyserzy, najbardziej rozpoznawane aktorki i aktorzy, tu wreszcie jest największa publiczność teatralna, zarówno o przyzwyczajeniach tradycyjnych, jak i nastawieniu progresywnym. Tu w końcu rządzą władze sprzeciwiające się dominującej centralnie prawicy. Kiedyś śmiano się z powiedzenia Pawła Kukiza, że Warszawa to takie polskie księstwo Monako, ale jest w nim sporo racji. Na tle prowincjonalno-małomiasteczkowej większości kraju stolica to enklawa o zupełnie innym stylu życia, systemie wartości, przekonań, gustów. Od zawsze budzi zarówno nienawiść, jak i zazdrość, a kąśliwe uwagi o „warszawce" usłyszeć można nawet od ludzi rozsądnych i niemających żadnych powodów do kompleksów.

Teatralnie odmienność stolicy od reszty kraju została w minionym sezonie demonstracyjnie wręcz wystawiona i ustanowiona przez najgłośniejszy konkurs dyrektorski ostatnich lat – rywalizację o kierowanie Teatrem Dramatycznym m.st. Warszawy. Prestiżowa scena mieszcząca się w Pałacu Kultury i Nauki była przez lata – zgodnie z nazwą – przybytkiem teatru zachowującego tradycyjne wyznaczniki instytucji zajmującej się wystawianiem wartościowej literatury z poszanowaniem dla jej wartości, choć zarazem z wyraźnymi sygnaturami wybitnych sił reżyserskich i aktorskich.

Symbolem tego teatru jest oczywiście obecny patron głównej sceny – Gustaw Holoubek, dyrektor Dramatycznego w latach 1972-83. Po roku 1989 teatr ten stał się szczególną areną napięć i zmian zachodzących w polskim życiu teatralnym. To tu toczyły się spory wokół musicalu „Metro" i wprowadzanego wraz z nim modelu producenckiego (ostatecznie zmarginalizowanego). To tu za dyrekcji artystycznej Piotra Cieślaka (1993-2008), usiłującego podtrzymać tradycję sceny, zaczynali swoje kariery reżyserzy, którzy wkrótce tworzyli „nowy teatr" (Krzysztof Warlikowski i Grzegorz Jarzyna). To tu za dyrekcji Pawła Miśkiewicza (2008-12) ów „nowy" zdawał się odnosić tryumf nad „starym", by następnie poznać gorycz porażki i zostać wymienionym na zadeklarowany literacki teatr środka, tworzony przez Tadeusza Słobodzianka.

MONIKA STOLARSKA / MATERIAŁY PRASOWE

Natalia Kalita jako Ferdynand w spektaklu „Burza" w reż. Grzegorza Jarzyny, TR Warszawa, październik 2020 r.

Dekadę później jesteśmy świadkami kolejnego symptomatycznego zwrotu: w miejsce jednego z najwybitniejszych współczesnych dramatopisarzy, znawcy i miłośnika teatralnych tradycji artystycznych, od września 2022 r. dyrekcję Dramatycznego ma objąć Monika Strzępka, charyzmatyczna reżyserka, proponująca wyrazisty program o mocnej wymowie politycznej i ideowej. Opozycja między „literatem" a „feministką", którą próbują budować przeciwnicy tej decyzji, jest oczywiście zbyt prosta, bo Słobodzianek wcale nie jest taki wyłącznie „artystyczny" i apolityczny, a sugerowanie, że wybitna i doświadczona reżyserka ma do zaproponowania tylko hasła i polityczne akcje, jest zwyczajnie nieuczciwe. Niemniej jednak trudno nie przyznać racji argumentom podnoszonym publicznie choćby przez Wojciecha Majcherka, że władze miasta ogłosiwszy konkurs na prowadzenie teatru, który „będzie, jak dotychczas, łączył poszanowanie tradycji teatralnego rzemiosła z poszukiwaniem nowoczesnych form scenicznych" (to cytat z oficjalnego ogłoszenia konkursu), wybrały kandydatkę związaną z zupełnie innym sposobem działania i proponującą odmienny program.

Trudno nie dostrzec, że teatralna rewolucja w Pałacu to coś więcej niż tylko przekazanie jednej sceny dyrektorce o odmiennej praktyce. Niezależnie od różnorodnych motywacji tej decyzji – osobistych, politycznych i czysto biznesowych – wybór Moniki Strzępki to rodzaj deklaracji – w opanowanym przez prawicę kraju będzie się wzmacniać odmienności Warszawy i czynić z niej najważniejszy ośrodek sztuki nastawionej na zmianę. Oznacza to zdecydowane osłabienie tego, co Teatr Dramatyczny ma wpisane w swoją nazwę. Niezależnie od osobistych gustów i oceny poszczególnych premier trudno nie przyznać, że był on w minionej dekadzie najdynamiczniej działającą, najżywszą warszawską sceną

„kulturalnego miasta", posiadającą własną publiczność. Wprawdzie daleką przesadą byłoby stwierdzenie, że po odejściu Słobodzianka publiczność nastawiona bardziej tradycyjnie nie będzie miała już gdzie pójść (może jej wzmożony napływ sprawi, że obudzi się w końcu teatr zwany ironicznie Współczesnym albo inna „Holoubkowa" scena – Ateneum?), ale z pewnością zabraknie na mapie stolicy punktu ważnego dla tej grupy widzów.

Zmiana ta nie przekłada się przy tym w prosty sposób na dwubiegunowy układ polityczny. Wprawdzie władze Warszawy zostały natychmiast ostro skrytykowane przez znanych rzeczników prawicy, ale sporu wokół Dramatycznego nie da się widzieć w kategoriach konfliktu konserwatyści–liberałowie. Ma to i pozytywne, i negatywne skutki. Negatywne już działają, bo osoby z różnych względów wyrażające swoje niezadowolenie z decyzji komisji konkursowej są, zgodnie z zasadą „kto nie z nami, ten przeciwko nam", uznawane za przeciwników i lekceważone, co umacnia fałszywy dwupodział. Skutki pozytywne mogą zaś polegać na tym, że zarówno osoby popierające lub po prostu ciekawe Teatru Dramatycznego Moniki Strzępki, jak i przeciwne mu powołają nieoczywiste sojusze, umacniając sposoby myślenia i działania lokujące się poza trzymającą nas w uścisku dramatyczną koalicją PO-PiS. W ten sposób teatr mógłby stać się wylęgarnią rozwiązań mających potencjał uwolnienia nas spod władzy tej coraz bardziej jałowej i niszczącej totalnej opozycji wzajemnej, która rządzi nami już 17 lat. „Teatr przeciwko popisom!" – takie hasło powiewać by mogło i nad Dramatycznym rządzonym przez kobiecą ekipę Moniki Strzępki, i nad teatrem Tadeusza Słobodzianka, gdziekolwiek by swoje pomysły realizował.

Po-nowienie

Dostrzeganie pozytywnych aspektów awantur, skandali i konfliktów zostanie zapewne uznane za naiwność. Nie ukrywam – patrzę na te wszystkie, zwłaszcza stołeczne, afery z pozycji prostodusznego prowincjusza. Słyszę wprawdzie opowieści o tym, że nie chodzi tu o żadne programy, kulturę ani nawet o ideologię, ale po prostu o wpływy, kasę i atrakcyjne stołeczne miejscówki (więc nie jest przypadkiem, że szanse Słobodzianka pogrzebała żałosna stolikowa awantura z właścicielką kawiarni Kulturalna). Ale jednak naiwnie puszczam je mimo uszu. Nie dlatego, żebym wierzył w jakieś perspektywiczne myślenie władz centralnych i lokalnych (aż tak naiwny nie jestem), ale dlatego, że wierzę w siły sprawiające, iż niezależnie od tych wszystkich gier i gierek „Się" coś tworzy. Dochodzenie motywacji działania władz szczebli wszelakich jest zajęciem mało ciekawym. Obserwowanie i próba rozumienia tego, co „Się" wyczynia, bywa pasjonujące.

> W opanowanym przez prawicę kraju będzie się wzmacniać odmienność teatralnej Warszawy. Kolejne zmiany dyrektorów czynią z niej **bezkonkurencyjny ośrodek sztuki nastawionej na zmianę.**

No bo pomyślcie – władze Warszawy zrobiły dużo, żeby zbudować obraz stolicy jako centrum kulturalnego, w którym zjednoczone wspólnym celem zespoły wolnych artystów pracują na rzecz lepszego zrozumienia wzajemnego, troski i solidarności, niewykluczania, demokratyzacji itd. A tu w reprezentacyjnej dla tego modelu instytucji miejskiej wybija nagle szambo wzajemnych pretensji i oskarżeń o mobbing.

Dla takich oddalonych od centrum obserwatorów naiwnych jak ja wydane 20 czerwca oświadczenie zespołu TR Warszawa było zaskoczeniem. Dla znających zakulisowe relacje teatralne – raczej ujawnieniem całej sieci pretensji i konfliktów, które w teatrze związanym nierozerwalnie z nazwiskiem Grzegorza Jarzyny narastały od dawna. Znów – wolę w tę sieć nie wchodzić, bo pełno w niej niejasnych powiązań. Dość, że wybuch czerwcowy doprowadził najpierw do złożenia przez władze miasta deklaracji ogłoszenia nowego konkursu na stanowisko dyrektora, a następnie, 4 lipca, do ustąpienia Jarzyny ze stanowiska dyrektora artystycznego, a także – co ważniejsze – złożenia publicznie deklaracji, że nie będzie startował w przyszłym konkursie. Do chwili pisania tego tekstu nie poszła w jego ślady dyrektor naczelna TR Natalia Dzieduszycka, której rezygnacji zespół domaga się przede wszystkim. Nie sposób też przewidzieć, jaka będzie przyszłość teatru, dla którego miasto buduje reprezentacyjną scenę na placu Defilad, w bezpośrednim sąsiedztwie Pałacu Kultury. Ale już widać, że „Się" tak to poukładało, iż reprezentacyjny trójkąt nowoczesnej sztuki: Dramatyczny, Studio, TR, nagle stanął pod znakiem zapytania.

Afera w TR oznacza jednak ostateczny kres mitu wspólnoty „nowego teatru", zgodnie z legendą narodzonego 18 stycznia 1997 r., kiedy odbyły się jednocześnie premiery „Bzika tropikalnego" według Witkacego w reżyserii Jarzyny (w Teatrze – wtedy jeszcze – Rozmaitości) oraz „Elektry" Sofoklesa w reżyserii Krzysztofa Warlikowskiego w... Teatrze Dramatycznym. Po 25 latach od tego „przewrotu styczniowego" (określenie Macieja Nowaka) mit wspólnoty pokoleniowo-artystycznej rozleciał się na kawałki. Wprawdzie jakakolwiek jedność „nowego" dawno już była fikcją, ale teraz zniszczeniu uległa jego figura centralna i reprezentacyjna.

„Się" tak to wszystko poukładało, że sezon, który zakończyła eksplozja w TR, rozpoczęła decyzja innej protagonistki „nowego teatru" Anny Augustynowicz o rezygnacji ze stanowiska dyrektor artystycznej Teatru Współczesnego w Szczecinie i przekazaniu „schedy" Jakubowi Skrzywankowi. W świetle rzucanym wstecz przez warszawski wybuch decyzja reżyserki ukazuje się jako diametralnie inny sposób wyjścia poza granice „nowego" – nie przez zniszczenie jego fasadowego mitu, ale przez przeniesienie ożywiającego go impulsu na inne praktyki i inny sposób działania.

Po ćwierćwieczu widać, że „teatr stary silne ma podstawy", „nowe" zaś istnieje nie jako jedność, ale mnogość różnorodnych praktyk. Naiwnie i prostodusznie szukając wciąż pozytywów, chciałbym w zapowiadanych przez wydarzenia mijającego sezonu obrotach rzeczy zobaczyć jeden, generalny zwrot – ku mnogości. Myślę bowiem, że tylko dzięki niej można wymknąć się zaciskającym się coraz bardziej kleszczom „albo – albo", jednocześnie blokując ponadpartyjny sojusz na rzecz kulturowego wyciszenia.

© DARIUSZ KOSIŃSKI

Środek Anglii

JAKUB MAJMUREK

Tommy Shelby, z błota okopów wspinający się na szczyt, ciągle śniący swój wojenny koszmar, staje się bohaterem zaskakująco nam bliskim, mimo stu lat historycznego dystansu.

Po sześciu sezonach i prawie dziesięciu latach końca dobiega serialowa epopeja „Peaky Blinders" – choć planowany jest jeszcze kinowy film, mający dociągnąć historię rodziny Shelbych – gangsterów budujących przestępcze, biznesowe i polityczne imperium w międzywojennym Birmingham – do bitwy o Anglię. Gdy serial ruszał w 2013 r. na BBC Two, jego oglądalność nie powalała. Z każdym odcinkiem zyskiwał jednak fanów. Początkowo w Wielkiej Brytanii, z czasem – zwłaszcza po tym, gdy produkcję umieścił w swoim katalogu Netflix – na całym świecie.

Dziś „Peaky Blinders" to globalna, multimedialna marka. Serial ożywił zainteresowanie przemysłowym regionem West Midlands, zainspirował sztuki teatralne, festiwale na świeżym powietrzu, gdzie przy pomocy rekonstruktorów historycznych można zanurzyć się w świat gangsterskiego Birmingham sprzed wieku, a nawet kilka kolekcji mody męskiej.

Tajna historia Brytanii

W otwierającej pierwszy odcinek sekwencji elegancko ubrany Tommy Shelby – lider tytułowego gangu kontrolującego dzielnicę Small Heath w Birmingham – przejeżdża na czarnym koniu przez swoje sąsiedztwo, jak feudalny baron objeżdżający włości. Widzimy ciasne podwórza robotniczych slumsów z czerwonej cegły, przecinające Birmingham kanały z łodziami i barkami, którymi wyprodukowane w miejscowych fabrykach towary trafiają do angielskich portów a stamtąd do każdego miejsca na świecie, dominującą nad okolicą wielką, dymiącą fabrykę, proletariacki pub, gdzie robotnicy gromadzą się po pracy, mężczyzn pracujących przy wielkim, rozgrzanym, buchającym ogniem piecu, wozy rozwożące worki z węglem.

Ta nakręcona w jednym ujęciu scena szkicuje świat przedstawiony filmu, robotnicze Birmingham, gdzie klasa pracująca tworzy swój własny świat, z własną kulturą i własną, często gangsterską, elitą. Jeśli w wyniku rewolucji przemysłowej Anglia stała się warsztatem świata, to Birmingham było warsztatem Anglii. Manchester i północny zachód kraju skupiały przemysł tekstylny, Birmingham, zasilane węglem z otaczających miasto miejscowości, przemysł maszynowy (to tu wynaleziono silnik parowy), stalowy, chemiczny, później samochodowy. Od dwustu lat przemysłowa metropolia budziła jednocześnie fascynację i przerażenie angielskich elit kulturalnych, widzących w mieście symbol nowej, zmechanizowanej cywilizacji odmieniającej oblicze nie tylko ich kraju, ale także całego świata.

Twórca „Peaky Blinders" Steven Knight mówił w wywiadach, że chciał opowiedzieć o Birmingham, gdyż dziś drugie pod względem ludności miasto Wielkiej Brytanii przez lata pozostawało „czarną dziurą w środku Anglii", jeśli chodzi o jego reprezentację na ekranie. Dla niego ta historia ma też osobisty wymiar – punktem wyjścia do pracy nad serialem była anegdota, którą opowiedział mu pochodzący ze Small Heath ojciec. Jako mały chłopiec Knight senior został wysłany przez ojca, by przekazać wiadomość wujkowi. Zastał go w towarzystwie elegancko ubranych w szyte na miarę garnitury kolegów. Siedzieli przy stole, na którym leżał stos pieniędzy. Mężczyźni liczyli je popijając whisky ze słoików po dżemie. Wujek związany miał być bowiem z gangsterską rodziną Sheldonów, którzy na ekranie zmienili się w Shelbych. Knight chciał odtworzyć w serialu „tajną", mówioną historię Wielkiej Brytanii – powtarzaną sobie przez mieszkańców takich dzielnic jak Small Heath w pubach, na ulicznych rogach, w trakcie rodzinnych spotkań. Historię pomijaną przez narracje pisane przez zawodowych historyków albo trafiające do nich w śladowych, zniekształconych wersjach.

Tytułowy gang naprawdę istniał w Birmingham, choć inaczej niż w serialu szczyt jego potęgi przypadał na lata 80.

MATT SQUIRE / NETFLIX

Cillian Murphy jako Thomas Shelby w 6. sezonie serialu „Peaky Blinders".

i 90. XIX w. Na początku kolejnego stulecia zaczyna być wypierany przez nowe grupy przestępcze, a po I wojnie światowej znika z policyjnych rejestrów. Jego członkowie, tak jak filmowi Shelby, ubierali się w charakterystyczne kaszkiety. Inaczej niż w serialu i miejskiej legendzie nie wszywali w ich daszki żyletek, by móc używać ich jako broni w walce, atakując oczy przeciwników – żyletka pojawia się masowo w Anglii dopiero na początku XX w., gdy gang traci na znaczeniu. „Blinders" z nazwy gangu miało się raczej odnosić do proletariackiego dandyzmu jego członków – olśniewających i „oślepiających tym, jak wyglądali".

Z okopów na salony

Wielka historia Imperium Brytyjskiego nieustannie zagląda do Small Heath, splata się z historią Shelbych. Narracja zaczyna się, gdy końca dobiega I wojna światowa. Birmingham jest wtedy miastem, gdzie każdy kogoś stracił na którymś z jej frontów. Ci, którzy przetrwali, wrócili złamani, często z zespołem stresu pourazowego, którego nikt nie potrafi wtedy nawet poprawnie zdiagnozować.

Wojna odmienia też Tommy'ego. Przywódca gangu walczył pod Sommą i Verdun, zdobył nawet medal za odwagę – wyrzucił go jednak do kanału w swoim mieście, gdy z wojny wrócił do domu. Jej groza pokazała mu, że nic nie jest trwałe i dane raz zawsze, że stary przedwojenny świat, z jego społecznymi hierarchiami i przesądami, właśnie się skończył, nawet jeśli wciąż o tym nie wie. W pierwszym sezonie rozmawiając ze swoim byłym przyjacielem, komunistą Freddiem Thornem, Tommy mówi mu: „Oboje sprzedajemy robotnikom fałszywe nadzieje. Różnica jest taka, że obstawiając u mnie wyścigi konne, ludzie czasami mają szansę naprawdę wygrać". Jedyną namiętnością, jaka wydaje się ożywiać Tommy'ego w pierwszym sezonie, jest nieograniczona ambicja, pragnienie, by sięgnąć po stawki, o których jego rodzina boi się nawet pomyśleć.

Koniec Wielkiej Wojny jest też początkiem rozpadu Imperium Brytyjskiego. W pierwszych powojennych wyborach Irlandczycy, z wyjątkiem mieszkańców Ulsteru, wybierają posłów z nacjonalistycznej Sinn Féin, którzy nie tylko nie przyjmują mandatów w Izbie Gmin, ale powołują nielegalne w świetle brytyjskiego prawa irlandzkie zgromadzenie parlamentarne, które ogłasza niepodległość wyspy. Prowadzi to do wojny, której efektem będzie podział Irlandii.

Echa tej wojny i irlandzkiego konfliktu docierają do Small Heath. IRA staje się istotną siłą w podziemnym świecie Birmingham, która niejednokrotnie sprawi Tommy'emu kłopoty. Pierwszy sezon organizują dwie linie fabularne: walka rodziny Shelbych z potężniejszym od nich gangsterem o to, kto będzie kontrolował wyścigi konne i zarabiał na zakładach w środkowej Anglii, oraz konfrontacja Tommy'ego z inspektorem Campbellem – lojalistą z Ulsteru, wysłanym przez rząd do Birmingham, by odzyskać skradzione ciężkie karabiny maszynowe, które miały zostać wysłane „ochotnikom z Ulsteru".

Z każdym sezonem, wraz ze wspinaniem się Shelbych po drabinie społecznej, ich rodzinna historia coraz bardziej splata się z tą narodową. Tommy inwestuje zarobione na przestępczości pieniądze w legalne interesy, zamienia swoją pozycję w mieście na polityczny kapitał, zostaje posłem z ramienia Partii Pracy. W przedostatnim sezonie przeciwnikiem Tommy'ego nie jest już najpotężniejszy nawet gangster, ale postać historyczna, Oswald Mosley – arystokrata, ambitny poseł laburzystów, który po tym, gdy partia nie poznaje się na jego talentach, zwraca się ku faszyzmowi, zostaje wodzem tej formacji w międzywojennej Anglii. Mosley podziwia brutalną siłę gangstera z Birmingham, chce go wykorzystać do swoich politycznych planów.

W ostatnim sezonie oprócz Mosleya Tommy musi się też zmierzyć z Jackiem Nelsonem – irlandzko-amerykańskim milionerem wywodzącym się z przestępczego półświatka Bostonu, który wysłany z polecenia Roosevelta do Europy szuka kontaktów z formacjami faszystowskimi, widząc w nich naturalnego sojusznika Ameryki, na co wpływ ma jego głęboki antysemityzm. W postaci Nelsona bez trudu można dostrzec echa Josepha P. Kennedy'ego, założyciela słynnej historycznej dynastii.

Antybohater z klasą

Tommy Shelby jest najbardziej udaną próbą przeszczepu na brytyjski grunt wzorca mrocznego, naturalnie anarchicznego antybohatera w typie Tony'ego Soprano, jaki wypracowała amerykańska telewizja na przełomie XX i XXI w. Z proletariatu pnie się – często przy pomocy przemocy i przestępczości – na szczyty drabiny społecznej. Tommy pochodzi przy tym z grupy potencjalnie narażonej na marginalizację i dyskryminację nawet w ramach klasy ludowej. Nie jest etnicznym Anglikiem, rodzina Shelbych ma częściowo pochodzenie romskie, częściowo wywodzi się z tzw. podróżników irlandzkich – mówiącej językiem *shelta* koczowniczej ludności z Irlandii, dzielącej z Romami styl życia, wartości i niektóre obyczaje. Shelby dopiero od niedawna prowadzą życie osiadłe.

Knight mówi, że pisał postać Tommy'ego w sprzeciwie wobec tego, jak brytyjskie kino i telewizja przedstawiają proletariackie postaci – jako figury przegrane, słabe, godne współczucia. W postaci Tommy'ego otrzymujemy zupełnie innego ludowego bohatera, kogoś, kto budzi grozę, ale i podziw, komu mimo wszystkich przeciwieństw udaje się osiągnąć to, co sobie zaplanował, ogrywając ↦

↦ „lepiej urodzonych", ludzi uważających, że władza i pozycja po prostu im się należą. Postać Tommy'ego, początkowo ulepioną głównie z ambicji, rozczarowań i wojennych traum, kolejne sezony trochę komplikują. Poznajemy go jako mężczyznę zdolnego do stworzenia głębokiego miłosnego związku, jako kogoś, kto mimo całego swojego cynizmu rozumie groźbę faszyzmu i chce się mu przeciwstawić. Choć nie brakowało głosów, że serial gloryfikuje przemoc i przestępczy styl życia, publiczność na całym świecie, sądząc po popularności produkcji, potrzebowała takiego (anty)bohatera.

Głębokie zanurzenie w przeszłość, precyzyjnie odtworzony klimat epoki, wielka epicka opowieść, stylowe kostiumy, świetne role – wszystko to składa się na sukces serialu. Ale dochodzi coś jeszcze: historia staje się w nim lustrem, w którym możemy się przejrzeć. W ekranowej rzeczywistości rozpoznać się może współczesna wielokulturowa i wieloetniczna Wielka Brytania. Międzywojenne Birmingham, warsztat Imperium, już sto lat temu ściąga migrantów z całego świata: Włochów, Żydów, „białych" uchodźców z Rosji, Chińczyków prowadzących kluby z opium, a na rogach Small Heath kazania wygłasza czarny kaznodzieja.

Choć nie mamy za sobą doświadczenia tak tragicznego jak Wielka Wojna, to wojna z terrorem, wielki kryzys z 2008 r., pandemia, wojna w Ukrainie i zbliżający się kryzys energetyczny także radykalnie podkopały nasze iluzoryczne poczucie bezpieczeństwa i końca historii. Wydarzenia z serialu rezonują z tymi znanymi nam z wiadomości. Brexit na nowo ożywił „kwestię irlandzką", sukcesy skrajnej prawicy sprawiają, że groźby miotane na ekranie przez Mosleya pod adresem demokracji parlamentarnej brzmią szczególnie niepokojąco. Postępujący od końca lat 70. rozpad solidarności społecznej w zachodnich demokracjach sprawia, że rozumiemy świat, w jakim funkcjonuje Shelby, gdzie każdy bezwzględnie musi walczyć o swoje miejsce przy stole.

© JAKUB MAJMUREK

MATERIAŁY PRASOWE

Jonas Mekas w filmie „Ścinki z życia szczęśliwego człowieka" (2012).

Łapacz chwil

ANITA PIOTROWSKA

Nie uważał się za filmowca, ale za kogoś, kto po prostu filmuje. Na ekranie widać doskonale, że nie było w tym kokieterii, lecz przede wszystkim akt pokory i przemyślane artystyczne credo.

W czasach, kiedy kompulsywnie rejestrujemy, głównie zresztą siebie i z użyciem kieszonkowych narzędzi, może już nie robić wrażenia czyjeś intensywne życiopisanie. Nawet uprawiane kamerą bez wytchnienia przez prawie siedem dekad. I choć towarzyszyły mu również wiersze i dzienniki, to właśnie bujna twórczość filmowa uczyniła Jonasa Mekasa jednym z ojców chrzestnych powojennej awangardy amerykańskiej. I tym, kto podniósł do rangi sztuki amatorskie *home movies*. Za moment będzie można bliżej zapoznać się z jego dziełem we Wrocławiu.

Mówił o sobie, że miał wiele żyć. Pierwsze zaczęło się dokładnie sto lat temu w litewskich Siemieniszkach, dzisiaj kompletnie wyludnionych. Właściwie cała jego aktywność odbywała się przeciwko temu wyludnieniu – przeciw fizycznemu wymieraniu i blaknięciu wspomnień. Odkąd w 1949 r. znalazł się z bratem Adolfasem na brooklyńskim bruku i kupili za pożyczone pieniądze kamerę 16 mm, stała się ona przedłużeniem jego ręki i rentgenem emocji. Zaczął od filmowania migawek z życia litewskiej diaspory, by chwilę potem zostać aktywistą i archiwistą eksperymentalnego kina, a wreszcie kronikarzem nowojorskiej bohemy. Nagrywał przedstawienia The Living Theatre, działalność grupy Fluxus i zaprzyjaźnionych artystów, na czele z Andym Warholem, Allenem Ginsbergiem czy Johnem Lennonem i Yoko Ono. Przygarnęli melancholijnego emigranta, który zachłysnąwszy się awangardą poszedł własną drogą. To jemu, chyba najmniej skandalizującemu z całej ferajny, Todd Haynes zadedykował niedawno świetny dokument o tamtej epoce, „The Velvet Underground".

Zanim jednak dostrzeżono w nim rasowego filmowca, dał się nieźle przeczołgać historii. Do emigracji w 1944 r. zmusiła go zdemaskowana działalność w ruchu oporu, antynazistowskim i antykomunistycznym, co zaowocowało pięcioletnią odyseją po europejskich obozach pracy,

kryjówkach i ośrodkach dla dipisów. Brutalna przeszłość upomni się o niego raz jeszcze, kiedy u kresu swoich dni (zmarł w 2019 r.) z racji niegdysiejszych związków z rodzimymi nacjonalistami będzie oskarżany o antysemityzm. Ostatecznie nawet środowiska żydowskie dopatrzyły się nadużycia w tej lustracji.

W dobie masowych i przymusowych migracji największe wrażenie robią jego filmowe refleksy wokół Litwy właśnie. Niezależnie, czy kręcone na celuloidzie, czy (od końca lat 80.) na wideo, są dziennikami wygnańca, współczesnego Ulissesa, dla którego Long Island albo Manhattan to być może wyspy szczęśliwe, lecz Itaka znajduje się tysiące kilometrów dalej. „Nikt nie woła" – zdaje się mówić artysta przemierzając z kamerą ulice nowojorskiego Williamsburga czy Central Parku i łapczywie chwytając wszelkie przejawy życia. A ono, mimo zakorzenienia autora w miejscu, środowisku i nowej amerykańskiej rodzinie, zawsze będzie gdzie indziej. Oglądając filmy w rodzaju „Walden" (1969) i „Lost Lost Lost" (1976), patrzymy na dawny Nowy Jork, na knajpki, pikniki, przeprowadzki, śluby i pogrzeby, na anonimowych ludzi różnych ras i obrzędów, na występy cyrkowców i wyznawców Hare Kryszna, na koty i chmury, w ujęciu nie tyle „etno", co „emo". Jakkolwiek mają też wartość antropologicznego zapisu.

Szukał więc Mekas w Ameryce drobnych codziennych olśnień, mając w tyle głowy zaginione przed laty bardzo konkretne krajobrazy. Naśladując dziewicze spojrzenie pionierów kina, „notował" także miasta zachodnioeuropejskie, na czele z prowansalskim Cassis, konsekwentnie unikając pocztówkowych kadrów, za to filtrując wszystko przez siebie i zakładając takiż odbiór: intymny, przepuszczony przez nasze indywidualne doświadczenia. I nie miał złudzeń – zostaną po nas tylko zapisane obrazy. One zdają się prawdziwsze od tych zapamiętanych, dlatego tak kurczowo się ich trzymał. W filmach „Wspomnienia z podróży do Litwy" (1972) czy „Raj jeszcze nie utracony (Trzeci rok Oony)" z 1980 r. wykorzystał materiały nakręcone w trakcie odwiedzin rodzinnego domu, z okazji 90. urodzin matki reżysera. Szczególnie drugi tytuł, silnie naznaczony obecnością w litewskim mateczniku trzyletniej córeczki Mekasa, wskazywał na ułomność naszej pamięci. Dla Oony udało mu się zapisać to, co przepadło bezpowrotnie podczas jego dzieciństwa, czyli rodzinne posiłki w sadzie, koszenie trawy, pierwsze spotkanie z krową. Nie ma powrotu do krainy lat dziecinnych, choć tym razem zostawi ona po sobie trwały ślad.

Dla przypadkowego widza kino Mekasa kojarzyć się może ze stosem audiowizualnych brudnopisów, jakich wiele w domowych archiwach. Tyle że nikt tak jak on nie potrafił przeobrazić tych luźnych notatek w osobisty esej, nikt też w taki sposób nie potrafił odzyskiwać dla kina resztek i odrzutów. Wystarczy spojrzeć na filmografię: „Stoi na pustyni, licząc sekundy swojego życia", „Autobiografia pewnego człowieka, którego oczy stały się jego pamięcią", „Kiedy szedłem przed siebie, widziałem króciutkie przebłyski piękna", „Ścinki z życia szczęśliwego człowieka" – w samych tytułach zawarta jest i fragmentaryczność, i ulotność, i zarazem cicha wiara w możliwość zatrzymania chwil. A także potrzeba ich porządkowania, bowiem wbrew pozorom nie mamy tu do czynienia z filmowym „spustem surówki". Za pomocą montażu i komentarza (mówionego, pisanego, muzycznego) artysta kiełznał strumienie obrazów i jednocześnie ocalał ich pierwotność. Bardziej niż zawartość kadru liczył się sam akt patrzenia.

Nie zależał od żadnych instytucji, bo sam stanowił instytucję. W latach 70. był czołowym animatorem nowojorskiej kultury niezależnej, w 1970 r. współtworzył Anthology Film Archives, wielowymiarową przestrzeń dla filmowych eksperymentów. Do końca podążał z duchem czasu, najpierw przechodząc płynnie z taśmy światłoczułej na magnetyczną, po drodze łącząc ze sobą rozmaite media, a u schyłku życia zaprzyjaźniając się z internetem. Od początku walczył z różnymi formami cenzury i płacił za to cenę. W 1964 r., po zorganizowanym przez siebie seansie „Płonących istot" Jacka Smitha, uznanych za obsceniczne, trafił do aresztu i stanął przed sądem. Dziś mógłby przeciwstawiać się nowemu purytanizmowi lub algorytmom formatującym nasze gusta i pragnienia. ©

Przegląd filmów Jonasa Mekasa odbędzie się podczas 22. Międzynarodowego Festiwalu Filmowego Nowe Horyzonty we Wrocławiu (21-31 lipca).

WARTO ZOBACZYĆ

1. Ul

Dramat, reż. Blerta Basholli, Kosowo/ /Szwajcaria/Albania/ /Macedonia 2021, Cinemax 2, 23 VII, 20.30, 24 VII, 9.45, HBO Max, od 23 VII

Skromny tytuł, obsypany nagrodami na Sundance, opowiada o tym, jak wojna w Kosowie wpłynęła na sytuację tamtejszych kobiet. Zamiast rozdrapywać rany występują z własną inicjatywą małego spożywczego biznesu, co w konserwatywnej wiejskiej społeczności nie może spotkać się z aprobatą. Jednak trudno stłumić ich wolę życia i potrzebę samodzielności.

2. Za duży na bajki

Familijny, reż. Kristoffer Rus, Polska 2022, Netflix

Polskie kino dla młodego widza nie musi obrażać jego wrażliwości czy inteligencji ani lekceważyć jego zainteresowań. Dowodem film, w którym spotykają się problemy dorastania, świat gier komputerowych i pozytywne, acz nienatrętne przesłanie. Oraz nietuzinkowe postacie zagrane przez Dorotę Kolak, Andrzeja Grabowskiego czy debiutanta Macieja Karasia.

3. Stado

Dokumentalny, reż. Monika Kotecka, Karolina Poryzała, Polska 2021, HBO Max

Dziewczęcy klub amatorskiej woltyżerki staje przed szansą, by wystąpić w kadrze narodowej. Przygotowania do eliminacji to nie tylko treningi, ale i próba charakteru dla zawodniczek w różnym wieku. Pod okiem trenerki ścierają się sportowe ambicje i emocje, a nowe wyzwania stają się wyczerpującym i zarazem budującym sprawdzianem.

4. West Side Story

Musical, reż. Steven Spielberg, USA 2021, VoD

Czy jest sens na siłę reanimować klasykę? Mistrz ekranowych widowisk na pewno miał przy tym sporo frajdy. Nie zaskoczył może oryginalnością, lecz kłaniając się oryginałowi z 1961 r. wpisał się w klimat dzisiejszych dyskusji na tematy rasowe czy etniczne, przyczynił się do stworzenia kilku olśniewających ról i udowodnił, że musicalowy gatunek jednak żyje.

JAN

Klata: *Czasem trzeba przyładować*

O, wielkomiejskie elitarne ennui lewicowej „myśli" tematyzującej brr, brudną wojnę, fuj, fuj! Na szczęście nasza chata z kraja, w chacie ciepło i bezpiecznie, można niespiesznie oddawać się zadumie nad wyższością bandaża nad bayraktarem. Umysłowi flâneurzy po przełęczach bezsensu beztrosko szerują bezkres swego dyzgustu nad czymś tak nieładnym jak odważne stanięcie po stronie dobra, jak podjęcie działania umożliwiającego zwycięstwo. Piękne, wojenne lato bezinteresownie bezkarnego piętnowania, cieszymy się tobą, trwaj wiecznie!

Są tacy – to nie żart – którzy mają Sławomirowi Sierakowskiemu za złe, że zdradził lewicowe ideały, rozkręcając zbiórkę na drona bayraktar dla Ukrainy. Że Sierakowski się zaangażował, przeszedł na złą stronę mocy, stając się handlarzem bronią, nawet nie tyle handlarzem, co handlarzy marionetką, ba, pacynką! Sypią się wrażliwe pytania: „A może na bandaże? Dlaczego nie zbierasz na bandaże?", „Przecież z bayraktara można przez pomyłkę trafić – dajmy na to – przedszkole albo żłobek... A z bandaża nie!". Niech na całym świecie wojna, byle nasza myśl lewicowa spokojna, odpowiednio esotropijnie utopijna. Charakterystycznym rysem owego paraintelektualnego zeza wielkomiejskiego jest skierowanie umysłowego wysiłku na zabronienie czegoś, a nie na samodzielne twórcze działanie.

A zatem: „Nie zbieraj, Sławek, na bayraktara, bo zabija. Nie wolno na to zbierać". Zamiast: „Skoro Sławek zbiera na bayraktara, który zabija, to ja spróbuję zbierać na bandaże albo plastry, które nie zabijają". Nie mogę się oprzeć wrażeniu, że cała antybayraktarowa imba jest wielce symptomatyczna – obnaża schematy myślenia części zideologizowanych Polaków (i Polek, oczywiście), komfortowo postrzegających się jako watchdogowie i watchdoginie wszechaktywności ludzkiej. Łatwo znaleźć się na cenzurowanym, bo cenzurowanie jest łatwiejsze niż podjęcie wysiłku na rzecz zrobienia czegoś konstruktywnego. Tak, od razu walę z grubej rury: zrzutka na bayraktara jest teraz robieniem czegoś konstruktywnego, megakonstruktywnego. Bo czasem trzeba przyładować. Nie ma innego wyjścia. Lepiej zrozumieć to teraz, bo zaraz będzie za późno. ©

POŻEGNANIE

Po długim i owocnym życiu odszedł od nas

Ś.† P.

Stefan Wilkanowicz

(3.01.1924 – 9.07.2022)

współzałożyciel warszawskiego i krakowskiego Klubu Inteligencji Katolickiej,
prezes naszego KIK w latach 1964-1970 i 1974-1978,
zawsze pełen twórczych idei, niestrudzenie pracujący na rzecz dialogu i porozumienia
zwłaszcza pomiędzy wyznawcami religii abrahamowych.
Publicysta „Tygodnika Powszechnego", wieloletni redaktor naczelny „Znaku",
działacz m.in. w Papieskiej Radzie ds. Świeckich,
Międzynarodowej Radzie Oświęcimskiej, Klubie Chrześcijan i Żydów „Przymierze",
Fundacji Kultury Chrześcijańskiej Znak.
Autor preambuły do Konstytucji Rzeczypospolitej Polskiej.
Odznaczony Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski,
Orderem św. Sylwestra, wyróżniony przez papieża Benedykta XVI
Oświęcimską Nagrodą Praw Człowieka im. Jana Pawła II, laureat wielu innych nagród.

„Błogosławieni, którzy wprowadzają pokój,
albowiem oni synami Bożymi będą nazwani" (Mt 5, 9).

Córkom i całej rodzinie składamy serdeczne wyrazy współczucia

Zarząd i Członkowie Klubu Inteligencji Katolickiej w Krakowie

PAWEŁ

Bravo:
Godność chińskiej zupki

Cztery złote, mniej więcej, wynosi koszt surowców niezbędnych, by zrobić kryzysowy ramen według przepisu opublikowanego parę dni temu w „New York Timesie". Artykuł, w którym przepis się znalazł, powinien wzbudzić żywe zainteresowanie również w nadwiślańskich kręgach abonentów tej globalnej gazety. Oto „Dziewiętnaście łatwych i tanich pomysłów na kolację w czasach inflacji" okazuje się prawie w całości wykonalne także dla nas, wędrujących po bokach trójkąta Biedronka–Żabka–bazarek.

Dlaczego akurat dziewiętnaście? Sądzę, że miało być ich dwadzieścia, poradniki i utylitarna literatura nadal operują pełnymi dziesiątkami. Być może stażysta, któremu polecono dokonać szybkiej selekcji z przepastnego archiwum sekcji kulinarnej, był roztargniony i dopiero redaktor prowadzący zrobił drakę: „Co na tej liście robi potrawka z resztek wczorajszego homara?!". „Podmieńmy na paluszki krabowe i będzie na ubogo" – zasugerował przytomnie korektor, ściągnięty do newsroomu odgłosami awantury. Czas gonił, ale nigdy nie jest za późno, by zabezpieczyć sobie tyły, napisali więc na wewnętrznym czacie do szefa działu. „Po moim trupie będą tu takie paskudztwa" – odparł impulsywnie, zapominając chyba, że jego rubryka poleca takie killery wątroby, jak np. smażone w głębokim oleju kulki z purée ziemniaczanego zagęszczone skrobią (*tater tots* – uważane przez Amerykanów za ich kopernikańskie odkrycie; Francuzi zauważą, że pierwsze były ich podobne w składzie *pommes noisettes*).

Zostało więc dziewiętnaście i trzeba przyznać, że poza przepisem na instant ramen z plasterkami tostowego sera nie ma tam praktycznie żadnych półfabrykatów i gotowców, raczej dużo klusek, jajek, prostych warzyw, mielonego mięsa (zemleć, powiada gazeta, to jakby „rozciągnąć funt mięsa" – zamiast kotleta dla jednej osoby, mamy danie dla pięciu). Ale i te nieszczęsne kluski instant mają swoją godność, której chcę bronić.

Kiedy Polska poznawała je ze dwadzieścia lat temu jako „chińskie zupki" firmy Vifon w nieśmiertelnej wersji żółtej i czerwonej (potem doszlusowały koreańskie i japońskie marki o większych ambicjach), był to już gigantyczny wszechświatowy biznes liczony w dziesiątkach miliardów porcji i setkach milionów ludzi wdzięcznych panu Momofuku Ando za wynalazek, który pozwala w nieraz naprawdę podłych warunkach zjeść coś, co przypomina porządny, ciepły obiad. Sekretem smakowitości cienkich, ułożonych w kształt cegiełki klusek (jest ich zwykle 8-9 nitek długości 40 cm każda) okazało się nie tylko obgotowanie w wywarze, lecz także krótkie przesmażenie w oleju przed wysuszeniem.

Geniusz tego pomysłu i wytrwałość w jego propagowaniu docenił „Economist", drukując w 2007 r. wspomnienie pośmiertne pana Ando w rubryce zwykle zarezerwowanej dla mężów stanu, dyktatorów, czarodziejów pieniądza i koryfeuszy nauki. Zaczyna się tak: „Przez stulecia ludzie szukali na Wschodzie tajemnicy życia, zdrowia i szczęśliwości. Momofuku Ando nauczył nas, że nie trzeba wspinać się półnago na górski szczyt, medytować godzinami na macie czy zaplątywać sobie nogi na szyi. Starczy bowiem: zdjąć pokrywkę, wlać wrzątek, zostawić na trzy minuty, zamieszać i podać". Autor wspomnienia miał na myśli wersję w styropianowym kubeczku – nie wymaga ona nawet posiadania miski. Ja wolę tę w paczkach, bo wtedy mogę użyć tylko torebki ze sproszkowanym bulionem, a odrzucić drugą z „aromatycznym olejem", który trudno mi strawić.

Może i to przesada z tą szczęśliwością, ale jednak jest w cegiełce zygzakowato ułożonych klusek coś, co w losach wielu mocno splotło się z poczuciem zadowolenia z pełnego brzucha oraz spokoju. Spokoju, którego zaczyna nam teraz brakować, kiedy jako tako zrównoważone budżety naszych domowych spiżarni oraz wypadów na miasto zaczynają się kruszyć. Niedawno jeden z tabloidów wybił na pierwszej stronie słowa pewnego prominenta o tym, że mamy jeść mniej i taniej. Minister prostował, że wypowiedź była osadzona w innym kontekście i nie miała stanowić rady dla tych obywateli, którzy już naprawdę nie mają jak zejść niżej z kosztami wyżywienia. Cóż, to nie pierwsza jego ponura gafa. Ale co do sedna, to się niestety z nim zgadzam: kto ma jeszcze z czego ciąć, będzie niedługo zwalniał kroku przy regale z chińskimi zupkami. ©℗

GRAŻYNA MAKARA

Zanim jeszcze przeczytałem w zamorskiej gazecie, jak podrasować ramen z paczki, robiłem, jak zapewne wielu z was, różne eksperymenty z polskimi vifonami. Najlepszą częścią zestawu są kluski i jeśli mamy pod ręką coś na podmianę firmowego proszku, choćby lekki wywar z warzyw albo resztkę wczorajszej pomidorowej, to jesteśmy po lepszej stronie mocy. Nauczyłem się też wrzucać pokruszony makaron do duszonych na patelni warzyw: jeśli są wystarczająco mokre, to po przykryciu para wodna wystarcza. A przepis z „NYT"? Przepiszę go wam, ale dla spokoju sumienia zachęcę z całego serca, byście wykupili abonament do serwisu „Food" – jest to tak, jakbyście sobie fundowali co miesiąc wspaniałą i zabawną książkę kucharską. A więc zalewamy w garnuszku paczkę makaronu (plus „dodatki") ok. 500 ml wrzątku, gotujemy ok. minuty, wyłączamy ogień, ostrożnie wbijamy jajko, staramy się delikatnie „przykryć" je kluskami, czekamy minutę, aż się zetnie. Przelewamy do miski, dodajemy pół łyżki masła i plasterek tostowego sera, posypujemy uprażonym sezamem.

BYŁ SIESTRZEMIŁ

SABINA JAKUBOWSKA, ARCHEOLOŻKA, DOULA:

Imię dziecku nadaje się przed świętem patrona.
Dlatego Anny zaczynały się w czerwcu.
A wysyp Marii odbywał się przed każdym świętem maryjnym.
Potem nie należy tego robić, bo dziecko nie będzie się chować.

KATARZYNA KUBISIOWSKA: Nazwa Jadowniki pochodzi od słowa „jad"?

SABINA JAKUBOWSKA: Od zatrutych strzał. Stoimy teraz na Bocheńcu, 400 metrów n.p.m. – miejscu, w którym zaczęła się historia Jadownik. W IX, może X wieku powstało tu potężne grodzisko, otoczone potrójnym pierścieniem wałów. Z tej wysokości była możliwa obserwacja okolicy i reakcja na niebezpieczeństwo. Ludzie mieszkali w osadzie służebnej, należącej do księcia, potem króla. Ich obowiązkiem było dostarczanie daniny w postaci strzał zatrutych jadem żmij, stąd nazwa wsi.

A Bocheniec?

To moje źródło mocy. Babcia przyprowadzała mnie do stojącej tu kapliczki św. Anny Samotrzeciej. Od dziecka byłam pod wrażeniem św. Anny, jej ciepła i opiekuńczości. Trzyma na kolanach swojego wnuczka, małego Jezuska, przytulając jednocześnie jego mamę, niedoświadczoną Maryję.

Urodziłam się w dzień św. Anny i tak dostałam na drugie imię.

Obie Twoje babcie też były Anny.

Obie z Jadownik, i tak samo się nazywały: Czernecka. Prababki nie poznałam, zmarła w 1950 r. Była położną. Przypuszczam, że niejeden raz, kiedy źle się działo, przychodziła pokłonić się św. Annie. Na kościele widnieje napis: „Czyńmy św. Annie dzięki nieustanne".

Do dwunastego roku życia z rodzicami mieszkaliśmy w Brzesku, potem dopiero przeprowadziliśmy się do Jadownik. Zanim to się stało, przyjeżdżałam do babci, która była synową położnej. Uwielbiałam oglądać jej chustki, niektóre eleganckie, przeznaczone na specjalne okazje, inne zwyczajne, noszone na głowie w dni powszednie, a także modlitewnik i obrazki, jakie księża zostawiali po kolędzie. Dzięki temu jako pięciolatka odróżniałam Matkę Boska Tuchowską od Ostrobramskiej i Częstochowskiej. Babcia snuła przeróżne historie, była cierpliwa, do momentu, kiedy przestawałam rozróżniać ludzi, o których opowiadała. W Jadownikach liczących pięć tysięcy mieszkańców imiona i nazwiska się powtarzają, więc są też przydomki.

Jakie?

Kiedy miałam lat osiem, jechałam autobusem z Brzeska do Jadownik. Jeszcze na przystanku jakaś babinka, która też jechała do Jadownik, zagadnęła mnie: „A dokąd ty jedziesz, dziewczynko?". „Do babci". „A ta babcia to która?". „Z Jadownik". „Aha, a jak się nazywa?". „Anna Czernecka". „Ale która Czernecka? U nas jest takich pięćset". I przyjechałam do babci zmartwiona moją niewiedzą. Bo u nas w Jadownikach tradycyjne pytanie brzmiało: od kogo wyście są? I trzeba było wtedy szybko podać przodków.

Co babcia na to?

Rada babci brzmiała: „Trzeba zawsze mówić, że jesteś od Czerneckiej od Walkowej". Bo dziadkowi było Walenty. Taki system sprawdzał się ćwierć wieku.

To są pierwsze inspiracje dla Twoich naukowych zainteresowań?

↦

SABINA JAKUBOWSKA od lat jako doula towarzyszy kobietom przy porodach. Z wykształcenia jest archeolożką. Fascynuje ją historia lokalna, której poświęciła doktorat dotyczący zmienności imiennictwa na przykładzie parafii Jadowniki w latach 1784-2005. Za „Dom na Wschodniej", debiutancką powieść dla młodzieży, otrzymała Nagrodę Główną w konkursie Promotorzy Debiutów. Właśnie wydała powieść „Akuszerki".

Na zdjęciu: przy źródle świętej Anny na wzgórzu Bocheniec. Jadowniki, czerwiec 2022 r.

GRAŻYNA MAKARA

↦ Kiedy zaczęłam pisać doktorat, po głowie kołatała mi się myśl, że imiona są zwierciadłem kultury. Jakież było moje rozczarowanie, kiedy się okazało, że tę myśl sformułował już profesor Tadeusz Milewski, a przed nim Felix Solmsen! Studiując księgi, czułam, jak między moimi palcami przesiewają się kolejne pokolenia – ludzie rodzą się, za kilka stron pojawiają się w roli rodziców lub rodziców chrzestnych, a kilka kartek dalej są już dziadkami.

Im bliżej współczesności, tym większa obfitość mód imienniczych.
Internet jest dziś nieprzebranym oceanem pomysłów.

A potem znikają?

Ich nazwiska znajduję na cmentarzu, tam domykają się ich życia. 20 663 ochrzczone osoby to solidna baza danych jak na 222 lata historii Jadownik. Błogosławiłam cesarza Austrii Józefa II, który nakazał sporządzenie ksiąg metrykalnych w całej Galicji. Wszystko miało być robione z „ordnungiem", według określonego wzorca, dzięki któremu księgi stały się czytelne. Przyglądałam się księgom, jakbym stale słuchała „Czterech pór roku".

Wiosna, lato, jesień, zima mają wpływ na imiona?

Istotne były względy religijne – nadawanie imion na cześć patrona, którego dziecię „samo sobie wybrało", przychodząc na świat w jego „imieniny". Trzymano się jeszcze jednej zasady: imię dziecku nadaje się przed świętem patrona.

A po święcie?

Nie należy tego robić, bo dziecko nie będzie się chować, bo to już było, minęło i za bardzo by się dziecko do tyłu oglądało. Mogłoby nawet nie przeżyć.

Dlatego Anny zaczynały się w czerwcu, a kończyły 26 lipca. A wysyp Marii odbywał się przed Matką Boską Zielną i przed każdym świętem maryjnym. Potem we wrześniu szły Reginy i Michały, w listopadzie Andrzeje, Katarzyny, Franciszkowie, w grudniu Adamy i Ewy i tak dalej. Na początku stycznia już niektórzy Walentowie się rodzili, bo to był potężny patron przeciwko szaleństwu.

I cholerze.

Na cholerę to u nas jest św. Tekla. W Jadownikach ma najstarszą kapliczkę – okazałą, późnobarokową. Właściwie dzięki Tekli zainteresowałam się imionami. „Co to za święta?" – pytałam babci w drodze na procesję Bożego Ciała. „Święta Tekla". „Ale jakie to imię?". „No Tekla".

Nurtowało mnie, dlaczego w ogóle ktoś dawał takie dziwne imię. I po latach, w trakcie swoich badań, po nitce do kłębka doszłam do tego, że dobrze było mieć apotropeicznego patrona chroniącego przed cholerą. To imię nadawano wówczas, gdy zbierały żniwo wszelkie choroby zakaźne. W Jadownikach ich fal było wiele.

Kiedy nadawano imię Prokopa, głównego patrona parafii?

Prokopów jest mało. Sądzę, że to nie jest kwestia pozornej obcości tego imienia. W momencie zmiany kulturowej uwarunkowanej chrystianizacją wszystkie imiona chrześcijańskie były tak samo obce. Tymczasem tutaj w Jadownikach, mimo parafii pod wezwaniem św. Prokopa istniejącej od średniowiecza, miano to było nadawane rzadko. Czuję, że prawdziwym autorytetem była druga patronka tej parafii, właśnie św. Anna, której kult istniał tu „od niepamiętnych czasów", czyli od początku chrześcijaństwa w Jadownikach. Kult wzmocniony legendą o osobistej decyzji św. Anny, która wskazała, gdzie ma stanąć kościół, i do tego zaopatrzony w źródełko z cudowną wodą. Usytuowanie tego właśnie na Bocheńcu pozwala domyślać się, że postać św. Anny zastąpiła jakąś inną potężną przedchrześcijańską postać sakralną, może kobiecą. Święty Prokop jako autorytet nie miał z nią szans.

Nie miał szans z kobietą?

Zastanawia mnie też pierwszy znany z imienia mieszkaniec Jadownik – sołtys z 1357 r., Siestrzemił. Dawne słowiańskie imiona były zwykle życzące. To akurat znaczy „obyś był miły swej siostrze". Pytanie: kim była jego siostra? I taki drobny ślad, jedno imię, pokazuje nam, że być może kobiety – w Jadownikach, w Polsce – znaczyły więcej, niż historia chce przyznać.

Jest patriotyczny klucz od imion?

W XVIII wieku wiejski naród nie zważał, do jakiego należy państwa. Wtenczas religia była dominantą. I struktury rodzinne: dzieciom nadawano imiona po dziadkach, po chrzestnych, po rodzicach. Chrzestnymi nie zawsze byli ludzie *stricte* spokrewnieni. Samo pójście w kumy, czyli zostanie chrzestnym, oznaczało dla drugiej osoby pokrewieństwo duchowe. Moja prababka jako akuszerka była chrzestną matką połowy Jadownik. Ale dzieci, które nie były jej chrześniakami, też zwracały się do niej „chrzestno matko" – na wszelki wypadek, by jej nie obrazić.

Ale co się dzieje z imionami, kiedy chłopstwo w XIX wieku powoli zyskuje narodową świadomość?

Moim zdaniem źródłem patriotyzmu był na wsi ruch ludowy. Kulminacja poczucia świadomości narodowej pojawia się w okolicy roku 1918, w czasie odzyskiwania niepodległości. Widać ją w częstym nadawaniu imion rodzimych, a także uważanych za typowo polskie, uwarunkowanych historią czy kulturą. Widać też wpływ autorytetów, w tym Józefa Piłsudskiego. W takich sytuacjach sfera imion jest komentarzem do rzeczywistości, pozwalającym zobaczyć, że prawdziwe autorytety przechowywane są w imionach, a narzucone upadają.

Przykład?

Historia Bolesława Bieruta, przez krótki czas nominalnie prezydenta Polski. Postanowił kontynuować tradycję chrześniaków prezydenta, zapoczątkowaną przez Ignacego Mościckiego, który nagradzał tak obywateli ratujących ojczyznę z zapaści demograficznej. Ustanowił prawo, że każdy siódmy syn katolickiej, bogobojnej, rdzennie polskiej rodziny będzie jego chrześniakiem. Takiemu chrześniakowi należały się

liczne profity, w tym darmowe leczenie, edukacja, przejazdy kolejowe. Plus wyprawka pieniężna rosnąca na jego koncie bankowym. Chrześniak dostawał na imię Ignacy, a jeśli rodzina miała już w domu Ignacego, to dostawał takie drugie imię. Prezydent Mościcki stawał się nominalnym ojcem chrzestnym, ale faktycznie zastępował go jakiś lokalny celebryta. Chrześniaków prezydenta urodziło się kilkuset, może kilka tysięcy. Dokładnie nie wiadomo, bo II wojna światowa zniszczyła dokumentację.

Ale co z Bolesławem?

W księdze metrykalnej z roku 1947 przeczytałam, że został ochrzczony pewien mały Boluś, a nominalnym ojcem chrzestnym jest Bolesław Bierut. Jakim cudem – myślę – Bierut, ateista, komunista, figuruje w dokumentach kościelnych? Okazało się, że dziecię do chrztu trzymał starosta powiatowy, swoją drogą też komunista. Dotarłam do Bolusia, dziś pana po siedemdziesiątce. Opowiedział, jaka to dla niego była trauma, on się nawet żonie nie przyznał, kiedy się starał o jej względy, że jest chrześniakiem takiego prezydenta. Jako chłopiec z rodzicami pojechał do Warszawy z wizytą do Bieruta. I tak spuentował swoją opowieść: „A potem Bierut pojechał do Moskwy w futerku, a wrócił w kuferku i więcej chrzestnego nie widziałem". Ostatni Bolek ochrzczony u nas we wsi. Mimo że był to prestiż, bo nie każdy jest chrześniakiem prezydenta, ale jednak społeczeństwo postawiło granice, dało komunikat: nie, tędy nie pójdziemy.

Było miejsce dla imion żon prezydentów?

Popularne stały się Ole na cześć Aleksandry Piłsudskiej i Michaliny na cześć żony Mościckiego. Nie tylko celebryci na skalę państwową mieli znaczenie, ale też ci lokalni. Poznałam kiedyś prawie stuletnią panią Matyldę. Powiedziała, że dostała imię na cześć żony sędziego z Brzeska.

Chyba rzadkie wtedy imię?

W ogóle ciekawe jest, w jaki sposób do zamkniętego niegdyś kręgu imion używanych w niewielkiej społeczności trafiają nowe imiona. Na przykład imię Eleonora. Okazało się, że w Brzesku żona burmistrza Wincentego Dziembowskiego tak miała na imię. Dziembowscy zmarli w roku 1831 na cholerę. Burmistrz wizytował chorych, to należało do jego obowiązków, małżonkowie zarazili się, a po śmierci spoczęli we wspólnej mogile ze wszystkimi ofiarami cholery. Pani Dziembowska była chrzestną matką paru dziewczynek z Jadownik, którym nadano po niej imię, a potem one przekazały je dalej swoim chrześniaczkom czy wnuczkom.

Znikające imiona, oprócz tego Bolesława?

Imiona jednostek, których życie było trochę bardziej niestandardowe, w rezultacie oceniane negatywnie, stawały się antywzorami. Wówczas imię na jakiś czas znikało z obiegu. Dobrym przykładem jest Karol. Był taki moment, w którym nie nadawano tego imienia, bo mieszkał w Jadownikach pewien oryginał – niezwykły umysł i nietypowy charakter – który na tyle skupiał uwagę i wprawiał w konsternację, że ludzie nie chcieli tak dawać dziecku na imię. Dopiero intronizacja Wojtyły na tron papieski i jego późniejsze pielgrzymki do Polski spowodowały nowy wysyp Karolów.

Szukałaś ich?

Pojawiające się i znikające imiona to były poszukiwania wielokierunkowe, łączenie źródeł pisanych i ustnych. Na przykład kwestia Katarzyny. Zacznę od tego, że w Jadownikach była prowadzona kronika parafii, którą pisali proboszczowie od roku 1824 do końca XX wieku. Jeden proboszcz był bardziej wytrwały w pisaniu, drugi mniej – jako człowiek czynu, budujący kościół. Część zapisków jest po łacinie, inne po polsku. Niektóre wpisy są bardzo gospodarcze: „kopałem studnię", „posadziłem jabłonkę", inne dotyczą przemarszów wojsk, które szkodziły mieszkańcom, stąd komentarz: „Boże nas chroń od takich przyjaciół". Z takich drobiazgów można było się dowiedzieć o ważnych wydarzeniach w Jadownikach: pożarach, powodziach, gradobiciach, wizytacjach biskupów, przelotach komet. Są też subiektywne osądy. To właśnie dzięki kronice parafii natknęłam się na historię Kaśki Niedźwiedzionki, którą opisałam potem w mojej powieści „Akuszerki". Nie mogłam sobie psychicznie poradzić z tym, że ta kobieta została jednoznacznie osądzona przez mężczyzn i nikt jej nie pozwolił nawet powiedzieć, dlaczego ona zdenerwowała się do tego stopnia, że z sierpem rzuciła się na ekonoma. „Wszeteczna dziewka. Bez nijakiego powodu się rzuciła". Czy aby na pewno? Posądzono ją potem o spowodowanie we wsi pożaru, ale czy rzeczywiście podpaliła księżą stodołę? Została ze wsi wygnana, ale na starość znalazła tu jednak schronienie. Jej reputacja „czarownicy" przetrwała ponad sto lat, powodując unikanie imienia Katarzyna.

Istnieje literacki klucz do imion?

Klucz w ogóle jest związany ze sztuką. Na imiona nadawane w XIX, XX i XXI wieku miały wpływ wzory kultury. Ludzi inspirowały dzieła literackie, a później filmowe. Dzięki Mickiewiczowi pojawiły się Grażyny, a Oleńki i Basie dzięki Sienkiewiczowi. Popularność imienia Adolf i Eugeniusz w latach międzywojennych to przecież obecność na dużym ekranie Dymszy i Bodo. A im bliżej współczesności, tym większa obfitość wzorów, mód imienniczych. Internet jest dziś nieprzebranym oceanem pomysłów.

Co i kto stoi za imionami Twoich dzieci – Eleonory i Jana?

Eleonora znaczy „Bóg jest moim światłem", a Jan – „Bóg jest łaskawy". To są imiona z kręgu kultury semickiej, jedno pochodzi z języka aramejskiego, drugie z hebrajskiego. Miałam też pozytywne skojarzenia literackie z tymi imionami. Charyzmatyczny, odważny Jan Chrzciciel. I trochę mniej święta Alienor z Akwitanii, silna postać średniowiecza, kobieta wykształcona, nieprzeciętna, decyzyjna, królowa Francji i Anglii. Byłam pod wrażeniem jej życiorysu, i samej melodii tego imienia. Gdy miałam 12 lat, poznałam w Jadownikach panią Eleonorę, która nauczyła mnie, jak się w żniwa plecie powrósła. To tam zaznawałam wsi sensualnie – dłońmi dotykając zboża, czując kłujące w stopy ściernisko i sycąc się zapachem pól rozgrzanych upałem. A przy okazji zrozumiałam słuchając pani Eleonory, że mądrość można uzyskać w drodze doświadczania życia, nie tylko przy pomocy wykształcenia. Podążanie śladami starych kobiet może człowieka wiele nauczyć.

↦

A obecność Twojej prababki w księgach metrykalnych? Jej nazwisko pojawia się tam 2132 razy.

Wtenczas proboszcz miał za zadanie odnotować, kto przyjął poród. Pisał: „obstetrix Anna Czernecka". *Obsterix* znaczy akuszerka. Wiem z innych źródeł, że moja prababka przyjmowała też porody kobiet żydowskich, których w tych księgach oczywiście nie znajdziemy, jak również porody w innych miejscowościach – wożono ją tam furmanką. Więc tych porodów musiało być o wiele więcej. Podążałam śladami Anny Czerneckiej, zastanawiając się, jak ona się czuła idąc do porodu, skoro sama za dwa, trzy dni urodziła swoje dziecko. Nie było się jej łatwo schylić z ciążowym brzuchem. Po własnym porodzie Anna Czernecka szybko wracała do pracy, do pomocy innym kobietom. Dalej myślałam: jak ona to zrobiła, skoro w domu był noworodek? Może brała go ze sobą? Prababka straciła też szóstkę swoich dzieci, tylko dwoje dożyło dorosłości. Kolejna więc kwestia: jak ona była w stanie odsunąć swoją żałobę i pójść do ludzi? A może właśnie mogła to czynić dzięki temu, że poszła do ludzi, a nie żyła swoją żałobą? Zastanawiałam się, jak to zrobiła, że szła do porodów w czasie, gdy Jadowniki czekały w roku 1914, co się wydarzy na froncie, który stał pięć kilometrów dalej. Czy było łatwo wtedy wyjść z domu? Wątpię, by to były proste decyzje: porzucę moje bezpieczne miejsce, pójdę gdzieś i nie wiem, czy będzie do czego wrócić. Dostałam też jeszcze jeden prezent od losu, bo na kartach ksiąg metrykalnych zobaczyłam parę razy nazwisko Rozalii Jakubowskiej, która też była akuszerką i moją praprababką ze strony ojcowskiej.

Istnieje jeszcze jeden dokument: zeszyt założony w roku 1886 przez Annę Czernecką, uczącą się w Cesarsko-Królewskiej Szkole Położnych w Krakowie.

Prababka została dyplomowaną położną, nauki pobierała m.in. u profesora Henryka Jordana. Zapisywała, co usłyszała na wykładach, ze specyficzną ortografią i interpunkcją. Analizowałam te treści nie tylko pod kątem wiedzy położniczej, ale też językowym. Daje do myślenia, jeżeli pisze dużą literą „Panie Uczennice". Jak musiała się czuć, kiedy pierwszy raz ktoś ją nazwał „panią". U nas we wsi mówiło się do kobiet zamężnych „wy": „Czernecko pódźcie". Tyle z tytulatury. W zeszycie były wielką literą pisane wszelkie tytuły: Pan Profesor, Pan Asystent, Pani Nadpołożna.

Dla podkreślenia autorytetu?

Z szacunku i respektu. Ale pisała też dużą literą: „Środki Antiseptyczne" – widać, że to nowe nazewnictwo dla Anny jest egzotyczne, dziwne, trochę zatrważające. Prawo cesarsko-królewskie dokładnie ustalało różne zasady, regulaminy, co wolno położnej, a czego nie, jakie ma być wyposażenie kuferka. Akuszerki musiały poddawać się kontroli co jakiś czas przed lekarzem powiatowym. Pokazywały, że środki, których używają, nie są przeterminowane i że mają w posiadaniu odpowiednią ich ilość. W tym zeszycie też było zapisane, w jaki sposób ma postępować położna w określonych sytuacjach ginekologicznych, porodowych, połogowych, w tym poruszona była kwestia laktacji czy dokarmiania noworodka. Sporo kobiet wtedy miało z karmieniem piersią problemy – nie były zbyt dobrze odżywione, nie miały pokarmu w wystarczających ilościach, bo nie mogły spędzić z dzieckiem tyle czasu, by ono ssaniem rozkręciło laktację. Od dziecka odrywała je ciężka praca na roli albo bieganie z jajkami i ze śmietaną na targ do Brzeska.

W czasie porodu centrum świata stanowi kobieta i jej odczucia.

Potem ciało otwiera się i zaczyna być widoczna główka. Za chwilę jest już gotowy nowy człowiek z duszą i imieniem. A w kobiecie rodzi się matka.

Co jeszcze musiały wiedzieć?

Zdarzało się, że te kobiety umierały w połogu i trzeba było wiedzieć, jak dziecko utrzymać przy życiu. Istniały przepisy, w jaki sposób akuszerki mają sporządzić zastępcze mleko – ile do mleka krowiego dodaje się wody, a ile laktozy – cukru kupowanego w aptece. Akuszerki uczono też, w jaki sposób mają ochrzcić dziecię w sytuacji awaryjnej, gdyby widziały, że ono może umrzeć. Normą było w tamtych czasach, że dzieci były chrzczone w dniu urodzenia lub na drugi dzień. Zważywszy na rozmaitą pogodę i kiepskie możliwości przetransportowania dziecka do kościoła, mimo wszystko decydowano się na to, bardzo często wierząc, że albo mu to pomoże przeżyć, albo że jeśli odejdzie, to przynajmniej po chrześcijańsku i nie będzie straszyło.

Od dziesięciu lat sama jesteś doulą, osobą wspierającą młode matki.

Wspierałam dziesiątki, a może setki kobiet w okresie ciąży czy w połogu albo w stracie. Towarzyszyłam w trzydziestu dwóch porodach. Od razu widzi się, co jest w życiu najważniejsze.

Co?

Życie. W czasie porodu centrum świata stanowi kobieta i jej odczucia. Potem ciało kobiety otwiera się i zaczyna być widoczna główka. Wtedy rzeczywistość na moment zastyga. Pojawia się nowy człowiek – gotowy, z duszą, z imieniem, które za chwilę otrzyma. A w kobiecie rodzi się matka.

Z doulowania, pracy naukowej, zacięcia humanistycznego, zrodziła się pisarka.

W „Akuszerkach" oddaję hołd kobietom przyjmującym porody od wieku XIX do lat 50. wieku XX. Fikcja literacka, gdzie losy bohaterek wykreowanych przeplatają się z życiem prawdziwych położnych, a wszystko to w Jadownikach, Brzesku i Krakowie. Poród jest moim żywiołem. Przypuszczam, że gen prababek swoje tu zrobił. Widzę znaczenie dobrego porodu dla każdego człowieka. Widzę nawet jego ślad w imionach. W opowieściach przekazuję piękno rodzenia się człowieka i jego mocy. W każdym człowieku i w każdym imieniu widzę opowieść. © Rozmawiała KATARZYNA KUBISIOWSKA

Czcigodny Księże Redaktorze! Drogi Solenizancie!

Mieszkańcy Sopotu z wielką radością i wdzięcznością
pragną przyłączyć się do życzeń z okazji Twoich 88. urodzin.

Jesteś dla nas drogowskazem i przykładem szlachetnego i dobrego życia,
wierności zasadom i otwartości na zmieniający się świat.
Pokazujesz, że można połączyć przenikliwą,
krytyczną i sprawiedliwą ocenę zachowań człowieka ze zrozumieniem
dla jego kruchości i słabości.

Że osoba ważniejsza jest od idei, doświadczenie od teorii, a humor od ambicji.

Niech nigdy nie zabraknie Ci zdrowia i sił, by o tym mówić, pisać i świadczyć.

Szanowny Redaktor Senior,
Ksiądz Adam Boniecki

Przez długie i pracowite lata swojej wybitnej działalności dał się Ksiądz poznać jako postać nieprzeciętnie mądra, ale też otwarta, kochająca i wybaczająca. Zresztą cała Redakcja „Tygodnika Powszechnego" określa swoje wartości jako „katolicyzm otwarty".

I my, we Wrocławiu, również staramy się pielęgnować podobne wartości. W mieście tak różnorodnym pod względem pochodzenia potrafimy się jednoczyć, żyć zgodnie obok siebie i współdziałać. Bo różnimy się po to, by się uzupełniać, nie zwalczać.

Spośród wielu pięknych myśli, które równie pięknie ubiera Ksiądz w słowa, jedna sentencja zapadła mi w pamięć wyjątkowo. Ta mianowicie, że „wielką jest sztuką dostrzec ułomność w drugim człowieku, a jednocześnie nie traktować go tak, jakby tylko był ułomnością". W zdaniu tym dostrzegam bezgraniczną roztropność i dobroć Szanownego Księdza.

Choć jest Ksiądz osobą duchowną, to jednocześnie, a może i nade wszystko, postacią twardo stąpającą po ziemi oraz znającą swój drugi fach – pisarski i dziennikarski. Stąd przekonywanie nas, że pismo może być dobre, słuszne, ciekawe, ale też musi robić wszystko, żeby było czytane. Wasze takie właśnie jest – czytane od deski do deski.

Drogi Księże Adamie! Pragnę życzyć mnóstwo zdrowia,
radości i kolejnych owoców pracy,
którą osobiście jestem od dawna zachwycony.

JACEK SUTRYK
prezydent Wrocławia

Księże Adamie!

Cóż można życzyć osobie, która wywarła olbrzymi wpływ na polską inteligencję XX i XXI wieku? Redaktorowi pisma, na łamach którego padały najważniejsze pytania, a w ślad za nimi odpowiedzi – czasem niewygodne, drażniące, ale zawsze oparte na fundamencie prawdy, troski o człowieka i ojczyznę. Przyjacielowi katolików, Żydów i niewierzących. Laureatowi najzaszczytniejszych nagród, kawalerowi licznych orderów i odznaczeń. Człowiekowi niezłomnemu, dla którego wierność własnym przekonaniom i wyznawanym ideałom waży więcej niż osobisty spokój.

Księże Adamie, tak się złożyło, że łączy nas profesja – albo w pewnym etapie naszego życia byliśmy, albo wciąż jesteśmy dziennikarzami. Wiemy doskonale, z czym wiąże się odpowiedzialność za słowo. Od dekad wspólnie przyglądamy się Polsce, choć nie zawsze patrząc z tej samej strony. Twoja publicystyka zawsze niosła jednak ze sobą nadzieję, przynosiła ukojenie. Że jeszcze nie zginęła. Że sprawy pójdą ostatecznie w dobrym kierunku. Niestrudzenie uczysz i pokazujesz, jak w trudnych czasach pozostać optymistą.

To jedna z cech, które czynią Cię kimś zupełnie wyjątkowym.

Życzymy Ci zatem, byś optymistą pozostał. I dla siebie, i dla nas. Do 120, księże Adamie!

Marian Turski
Wiceprzewodniczący Stowarzyszenia Żydowski Instytut Historyczny w Polsce
Zygmunt Stępiński
Dyrektor Muzeum Historii Żydów Polskich Polin

WYŻSZA SZKOŁA INFORMATYKI i ZARZĄDZANIA
z siedzibą w Rzeszowie

Wielce Czcigodny Księże Redaktorze!

Doniosła 88 rocznica urodzin to piękna okazja, aby pokłonić się nisko i podziękować Czcigodnemu Księdzu za kilka dekad, w czasie których głos Księdza Redaktora był punktem odniesienia w publicznym dyskursie, dodawał inspiracji, otuchy i wskazywał kierunek działania.

Dla wielu osób, Ksiądz Redaktor jest Przewodnikiem, który diagnozując różne cywilizacyjne zagrożenia, uczy wartości pozwalających odnaleźć sens życia. Spokój, życzliwość dla świata i ludzi, mądrość i niezmienna ciekawość Księdza Redaktora, która inspiruje do poszukiwania odpowiedzi, tworzą nietuzinkową postać - Autorytet, który uczy, jak ważna jest kultura porozumienia oparta na wzajemnym dialogu, szacunku i zaufaniu.

Dostojny Księże Redaktorze!

W dniu 88 urodzin, w sposób szczególny otaczamy Czcigodnego Księdza ciepłymi myślami i w imieniu całej społeczności akademickiej Wyższej Szkoły Informatyki i Zarządzania w Rzeszowie, składamy najserdeczniejsze życzenia, nade wszystko dobrego zdrowia.

Korzystając z okazji, pragniemy serdecznie podziękować Księdzu Redaktorowi za otwartość i współpracę z Wyższą Szkołą Informatyki i Zarządzania w Rzeszowie oraz za okazywaną nam zawsze życzliwość i wsparcie.

Ad multos annos!

Z darem wdzięczności i uznania, pozostajemy z wyrazami szacunku,

Rektor
Wyższej Szkoły Informatyki
i Zarządzania w Rzeszowie
dr hab. Andrzej Rozmus, prof. WSIiZ

Wiceprezydent
Wyższej Szkoły Informatyki
i Zarządzania w Rzeszowie
dr Wergiliusz Gołąbek

Prezydent
Wyższej Szkoły Informatyki
i Zarządania w Rzeszowie
dr hab. inż. Tadeusz Pomianek, prof. WSIiZ

Rzeszów, lipiec 2022 r.

88!

Zarząd i członkowie Polskiej Rady Biznesu
składają

Księdzu Adamowi Bonieckiemu

najserdeczniejsze życzenia zdrowia,
spokoju i pogody ducha z okazji jubileuszu 88-lecia urodzin.

Dziękujemy za dekady wytrwałej pracy dziennikarskiej, a przede wszystkim bezkompromisowe zaangażowanie w obronę zdrowego rozsądku i najważniejszych wartości. Za inspirujące słowa, w których zdolność krytycznej oceny idzie w parze z empatią i zrozumieniem. Za otwartość, która zawsze prowadzi do poszukiwania tego, co łączy ludzi mimo istniejących różnic.

Niechaj głos Księdza pozostanie z nami jak najdłużej!

Polska
Rada
Biznesu

Szanowny Księże Adamie,

jest mi niezmiernie miło, że w imieniu Business Centre Club
mogę złożyć najlepsze życzenia z okazji wspaniałego Jubileuszu – 88. urodzin.

W tak podniosłej chwili chciałbym też podziękować Księdzu za wskazywanie nam zasad i wartości dotyczących tolerancji, odwagi, przyzwoitości, prawości, jak również dialogu społeczno-obywatelskiego. Jesteśmy dumni i zaszczyceni, że jest Ksiądz Laureatem Nagrody Specjalnej BCC, wręczanej wybitnym osobistościom spoza środowiska biznesu za przyczynianie się do rozwoju przedsiębiorczości i gospodarki rynkowej w Polsce.

Życie i twórczość Księdza wiążą się z głoszeniem Słowa Bożego. Słowo to, jak wiemy, można przekazywać w różny sposób, stwarzając także różne możliwości interpretacji. Jednak dzięki Księdzu zawsze słyszymy i dobrze rozumiemy prawdy najprostsze: nie należy się pysznić; rachunek sumienia dotyczy naszych własnych sumień, nie cudzych; godność jest przywilejem i silnych, i słabych; obojętność, choć wygodna, nie łączy się z prawdziwym człowieczeństwem przecząc najważniejszemu drogowskazowi – miłości bliźniego.

Należy Ksiądz do tych „myślących inaczej" w ramach polskiego Kościoła, do tych, którzy głoszą Słowo i działają nie zawsze zgodnie z oficjalnymi wykładniami czy zaleceniami Kościoła instytucjonalnego. Takie podejście wymaga przede wszystkim odwagi, ale również pokory i cierpliwości. Za tę postawę dziękujemy Księdzu bardzo serdecznie i czekamy z nadzieją na Jego powrót na łamy „Tygodnika Powszechnego". Mądre, dobre i głębokie słowa, które Ksiądz do nas kieruje, są drogowskazami na, nie zawsze łatwej, drodze życia. I dlatego warto obcować z nimi jak najczęściej.

Życzę dużo, dużo zdrowia i kolejnych wspaniałych Jubileuszów!

Prof. Jacek Goliszewski
Prezes Business Centre Club

Czcigodny i drogi Księże Adamie,

Fundacja Konrada Adenauera życzy Księdzu na ten piękny jubileusz bardzo dużo zdrowia, energii i werwy do pracy na łamach „Tygodnika Powszechnego" oraz sił na spotkania z rzeszami ludzi, dla których Ksiądz pozostaje ogromnym autorytetem.

Jako Fundacja działająca w oparciu o wartości chrześcijańskiej demokracji, od lat jesteśmy wdzięczni Księdzu za szerzenie otwartości, tolerancji dla każdego człowieka, a także w życiu obywatelskim i politycznym. Przyczynia się tym Ksiądz do polepszenia świata mimo niosących grozę wydarzeń zza wschodniej granicy Polski oraz ich konsekwencji dla wszystkich mieszkańców Europy. Księdza przesłanie pełne szlachetności, prawości, wierności własnym zasadom daje nadzieję na pojednanie i pokojowe współdziałanie ludzi.

Zaszczytem dla nas były zawsze wystąpienia i homilie Księdza przy okazji naszych konferencji. Wpisywały się one w długą listę zasług „Tygodnika Powszechnego" dla zbliżenia między Polakami i Niemcami, którego „Tygodnik" – niekiedy pod prąd – był orędownikiem. Dziękując za wszystkie te spotkania, cieszymy się na kolejne. Życzymy Księdzu także wiele radości ze spotkań z ludźmi, satysfakcji z działań, których się Ksiądz podejmuje, dalszej lekkości pióra i głębi myśli, a przede wszystkim szczęśliwego życia przez wiele jeszcze lat!!!

David Gregosz,
dyrektor, wraz z całym zespołem
Fundacji Konrada Adenauera w Polsce

KONRAD ADENAUER STIFTUNG

Czcigodny Księże Adamie, Drogi Jubilacie!

Z wielką satysfakcją przyłączamy się do szerokiego grona osób i instytucji składających Ci najlepsze życzenia z okazji 88. urodzin.

Nie będzie przesadą stwierdzenie, że kilka pokoleń naszych członków – twórców skupionych w Stowarzyszeniu Autorów ZAiKS, którego członkiem honorowym wszak jesteś – śledzi Twoje wypowiedzi. Stanowisz dla nich niedościgły wzór – jako autor przywiązujący ogromną wagę do odpowiedzialności za słowo, rzetelnej i wyważonej oceny bieżących wydarzeń, obiektywizmu i zrozumienia dla ludzi. Nie tracisz przy tym humoru i życzliwości.

Dziękujemy Ci za to i życzymy raz jeszcze zdrowia, wielu lat życia i multum tekstów, które czytane będą z niemalejącym nigdy zainteresowaniem.

Twoi przyjaciele z ZAiKS-u

Janusz Fogler
Przewodniczący Rady
Stowarzyszenia Autorów ZAiKS

Miłosz Bembinow
Przewodniczący Zarządu
Stowarzyszenia Autorów ZAiKS

Michał Komar
Wiceprzewodniczący Zarządu
Stowarzyszenia Autorów ZAiKS

zaiks
sprzyjamy wyobraźni

88!

Księdzu Adamowi Bonieckiemu,

naszemu nauczycielowi, kapłanowi i duszpasterzowi,
z okazji 88. urodzin nieskończenie wiele życzeń od klubowiczów
Klubów „Tygodnika Powszechnego”

Dziękujemy za mądrość słów, otuchę i wsparcie.

KLUB TP KLUBTYGODNIKA.PL

jt STOWARZYSZENIE IM. JERZEGO TUROWICZA

GRAŻYNA MAKARA

OD KILKU LAT w lipcu grupa czytelniczek i czytelników „Tygodnika Powszechnego” przygotowuje „sportowy upominek” dla ks. Adama Bonieckiego.

W tym roku dołączyło do akcji – biegnąc, idąc lub jadąc rowerem – ponad 100 osób z Polski, Belgii, Francji, Norwegii i Kanady. Już w pierwszej połowie miesiąca pokonaliśmy wspólnie blisko 10 tys. km! Chcemy w ten sposób podziękować Solenizantowi za słowa, które do nas kieruje, a które mobilizują nas do mądrego i dobrego życia. A także życzyć mu zdrowia, pogody ducha i radości z bliskości przyjaciół. Motto, które przekazał nam ks. Adam – „Z każdą chwilą bliżej celu” – przypomina, że powinniśmy się cieszyć z każdego przemierzonego kilometra i nie ustawać w wysiłku, nawet jeśli droga jest czasem wyboista i pod górkę.

W imieniu uczestników rywalizacji 88 km na 88. urodziny ks. Adama Bonieckiego.

ADAM POLKO, organizator

PODZIĘKOWANIA

Najserdeczniej dziękujemy Bożenie i Kazimierzowi Urbańczykom za wspaniałe serca, za serdeczną pomoc, za niezawodną i bezinteresowną przyjaźń.

Bożenko i Kaziu – z wdzięcznością Przyjaciele z „Tygodnika Powszechnego”

STANISŁAW

Mancewicz: *Dzisiejsze wynalezienie koła*

Nie bądźmy dziećmi i przestańmy gonić w piętkę. Owszem, zgoda, czas kanikuły skłania nas raczej – dla przykładu – do motywowanych fizjologicznie porywów serca, do brykania, nadużywania alkoholu, do lekkomyślnych wydatków na pamiątki bądź lody, do niepohamowanego zjadania schabowych z kapustą w przydrożnych barach, do tańców na świeżym powietrzu, do grzybobrań, wędkowania i, rzecz jasna, zwiedzania starówek nowych miast. Są to w lipcu ruchy i odruchy zrozumiałe, trzeba się jednak mimo to skupić i w miarę możliwości spoważnieć.

Zamiast śmiać się i żartować z porad ludzi dzisiejszej władzy, porad dotyczących sposobów na przeżycie najbliższej jesieni, zimy i przednówka, wsłuchajmy się w to, co mówią, i popatrzmy na reakcje. Należy więc – apelują – zbierać chrust, mniej jeść i mniej wydawać. To mówią dziś głośno premier krajowy i jego ministrowie. Nie spotkaliśmy żadnej serio oceny tych wypowiedzi i w domniemaniu graniczącym z pewnością możemy rzec, że nawet jeśli gdzieś ktoś coś poważnego na ten temat napisał, to nie ma to żadnego oddźwięku ani innych niźli rozrywkowe konsekwencji. Apele te i porady będą nam dziś dobrym pretekstem do pogwarek na tematy prahistoryczne, społeczne, komunikacyjne i egzystencjalne, będą dotyczyć zarówno jednostek, jak i naszej umiłowanej zbiorowości.

Powszechna skłonność naszego społeczeństwa do lekceważenia ludzi u władzy – czyni to zawsze pięćdziesiąt procent publiczności, bez względu na to, kto i kiedy rządzi – ma tu tradycje od najdawniejszych czasów. Weźmy dla przykładu nakaz używania koła zamiast płóz (w lecie). Nakaz narzucony przez władze centralne. Spotkał się on, co świetnie wiadomo z najdawniejszego piśmiennictwa, z szalonym oburzeniem warstw konserwatywnych. Z poduszczenia ówczesnego duchowieństwa nie wpuszczano ani jedno-, ani dwuśladów do świętych gajów. Do strzeżenia traktów i brodów stworzono fanatyczne, lokalne, ludowe milicje. Oddziały te na każdy objaw ukołowacenia reagowały – popatrzmy – bardzo brutalnie. Pośród konserwatywnych warstw wyższych narzekano na obce wpływy demolujące tradycyjne wartości i apelowano do sumień. Dochodziło – co oczywiste – do aktów przemocy, zarówno fizycznej, jak i symbolicznej (palono koła, jak, nie przymierzając, warszawską tęczę). Postępowcy – co jasne – też popadali w przesadę. Jak to zwykle ludzie postępu, walczyli posługując się szyderstwem i dowcipami. Czasami – rzec trzeba – niewybrednymi i prymitywnymi. Gdy tylko mogli – to przykład – uczyli dzieci konserwatystów wstrętnej przeróbki wierszyka: „Kto ty jesteś? Kolarz mały", działali też podprogowo – używając związków frazeologicznych w stylu: „fortuna kołem się toczy", „pasuje jak piąte koło u wozu", a nawet, o zgrozo: „prawda w oczy kole". Wszystko to oczywiście wiadomo nam ze szkoły i z lektur, ale najważniejsza w tym wszystkim jest konstatacja, że była to reakcja na decyzje czy też porady władz, których pół na pół mieszkańców tutejszych słuchało, a drugie pół lekceważyło i wyśmiewało.

Dzisiejsza sytuacja wymaga spojrzenia uważniejszego niż problem zaprezentowany powyżej. Także dlatego, że jakość dzisiejszych porad funkcjonariuszy państwa pozostawia wiele do życzenia. Zbiorowość – wedle pradawnego wzoru – powinna być podzielona na pół. Jedni więc winni mówić, że ma świętą rację jakiś tam minister apelujący o wstrzemięźliwość w jedzeniu i wydawaniu, drudzy zaś, nieprzyjaźnie nastawieni wobec władz obecnych, powinni pokazywać selfiki grubych brzuchów jako niezbity dowód jedzenia dużo, drogo i opozycyjnie. Na złość i pohybel. A tak – popatrzmy – nie jest. Pierwszy raz jakość porad ludzi władzy pozostawia nas kompletnie obojętnymi, w najlepszym wypadku marnie żartobliwymi. Zaiste, bez pomocy naszego zaskakującego już w każdej swej frazie premiera, jego ministrów czy to szalenie mądrych doradców każdy wie, że w zimie nie będzie lekko. ©

BARTOSZ MINKIEWICZ

SZKOLENIE DLA SPOŁECZEŃSTWA PROWADZĄ: COACH SPRAWIEDLIWOŚCI, COACH AKTYWÓW PAŃSTWOWYCH, COACH EDUKACJI I NAUKI ORAZ PREZES RADY COACHINGU.

Napisz własną historię kuchenną

Do każdej prenumeraty autorski, wyjątkowy notes kulinarny „Smaki" w prezencie. 12 sezonów, przepisy, rozmowy, eseje, autorskie ilustracje – i Twoja opowieść.

ZASADY ZAKUPU „TYGODNIKA POWSZECHNEGO"

Prenumeratę papierową można zamówić przez:

- internet na TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym: Tygodnik Powszechny ul. Dworska 1C / LU 3-4, 30-314 Kraków Nr konta Bank Pekao SA 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987

Szczegółowych informacji udziela Agnieszka Grzywa w godz. 11.00–15.00 od poniedziałku do piątku pod nr. tel. 668 479 075 lub adresem e-mail: prenumerata@TygodnikPowszechny.pl

W sprawie prenumeraty elektronicznej informacji oraz wsparcia technicznego udziela Mateusz Gawron w godz. 10.00–14.00 pod nr. tel. 668 475 263 lub adresem e-mail: kontakt@TygodnikPowszechny.pl

Prenumeratę elektroniczną można zamówić przez internet na TygodnikPowszechny.pl/wykup-dostep

PRENUMERATA	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna (52 numery)	480 zł	590 zł
Półroczna (26 numerów)	270 zł	330 zł
Kwartalna (13 numerów)	155 zł	190 zł
Pokolenia*	415 zł	
Karta Dużej Rodziny**	415 zł	
Roczna + 4 wydania specjalne	565 zł	680 zł
Pokolenia* + 4 wydania specjalne	500 zł	
Karta Dużej Rodziny** + 4 wydania specjalne	500 zł	
4 wydania specjalne na 2022 r.	85 zł	

* z oferty POKOLENIA mogą skorzystać osoby poniżej 25. i powyżej 65. roku życia

** z oferty KARTA DUŻEJ RODZINY mogą skorzystać jej posiadacze na warunkach opisanych w regulaminie

TYGODNIK POWSZECHNY

PARTNER MARKETINGOWY

SALESmanago marketing automation

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY // FOT. AGNIESZKA CYNARSKA-TARAN DLA „TP"

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

TYGODNIK POWSZECHNY

weź, słuchaj!

JAGIELSKI STORY

Wszystkie strony świata – w jednym podkaście
rozmawiają Wojciech Jagielski i Krzysztof Story
TygodnikPowszechny.pl/podkast

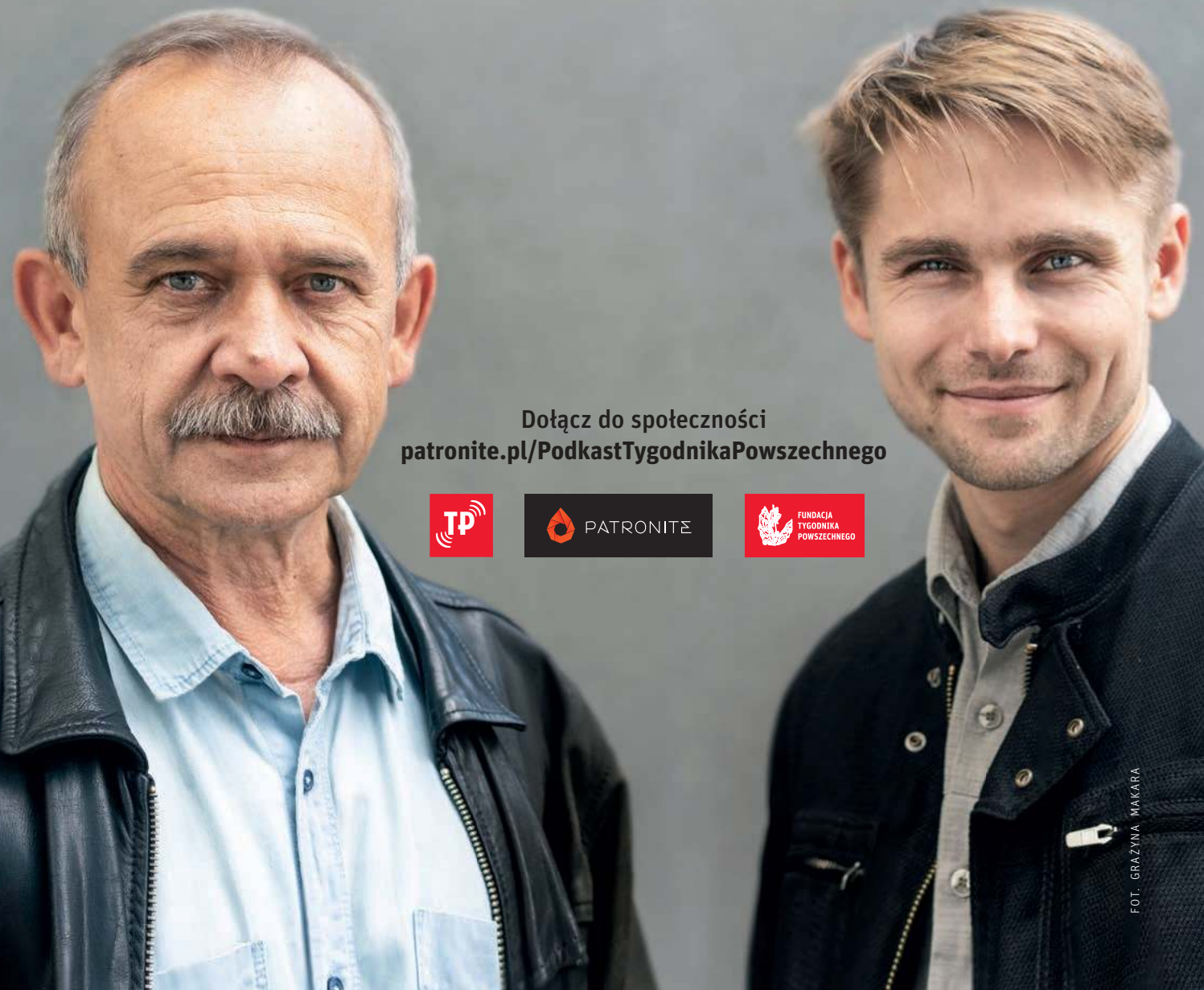

Dołącz do społeczności
patronite.pl/PodkastTygodnikaPowszechnego

TP

PATRONITE

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

FOT. GRAŻYNA MAKARA